MISTRZOWIE SF

ARTHUR C. CLARKE

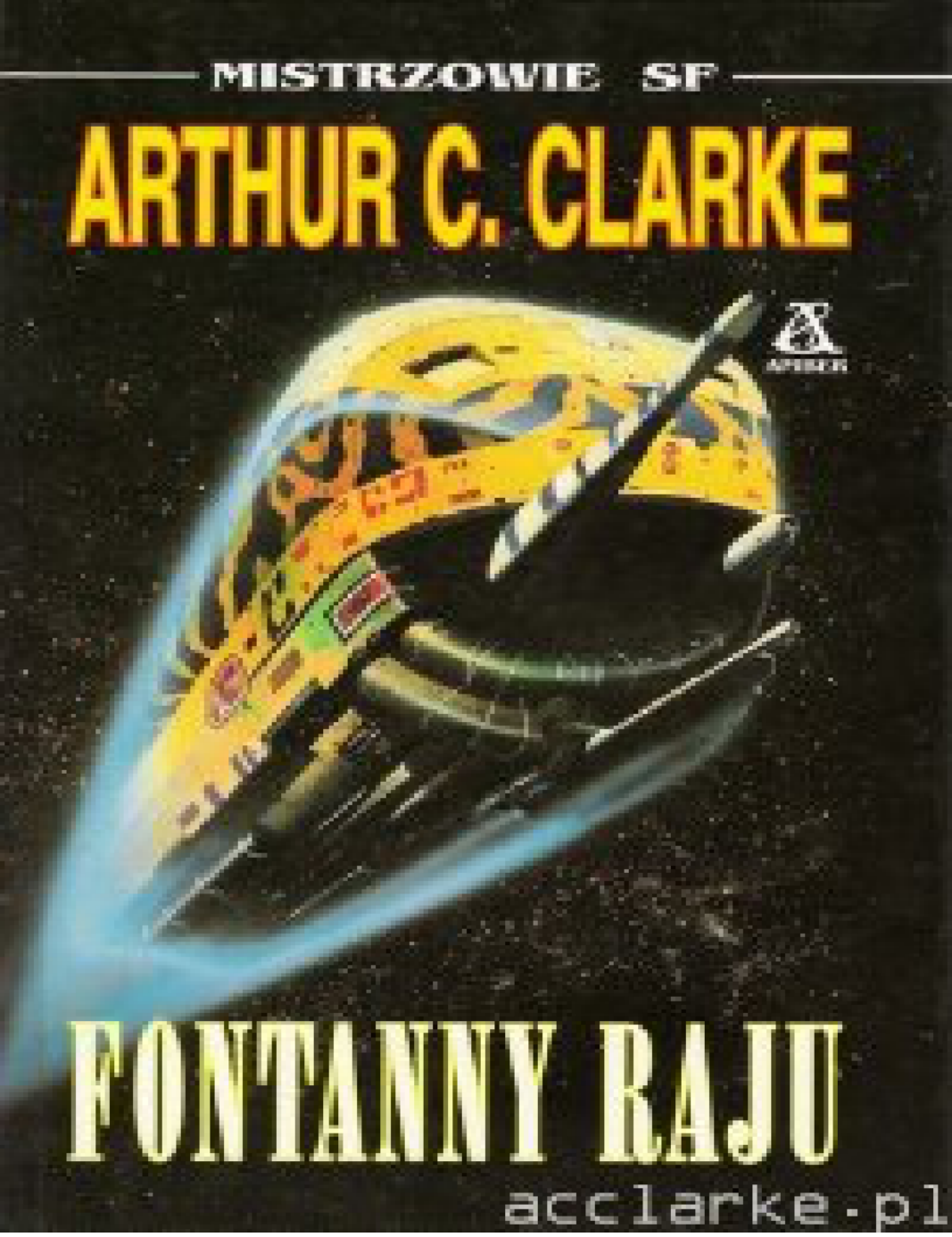

FONTANNY RAJU

acclarke.pl

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Rok 2142. Dr Vannevar Morgan, twórca Mostu Gibraltarskiego, uruchamia plany budowy wyciągu kosmicznego — gigantycznej windy do transportu ludzi i ładunków z powierzchni Ziemi na orbitę. Przedsięwzięcie ma być zrealizowane na położonej na Oceanie Indyjskim wyspie Taprobane. Jednak wybrana przez budowniczych góra okazuje się świętym miejscem, zazdrośnie strzeżonym przez tamtejszych kapłanów…

- Arthur C. Clarke
  - Słowo wstępne
  - CZĘŚĆ PIERWSZA
    - 1. Kalidasa
    - 2. Inżynier
    - 3. Fontanny
    - 4. Skała Demona
    - 5. Przez teleskop
    - 6. Artysta
    - 7. Pałac boskiego króla
    - 8. Malgara
    - 9. Nić
    - 10. Most Mostów
    - 11. Milcząca księżniczka
  - CZĘŚĆ DRUGA
    - 12. Gwiezdny Szybowiec
    - 13. Cień o brzasku
    - 14. Edukacja Gwiezdnego Szybowca
    - 15. Bodhidharma
    - 16. Rozmowy z Gwiezdnym Szybowcem
    - 17. Parakarma
    - 18. Złociste motyle
    - 19. Nad brzegami jeziora Saladin
    - 20. Most który tańczył
    - 21. Sąd
  - CZĘŚĆ TRZECIA
    - 22. Apostata
    - 23. Kosmiczny buldożer
    - 24. Palec boży
    - 25. Orbitalna ruletka
    - 26. Noc przed Vesakiem
    - 27. Stacja Ashoka
    - 28. Pierwsze opuszczenie

- 29. Podejście
- 30. Legiony Kalidasy
- 31. Exodus

○ CZĘŚĆ CZWARTA
- 32. Kosmiczny ekspres
- 33. CZUWA
- 34. Zawrót głowy
- 35. Gwiezdny Szybowiec osiemdziesiąt lat później
- 36. Okrutne niebo
- 37. Diament o wadze miliarda ton

○ CZĘŚĆ PIĄTA
- 38. Bezgłośne sztormy
- 39. Zranione Słońce
- 40. Koniec jazdy
- 41. Meteor
- 42. Śmierć na orbicie
- 43. Niezawodny system
- 44. Podniebna jaskinia
- 45. Właściwy człowiek na właściwym miejscu
- 46. Pająk
- 47. Ponad zorzą
- 48. Noc w willi
- 49. Wyboista droga
- 50. Lecą świetliki
- 51. Na pomoście
- 52. Ten drugi pasażer
- 53. Spowolnienie
- 54. Teoria względności
- 55. Twarde lądowanie
- 56. Widok z balkonu
- 57. Ostatni świt
- 58. Epilog
- Posłowie
- TAPROBANE I CEJLON
- WYCIĄG KOSMICZNY

Arthur C. Clarke
Fontanny raju

LESLIE EKANAYAKE (l3 lipca 1947 – 4 lipca 1977)

Jego to wciąż żywej pamięci poświęcam tę książkę. Był prawdziwym przyjacielem, łączącym w jednej osobie lojalność, inteligencję i zdolność do współczucia. Wraz z Twym odejściem zbladła radość niejednego żywota. NIRVANA PRĀPTO BHŪYĀT.

Polityka i religia już się przeżyły, oto nadszedł czas na naukę i rozwój ducha.

Sri Jawaharlal Nehru podczas przemówienia wygłoszonego na spotkaniu Cejlońskiego Stowarzyszenia Rozwoju Nauk w Colombo

15 października 1962 roku

Słowo wstępne

Z Raju do Taprobane jest czterdzieści mil; stamtąd usłyszeć już można Fontanny Raju.

Przekaz słowny spisany przez ojca Marignolliego (A.D. 1335)

Kraina nazwana przeze mnie Taprobane w zasadzie nie istnieje, jednak na dziewięćdziesiąt procent można identyfikować ją z wyspą Cejlon (obecnie Sri Lanka). Wprawdzie dopiero w *Posłowiu* wyjaśniam szczegóły tyczące lokalizacji, osób i zdarzeń, jednak Czytelnik nie zbłądzi uznając z góry, że mimo fantastyczności akcji nie odbiegam wiele od rzeczywistości. Nazwa „Taprobane" wymawiana jest zwykle z angielska (czyli jej ostatnia sylaba rymuje się wówczas ze słowem „plain"), jednak właściwa wymowa brzmi „Tap-ROB-ani", o czym Milton, rzecz jasna, dobrze wiedział:

Od Indii, złotych półwyspów i przystani,
po najdalszą spośród wysp, Taprobane…

(Raj Odzyskany, Księga IV)

CZĘŚĆ PIERWSZA
Pałac

1. Kalidasa

Z każdym rokiem korona dążyła mu coraz bardziej. Gdy czcigodny Bodhidharma Mahanayake Thero nałożył ją po raz pierwszy na skronie, zdumiony był lekkością tego symbolu godności. Jak niechętnie go wówczas przyjmował! Teraz, po dwudziestu latach, król Kalidasa korzystał z każdej stwarzanej przez dworską etykietę okazji, by odkładać na bok wysadzaną klejnotami złotą obręcz.

Okazji tych miał zresztą całkiem sporo. Z rzadka tylko zdarzało się, że jakiś wysłannik czy petent prosił o posłuchanie. Mało kto docierał na smagany wiatrami wierzchołek, gdzie wzniesiono skalną fortecę; większość podróżników zdążających do Yakkagali cofała się w ostatniej chwili, tuż przed stromym podejściem przez paszczę zastygłego w gotowości do skoku kamiennego lwa. Stary król mógłby równie dobrze nigdy nie zasiadać na swym podniebnym tronie. Któregoś dnia będzie zresztą zbyt słaby, by wdrapać się do własnego pałacu, oczywiście o ile liczni wrogowie dadzą mu poznać trudy starczego zniedołężnienia.

Owi wrogowie zbierali już siły. Król spojrzał na północ, skąd miała nadciągnąć armia jego przyrodniego brata pragnącego objąć skąpany w świeżej krwi tron Taprobane. Zagrożenie było wciąż odległe, oddzielone smaganym monsunowymi deszczami morzem, jednak istniało. Król z zadowoleniem przyjął do wiadomości, że zarówno szpiegowie, którym ufał, jak i astrologowie, nie zawsze godni wiary, w tym wypadku doszli do identycznych wniosków.

Malgara czekał prawie dwadzieścia lat, snując plany i zabiegając o wsparcie obcych królów. Tuż obok jednak czaił się wróg jeszcze cierpliwszy i skłonny do sięgania po znacznie subtelniejsze metody walki. Idealny w proporcjach wierzchołek Sri Kandy, Świętej Góry, rysował się dzisiaj wyjątkowo wyraziście na tle południowego nieba. Zdawał się ciemnieć bardzo blisko, na wyciągniecie ręki, majestatycznie panując nad centralną równiną. Od zarania dziejów sylwetka Świętej Góry napełniała lękiem serca wszystkich, którym dane było ją ujrzeć. Kalidasa ani na chwilę nie potrafił zapomnieć o jej przytłaczającym ogromie i o władzy, której była symbolem.

Mahanayake Thero nie posiadał armii, trąbiących rozgłośnie słoni z brązowymi nakładkami na kły, zdolnych zaszarżować w bitwie. Pierwszy Kapłan był tylko starcem odzianym w pomarańczową szatę, a całym jego majątkiem była miseczka żebracza i liść palmowy chroniący od słońca. Kiedy pomniejsi mnichowie i akolici gromadzili się kręgiem wokół niego i zawodzili święte pieśni, on siadał w milczeniu, krzyżując nogi… A jednak miał dość mocy, by wtrącać się w sprawy królów. Bardzo dziwne…

Powietrze było tego dnia tak czyste, że dawało się dostrzec nawet świątynię, maleńką z tej odległości, biały grot strzały wyrastający na wierzchołku Sri Kandy. Budowla w ogóle nie wyglądała na dzieło człowieka i kojarzyła się królowi z naprawdę potężnymi górami, które widział w młodości, kiedy to jako na poły gość, a na poły zakładnik przebywał na dworze Mahindy Wielkiego. Na wierzchołkach tamtych gór spoczywała biała krystaliczna substancja, nie mająca nawet swej nazwy w językach używanych na Taprobane. Hindusi twierdzili, że to magicznie przemieniona woda, jednak Kalidasa śmiał się zawsze z takich przesądów.

Lśniąca niczym kość słoniowa świątynia odległa była ledwie o trzy dni marszu, najpierw królewską drogą przez puszczę i pola ryżowe, potem krętymi schodami, których pokonanie pochłaniało aż dwie trzecie czasu podróży. Król wiedział, że zapewne nigdy już nie wdrapie się na sam szczyt, bowiem u krańca tej drogi czekał jedyny nieprzyjaciel, którego Kalidasa bał się naprawdę, a którego pokonać nie potrafił. Czasem z zawiścią spoglądał na szereg pochodni niesionych przez pielgrzymów, powoli sunących po stoku góry. Najnędzniejszy żebrak mógł ujrzeć świt na świętym wierzchołku i uzyskać błogosławieństwo bogów, a władcy całej tej krainy nie dane było dostąpić podobnego zaszczytu.

Pozostawało mu wszakże to i owo na pocieszenie. Tuż obok rozciągały się otoczone fosami i wałami obronnymi baseny i fontanny Ogrodów Rozkoszy. Jeśli tylko czas pozwalał, król odwiedzał miejsca, gdzie zgromadzono największe bogactwa jego krainy. Gdy i to go męczyło, były jeszcze dziewczyny, zwane kamiennymi, chociaż w rzeczywistości nad wyraz cielesne. Jednak władca wzywał je coraz rzadziej. No i były jeszcze dwie setki nieśmiertelnych, z którymi Kalidasa często dzielił się myślami, nikomu więcej nie mogąc zaufać.

Błyskawica przecięła niebo na zachodzie, przetoczył się łoskot gromu. Kalidasa odwrócił oczy od ponurego ogromu góry i spojrzał z nadzieją, że może ten piorun zwiastuje deszcz. Monsun opóźniał się w tym roku, sztuczne jeziora ożywiające system nawadniający wyspy wyschły już niemal do cna. O tej porze największe z nich powinno lśnić już gładkim lustrem wody. Król wiedział, że ten najrozleglejszy zbiornik poddani nazywają wciąż od imienia jego ojca, Paravany Samudry, Morzem Paravany. Praca nad nim trwała przez życie kilku pokoleń, a ukończono ją ledwo trzydzieści lat temu. W owym szczęśliwym dniu, kiedy po raz pierwszy otwarto przepusty, młody książę Kalidasa prężył się dumnie u boku swego ojca. Życiodajna woda popłynęła przez spragniony kraj. W całym królestwie nie można było znaleźć widoku piękniejszego, niż odbicie wież i gmachów Ranapury w tafli zwierciadła wód uczynionego ludzką ręką. Ranapura, Złote Miasto, pradawna stolica, którą król porzucił, by zrealizować

swe marzenia…

Kolejny grzmot przetoczył się po niebie, jednak Kalidasa wiedział już, że deszczu z tego nie będzie. Powietrze nad wierzchołkiem Skały Demona trwało w bezruchu, nie czuło się tego charakterystycznego, raptownego podmuchu poprzedzającego nadejście monsunu. Nim deszcz nadejdzie, głód zajrzy w oczy ludowi, przysparzając władcy dodatkowych trosk.

— Wasza Wysokość — rozległ się spokojny głos dworzanina, cierpliwego Adigara. — Wysłannicy zaraz wyjeżdżają. Pragną się jeszcze pożegnać. Ach tak, tych dwóch ambasadorów o bladych obliczach, którzy przybyli zza zachodniego oceanu! Szkoda, że odchodzą, bo przywieźli wiele nowin na obrzydłą już królowi wyspę. Opowiadali niejedno o cudach dalekiego świata, jednak sami przyznawali, że żaden nie mógł się równać z podniebną fortecą i pałacem.

Kalidasa odwrócił się od zwieńczonej bielą Świętej Góry i łaciatej szachownicy zalanych słonecznym blaskiem pól. Po granitowych stopniach ruszył do sali audiencyjnej. Za nim szambelan z pomocnikami dźwigali skarby z kości słoniowej i drogocennych kamieni, dary dla wysokich i dumnych mężczyzn, którzy przyszli złożyć uszanowanie i pożegnać gospodarza. Już niebawem opuszczą Taprobane i popłyną za morze, do miasta młodszego o całe wieki od Ranapury. Dary wezmą ze sobą, by przekazać je swojemu władcy. Możliwe, że widok tych cudów chociaż na chwilę rozjaśni ponure myśli cesarza Hadriana.

Pobłyskując jasnopomarańczową szatą na tle białego muru, Mahanayake Thero podszedł powoli do jego północnej krawędzi. Daleko w dole ciągnęła się po horyzont pstrokata szachownica pól ryżowych obrysowanych ciemnymi liniami kanałów nawadniających, lśniło błękitem jezioro, Morze Paravany, za nim zaś widniały ogromne nawet z tej odległości budowle Ranapury. Od trzydziestu lat mnich wciąż podziwiał wiecznie zmienną panoramę, wiedział jednak, że nigdy nie uchwyci, nie zapamięta wszystkich szczegółów tego krajobrazu. Jego kolory i faktura zmieniały się wraz z porami roku, ba, z każdą przepływającą chmurą. Ja także kiedyś odpłynę jak chmura, pomyślał Bodhidharma, i nawet wtedy ujrzę coś nowego…

Jedno tylko mąciło doskonały w proporcjach krajobraz: szary głaz Skały Demona sterczącej niby intruz z równiny. Zgodnie z legendą skała ta miała zostać przyniesiona tu przez małpiego boga, Hanumana, z Himalajów. Bóg porwał wówczas porośnięty ziołami wierzchołek niewysokiej góry i poniósł całość, nie chcąc zwlekać z lekami dla swych rannych towarzyszy. Miało się to dziać zaraz po zakończeniu bitew *Ramayany*.

Z tej odległości trudno było, rzecz jasna, odróżnić jakiekolwiek

szczegóły siedziby Kalidasy prócz linii fosy i wałów otaczających Ogrody Rozkoszy. Jednak Skała Demona wywierała na każdym widzu wrażenie na tyle silne, że trudno było zapomnieć jej widok. Mahanayake Thero wciąż miał przed oczami widziane niegdyś łapy lwa wystające ze skalnej ściany sporo poniżej blanków. Tam w górze przechadzał się przeklęty król. Niegdyś, a może i dzisiaj…

Grom runął nagle i zdało się, że huk wstrząsnął samymi podstawami góry. Grzmot przemknął przez niebo i zginął gdzieś na wschodzie, a jego echo długo jeszcze błąkało się między horyzontami. Ten odgłos nie zapowiadał deszczu i nikt nie dałby się już na to nabrać. Zgodnie z decyzją Urzędu Kontroli Monsunów, opady miały nadejść dopiero za trzy tygodnie, a Urząd nie mylił się nigdy o więcej niż dwadzieścia cztery godziny. Gdy huk ucichł wreszcie, Mahanayake odwrócił się do swego towarzysza.

— I to by było na tyle, jeśli chodzi o drogę lądowania — rzekł, okazując o wiele więcej wzburzenia niż przystoi przedstawicielowi Dharmy. — Jak odczyty?

Młodszy mnich powiedział kilka słów do naręcznego mikrofonu i poczekał na odpowiedź.

— Szczyt sto dwadzieścia. Pięć decybeli więcej, niż przy poprzednim zapisie.

— Wysłać zwykły protest do Centrum Kennedy'ego lub Centrum Gagarina, które tam jest za to odpowiedzialne. Albo do obu. Chociaż to i tak nic nie da.

Spojrzał na rozpraszającą się z wolna białą smugę kondensacyjną przecinającą niebo na dwoje. Bodhidharma Mahanayake Thero, osiemdziesiąty piąty tego imienia, pomyślał nagle o czymś, co powinno być obce mnichowi. Kalidasa z pewnością znalazłby jakiś sposób na tych fachowców od kosmosu, którzy myśleli tylko o tym, ile dolarów kosztuje wysłanie kilograma masy na orbitę… Może by ich wbił na pal, może rzucił na pastwę obutych w metalowe łapcie słoni, może skąpał we wrzącym oleju…

Ale cóż, wiadomo, że dwa tysiące lat temu życie było o wiele łatwiejsze.

2. Inżynier

Przyjaciele, których liczba topniała z każdym rokiem, zwali go Johan. Reszta świata znała go pod imieniem Raja, jednak świat z rzadka sobie o nim przypominał. Całe zaś jego miano zawierało w sobie ślady pięciuset lat historii: Johan Oliver de Alwis Sri Rajasinghe.

Był czas, że odwiedzający Skałę turyści szukali go z kamerami i magnetofonami, jednak obecne pokolenia nie poznawały już jego oblicza, niegdyś najpopularniejszej twarzy w Układzie Słonecznym. Nie żałował, że dni chwały już minęły, bowiem zaznał wdzięczności ze strony całego rodzaju ludzkiego. Czas przyniósł jednak również rozważania nad popełnionymi błędami i żal za tymi, którzy zginęli za sprawą zwykłego braku cierpliwości i nieumiejętności przewidywania. Oczywiście teraz, z perspektywy lat, wszystko zdawało się łatwe. Teraz wiedział, jak można było zażegnać kryzys auklandzki czy przekonać niechętnych do porozumienia sygnatariuszy paktu szykowanego w Samarkandzie. Obwinianie siebie za niegdysiejsze błędy niczemu nie służyło, było wręcz głupotą, jednak czasem sumienie dokuczało mu bardziej niż stara rana, którą odniósł, gdy postrzelono go w Patagonii.

Nikt nie wierzył, że wytrzyma długo na emeryturze.

— Wrócisz za pół roku — powiedział mu Prezydent Świata, Chu. — Władza jest jak narkotyk.

— Nie dla mnie — odparł wówczas szczerze. Władza bowiem sama weszła mu w ręce, nigdy się o nią nie starał. Zawsze też dysponował tylko ograniczoną władzą, doradczą raczej niż wykonawczą. Był asystentem do spraw specjalnych (w randze ambasadora), a polem jego działania była polityka. Za to co robił, odpowiadał bezpośrednio przed Prezydentem i Radą, która nigdy nie liczyła więcej niż dziesięciu członków; no, jedenastu, jeśli doliczyć Arystotelesa (jego domowy komputer miał wciąż swobodny dostęp do banków pamięci i procesorów Arystotelesa i kilka razy do roku zdarzało im się uciąć małą pogawędkę). Jednak przez cały czas Rada niezmiennie przyjmowała jego rady i świat darzył go wielkim zaufaniem i wdzięcznością. Lwia część tych odczuć należała się w rzeczywistości nie jemu, ale bezimiennej i nie zaszczycanej pochwałami armii urzędników Komitetu Pokoju.

Tak zatem, jako Ambasador Świata, Rajasinghe zdobywał popularność przemierzając Ziemię od jednego do drugiego zapalnego miejsca, tutaj wzmacniając czyjeś ego, gdzie indziej oddalając groźbę kryzysu, z niedościgłą wprawą manipulując kategoriami prawdy. Nigdy, rzecz jasna, nie skalał się kłamstwem, to mogłoby mieć fatalne skutki. Bez niezawodnej pamięci Arystotelesa nigdy nie zdołałby

powiązać wątków tych wszystkich spraw, z którymi przyszło mu się zmierzyć, aby ludzkość mogła żyć w pokoju. W końcu rozgrywka sama w sobie zaczęła sprawiać mu satysfakcję i to był znak, że pora się wycofać.

Rzecz miała miejsce dwadzieścia lat temu i nigdy nie zdarzyło się, by pożałował owej decyzji. Ci, którzy przewidywali, że nuda pokona tego, kto oparł się pokusom władzy, albo go nie znali, albo nie rozumieli kultury otaczającej Johana od dzieciństwa. Wrócił między pola i lasy młodości i zamieszkał o kilometr od wielkiej ponurej skały, obecnej we wszystkich wspomnieniach ze szczenięcych lat. Sama willa została wzniesiona wewnątrz niegdysiejszej szerokiej fosy otaczającej dawniej Ogrody Rozkoszy, a zbudowane przez architekta króla Kalidasy fontanny tryskały teraz na podwórku domu Johana, znów szemrały po dwóch tysiącach lat milczenia. Woda dopływała niezmiennie oryginalnymi, kamiennymi akweduktami, wszystko pozostało takie samo i tylko cysterny na szczycie skały napełniały się obecnie dzięki pracy pomp elektrycznych, a nie mozołowi spoconych niewolników. Zdobycie tego przesiąkniętego historią spłachetka ziemi pod emerycką siedzibę sprawiło Johanowi więcej satysfakcji, niż cala dotychczasowa kariera; oto spełniło się marzenie uznawane dotąd za nieziszczalne. Aby dopiąć swego, musiał sięgnąć po cały kunszt wprawnego dyplomaty i po cichu zaszantażować nawet Ministerstwo Archeologii. Później pojawiło się wprawdzie kilka interpelacji w parlamencie, ale wszyscy zbyli je milczeniem.

Odizolował się od świata poszerzając fosę. Tylko najbardziej zdeterminowani turyści i studenci gotowi byli pokonać taką przeszkodę. Przed wścibskimi spojrzeniami chroniła go zwarta ściana zmutowanych drzew ashoka, przez cały rok okrytych kwiatami. Na drzewach tych przemieszkiwało także kilka rodzin małp, stworzeń zabawnych, jednak skłonnych co jakiś czas urządzać najazdy na dom i przywłaszczać sobie całe mienie ruchome, które wzbudziło ich zainteresowanie. Ostatecznie doszło do kilku kampanii międzygatunkowych z użyciem petard i odtwarzanych z taśmy krzyków ostrzegających o zagrożeniu, co okazało się bardziej stresujące dla ludzi niż dla małpiatek, które zresztą rychło wracały. Bestie już dawno nauczyły się, że tak naprawdę nikt nie czyni im tu krzywdy.

Niebo nad Taprobane rozjaśniał właśnie jeden z najwspanialszych w dziejach zachodów słońca, gdy niewielki elektryczny trójkołowiec podjechał cicho między drzewami i przystanął obok granitowych kolumn portyku (prawdziwy genueński Chola z późnego okresu Ranapury, i tym samym kompletny anachronizm w takim otoczeniu, wszelako jedynie profesor Sarath zauważył to niegdyś i skomentował głośno; oczywiście nie miało to żadnego wpływu na gust gospodarza).

Doświadczywszy wielu gorzkich pomyłek, Rajasinghe przywykł nie oceniać nigdy nikogo na podstawie pierwszego wrażenia, wiedział jednak, że nie należy również takich wrażeń ignorować. Oczekiwał poniekąd, że Vannevar Morgan będzie w jakiś sposób przypominał wyglądem swe monumentalne dzieła, jednak inżynier okazał się wzrostu mniej niż średniego, wręcz wątły. Niemniej smukła sylwetka emanowała siłą, a okolona kruczoczarnymi włosami twarz należała z pozoru do osoby o wiele młodszej niż pięćdziesięciojednoletni mężczyzna. Przechowywane w pamięci Arystotelesa nagranie było mylące: ten człowiek winien zostać skłonnym do romantycznych uniesień poetą lub pianistą, albo aktorem zdolnym jednym gestem hipnotyzować tłumy widzów. Rajasinghe znał ten rodzaj władzy, nie raz stawiał mu czoło w karierze dyplomaty i oto przyszło mu się zmierzyć z kimś takim ponownie. Nie wolno nie doceniać ludzi niewielkich wzrostem, ostrzegł się w myślach, tacy jak oni zdolni są ruszyć z posad bryłę świata.

Wraz z tąmyślą pojawił się cień niepokoju. Niemal co tydzień zdarzało się, że zaglądali tu dawni przyjaciele lub niegdysiejsi adwersarze, by podzielić się najnowszymi ploteczkami, poradzić się, powspominać przeszłość. Gospodarz mile witał takich gości, bowiem dodawali kolorytu jego obecnemu życiu, jednak zawsze potrafił precyzyjnie określić zakamuflowany cel podobnej wizyty i przyjęty sposób maskowania. Wszelako wedle najlepszej wiedzy Rajasingha Morgan był kimś odmiennym. Nigdy dotąd się nie spotkali, nie zamienili ani słowa, nie łączyły ich żadne wspólne zainteresowania (prócz tych zwyczajnych, charakterystycznych dla mężczyzn w pewnym wieku), Johan ledwo pamiętał jak brzmi imię gościa. Tym niezwyklejsza wydawała się prośba inżyniera, by fakt ich spotkania utrzymać w tajemnicy.

Rajasinghe był niechętny takiej zabawie w sekrety. Dość miał wszelkich tajności, nie pragnął ich, tocząc spokojne i dobrze zorganizowane życie emeryta. Raz na zawsze skończył z wszystkimi wymogami bezpieczeństwa i tajnymi służbami. Dziesięć lat temu, a może jeszcze wcześniej, sam odprawił swoją ochronę. Jednak najbardziej niepokoiła go nie tyle prośba o dyskrecję, ale kompletna niewiedza, czemu właściwie ma służyć owa wizyta. Naczelny inżynier (do spraw budownictwa lądowego) Terran Construction Corporation nie zwykł raczej przemierzać paru tysięcy kilometrów po to jedynie, by poprosić o autograf czy złożyć wyrazy szacunku, jak zdarzało się to turystom. Musiał mieć konkretny cel, nader istotny i ważki zapewne. Jaki wszakże, tego Rajasinghe nie potrafił sobie wyobrazić.

Nawet w czasach aktywnej działalności Johanowi Rajasinghe nie zdarzyło się nigdy zetknąć z TCC, z żadną z trzech jej agend: Budownictwa Lądowego, Działalności Podmorskiej i Konstrukcji

Kosmicznych. Chociaż każda była nad wyraz potężną instytucją, nie przysparzały zmartwień wyspecjalizowanym agendom Światowej Federacji. Chyba że zdarzała się jakaś obfitująca w poważne konsekwencje katastrofa budowlana lub obrońcy środowiska czy innych wartości, na przykład historycznych, podnosili krzyk przeciwko jakiejś inwestycji, wyciągając przy tej okazji TCC z cienia. Ostatnia z takich konfrontacji dotyczyła rurociągu antarktycznego, prawdziwego cudu inżynierii dwudziestego pierwszego wieku, przesyłającego na cały świat uwodniony węgiel z bogatych złóż polarnych. Popadając w ekologiczny zapał, TCC zaproponowało rozebranie ostatniej sekcji rurociągu i przekazanie krainy z powrotem we władanie pingwinom. Przerażeni perspektywą takiego aktu wandalizmu, archeolodzy przemysłu natychmiast podnieśli wrzask. Zaprotestowali też ekolodzy-naturaliści dowodząc, że pingwiny już dawno ukochały nieczynny i opuszczony rurociąg. Urządziły sobie tam wspaniałe siedziby o standardzie przewyższającym wszystko, co poznał dotąd ród pingwini, i mnożyły się dzięki temu tak efektywnie, że orki ledwie dawały sobie radę z ograniczaniem ich populacji. Ostatecznie TCC poddało się bez walki.

Rajasinghe nie miał pojęcia, czy Morgan był w jakikolwiek sposób zaangażowany w tę drugorzędną debatę. Zresztą to nieważne, skoro imię jego kojarzono z największym triumfem TCC…

Ochrzczono to arcydzieło Mostem Mostów i zapewne trafnie wybrano tę nazwę. Razem z połową mieszkańców świata Rajasinghe przyglądał się wówczas, jak ostatnia sekcja mostu uniosła się lekko w przestworza podczepiona pod brzuchem *Grafa Zeppelina,* sterowca, który sam w sobie był jeszcze jednym z cudów epoki. Na tę okazję usunięto całe luksusowe wyposażenie ogromnego statku powietrznego, opróżniono słynny basen pływacki, a reaktory dodatkowo podgrzały powietrze w zbiornikach wypornościowych. Po raz pierwszy zdarzyło się, że upiorny ciężar ponad trzech tysięcy ton został dźwignięty na wysokość trzech kilometrów i wszystko (bez wątpienia ku pewnemu zawodowi milionów widzów) poszło jak z płatka.

Odtąd żaden statek mijający Słupy Herkulesa nie przepływał pod mostem bez oddania honorów tej największej budowli stworzonej ręką człowieka. Bliźniacze wieże wznoszące się na granicy wód Morza Śródziemnego i Atlantyku były najwyższymi konstrukcjami świata, a pomiędzy nimi rozciągał się misterny łuk Mostu Gibraltarskiego — piętnaście kilometrów zawieszonej jakby w powietrzu jezdni. Spojrzenie w twarz człowieka, który to zaprojektował, można było spokojnie uznać za przywilej. Nawet jeśli człowiek ten spóźnił się o godzinę.

— Proszę przyjąć moje przeprosiny, panie ambasadorze —

powiedział Morgan, schodząc z trójkołowca. — Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałem panu żadnych planów moim spóźnieniem.

— W żadnym razie, jestem panem mojego czasu. Mam nadzieję, że zdążył pan już coś przekąsić?

— Tak. Jakby w nagrodę za odwołanie spotkania w Rzymie uraczono mnie wspaniałym lunchem.

— Zapewne był on o wiele lepszy niż to, co mógłby pan dostać w hotelu Yakkagala. Zarezerwowałem tam dla pana nocleg. To ledwie kilometr stąd. Obawiam się, że będziemy musieli odłożyć naszą rozmowę do jutrzejszego śniadania.

Morgan nie zdołał ukryć rozczarowania, ale ostatecznie wzruszył ramionami z rezygnacją.

— Cóż, mam wiele pracy, ale rozumiem, że hotel dysponuje standardowym wyposażeniem, a przynajmniej funkcjonującym w sieci terminalem.

Rajasinghe roześmiał się.

— Nie sądzę, by mieli tam cokolwiek więcej ponad wynalazek telefonu. Jednak chciałbym panu coś zaproponować. Za pół godziny wybieram się z grupką przyjaciół na szczyt skały, by podziwiać przedstawienie typu *sonet-lumiere*. Panu też jestem skłonny je polecić. Proszę się z nami zabrać.

Morgan wyraźnie zawahał się i zacząć szukać uprzejmej wymówki.

— To bardzo miło z pana strony, ale muszę skontaktować się z moim biurem…

— Może pan skorzystać z mojego komputera. Zapewniam, że widowisko pana zachwyci, a potrwa tylko godzinę. Och, zapomniałbym, że nie chce pan ujawniać swojej obecności na wyspie… Przedstawię pana jako doktora Smitha z Uniwersytetu Tasmanii. Pewien jestem, że moi przyjaciele pana nie rozpoznają. Rajasinghe nie miał w żadnym przypadku zamiaru urazić Morgana, ale ten najwyraźniej lekko się zirytował. W gospodarzu obudził się momentalnie duch byłego dyplomaty, który zapisał taką a nie inną reakcję gościa w pamięci. Kto wie, co jeszcze może się przydać?

— Z pewnością mnie nie rozpoznają — odparł Morgan, a Rajasinghe uchwycił gorzką nutę pobrzmiewającą w jego głosie. — Niech będzie doktor Smith. Muszę tylko skorzystać z pańskiego terminalu.

Ciekawe, chociaż najpewniej bez większego znaczenia, pomyślał Rajasinghe, prowadząc gościa do wnętrza willi i wysnuwając wstępną hipotezę na temat Morgana: to człowiek sfrustrowany, może nawet nieszczęśliwy. Czemu? Trudno powiedzieć, bowiem jest jednym z najlepszych w swej profesji. Czegóż jeszcze może pragnąć? Istniała jedna oczywista odpowiedź; Rajasinghe dobrze znał te symptomy…

Chociaż w jego własnym przypadku sprawa już dawno się wypaliła.

— *Sława to ostroga,* przypomniał sobie w myślach. Jak to szło dalej? *To ostatnia słabość szlachetnego umysłu… By zbierać zaszczyty i pracowicie spędzać dni…*

Tak, to by wyjaśniało owo wrażenie dyskomfortu wychwycone przez wyczulone zmysły Rajasingha, który przypomniał sobie most rozpięty niczym łuk tęczy między Europą a Afryką. Niemal zawsze zwano go po prostu mostem, rzadziej Mostem Gibraltarskim, ale nigdy Mostem Morgana.

Tak, pomyślał Rajasinghe, jeśli szuka pan sławy, panie Morgan, tutaj jej pan nie znajdzie. Ale jeśli tak, to po jakie licho właściwie przybył pan na niewielką cichą wyspę Taprobane?

3. Fontanny

Przez wiele dni słonie i niewolnicy trudzili się pod palącymi promieniami słońca, wnosząc na szczyt klifu niezliczone wiadra pełne wody.

— Czy już? — pytał nieustannie król.

— Jeszcze nie, Wasza Wysokość — odpowiadał zarządzający robotami mistrz. — Zbiornik nie jest jeszcze pełen. Ale może już jutro…

W końcu przyszło to właściwe jutro i cały dwór zebrał się w Ogrodach Rozkoszy, pod baldachimami z jasno farbowanego płótna. Sam król zażywał ochłody w podmuchach wielkich wachlarzy obsługiwanych przez ochotników, którzy uzyskali ten ryzykowny przywilej dzięki łapówkom wręczanym szambelanowi. Takie machanie wachlarzem mogło równie dobrze przywieść do majątku, jak i do śmierci.

Jednak teraz wszystkie oczy wpatrywały się w Skałę Demona i drobne postaci poruszające się na wierzchołku. Załopotała flaga, w dole odpowiedziało jej krótkie granie rogu. Robotnicy u szczytu urwiska zaczęli manipulować gwałtownie jakimiś lewarami, ciągnąć jakieś liny… Jednak przez dłuższą chwilę nic się nie działo.

Król zmarszczył brwi i cały dwór zadrżał. Nawet wachlarze zamarły na chwilę, po czym ruszyły szybciej, jakby machającym wróciła pamięć o tym, co grozi za niedbałe wykonywanie tego zadania. Potem robotnicy u stóp Yakkagali krzyknęli rozgłoś — nie, a był to krzyk radości i triumfu, który niósł się coraz bliżej, podejmowany przez kolejnych ludzi zgromadzonych na obsadzonych kwiatami ścieżkach. Po chwili dołączył doń jeszcze jeden dźwięk, nie tak głośny, jednak bardziej natarczywy. Odgłos uwolnionych wreszcie, niepowstrzymanych sił natury.

Jak za sprawą magii, jedna po drugiej, z ziemi trysnęły ku bezchmurnemu niebu kolumny wody. Każda czterokrotnie przewyższała wzrost dorosłego człowieka, każda rozkwitała na końcu, siejąc tęczową kurzawę. Promienie słońca zabarwiały wodne słupy kolorami, a wodna mgiełka dodawała urokliwości całej scenie. Nigdy jeszcze w historii Taprobane nie dane było ludzkim oczom oglądać takiego cudu.

Król uśmiechnął się i dwór poważył się wreszcie znów zaczerpnąć powietrza. Tym razem zakopane w ziemi rury wytrzymały ciśnienie i nie rozpękły się pod naporem wody. W odróżnieniu od swych pechowych poprzedników, obecni budowniczowie mieli szansę dożyć sędziwego wieku, jak wszyscy pozostający w służbie Kalidasy.

Słupy wody były coraz niższe, gasły równie nieuchronnie jak

promienie zachodzącego słońca. Nie wyrastały już powyżej ludzkiej głowy, zbiorniki musiały być niemal puste. Król jednak nie krył zadowolenia. Uniósł dłoń i fontanny opadły, by raz jeszcze trysnąć żywiej, jakby z szacunku dla majestatu tronu, po czym cicho usnęły. Powierzchnie stawów marszczyły się przez kilka chwil, aż zamarły w końcu i poczęły znów gładko odbijać obraz prawiecznej skały.

— Robotnicy dobrze się sprawili — powiedział Kalidasa. — Obdarować ich wolnością.

Oczywiście nikt nigdy nie zrozumie, jak dobrze się sprawili, bowiem współcześni nie potrafili docenić wizji osamotnionego króla-artysty. Podziwiając pieczołowicie utrzymane ogrody otaczające Yakkagalę, król przeżywał najpiękniejsze chwile swego życia.

Udało mu się stworzyć u stóp skały prawdziwy raj. Teraz pozostało jedynie przemienić jej wierzchołek w boskie niebo.

4. Skała Demona

Starannie zaplanowane widowisko typu światło i dźwięk robiło niezmiennie na Rajasinghu silne wrażenie, chociaż widział je już z tuzin razy i znał na pamięć wszystkie punkty programu. Każdy, kto przybywał aby ujrzeć skałę, musiał wziąć udział także i w przedstawieniu, chociaż krytycy w rodzaju profesora Saratha zwykli sarkać, że to tylko uproszczony na użytek turystów esktrakt historii. Jednak nawet taka namiastka była lepsza niż brak jakiejkolwiek informacji, szczególnie że środowisko, które reprezentował Sarath, wciąż nie mogło dojść do porozumienia, jaka właściwie była precyzyjna chronologia wszystkich tych zdarzeń sprzed dwóch tysięcy lat.

Niewielki amfiteatr na dwieście miejsc otwierał się na zachodnią ścianę Yakkagali, przy czym siedziska zostały tak rozplanowane, by wszyscy mogli w jednakim stopniu podziwiać laserowe przedstawienie. Niezależnie od pory roku zaczynało się zawsze o dziewiętnastej, kiedy ostatnie promienie równikowego słońca znikały z nieboskłonu.

Skała ginęła już w mroku, trwając jedynie jako czarny zarys na tle bladych jeszcze gwiazd. Nagle gdzieś z ciemności dobiegł przytłumiony i powolny rytm bębnów i spokojny, stonowany głos:

Oto opowieść o królu, który zamordował swego ojca i zginął z ręki brata. Oto fragment krwawej historii rodzaju ludzkiego, w sumie nic szczególnego, nic nowego. Jednak ten właśnie król zostawił po sobie niezwykły pomnik, jak i legendę, która przetrwała stulecia…

Rajasinghe zerknął na Vannevara Morgana, który siedział w mroku po jego prawej stronie. Chociaż dojrzał tylko profil gościa, poznał, że inżynier poddał się nastrojowi. Po lewej miał dwóch innych gości, starych przyjaciół z czasów kariery dyplomatycznej, równie pochłoniętych. Zgodnie z przewidywaniami nie rozpoznali „pana Smitha", a jeśli nawet, to uprzejmie zgodzili się podtrzymać fikcję.

Nazywał się Kalidasa i urodził się w sto lat po Chrystusie. Działo się to w Ranapurze, Złotym Mieście, przez wieki stolicy królów Taprobane. Od początku cień legł na jego narodzinach…

Muzyka nabrała mocy, do bębnów dołączyły flety i gitary. Hipnotyczna melodia płynęła przez noc. Na skalnej ścianie zapłonął świetlisty punkt, który nagle rozwinął się, niby magiczne okno w czas miniony, ukazując obraz bardziej żywy i kolorowy niż sama rzeczywistość.

Idealne wyczucie dramaturgii, pomyślał Morgan, i w jednej chwili odrzucił wszystkie wahania, czy dobrze zrobił pozwalając, by chęć zażycia odrobiny rozrywki wygrała z obowiązkami. Patrzył na radość

króla Paravany, gdy ulubiona konkubina pokazała mu pierworodnego syna, i zrozumiał jego smutek i rozterkę, kiedy ledwie dwadzieścia cztery godziny później królowa zrodziła prawowitego dziedzica. Chociaż Kalidasa pierwszy przybył na świat, to nie miał zostać następcą tronu, co legło u podstaw późniejszej tragedii.

Wszelako we wczesnym dzieciństwie obaj chłopcy byli najlepszymi przyjaciółmi. Kalidasa i Malgara rośli razem nieświadomi tego, że w gruncie rzeczy są rywalami, i nic nie wiedzieli o kłębiących się wkoło ich osób intrygach. Pierwsza niesnaska nie miała nic wspólnego z fatum urodzenia, wynikła z ofiarowanego w dobrej wierze, niewinnego prezentu.

Na dwór króla Paravany napływały wówczas dary z całego świata: jedwab z Chin, złoto z Hindustanu, lśniące zbroje z cesarskiego Rzymu. Pewnego dnia przywędrował do miasta prosty myśliwy z dżungli i przyniósł coś, czym miał nadzieję ucieszyć rodzinę królewską…

Wszędzie wokół Morgana rozległy się mimowolne ochy i achy. Chociaż sam inżynier nie był nigdy miłośnikiem żadnej zwierzyny, to musiał przyznać, że drobna i śnieżnobiała postać małpki, która umościła się ufnie w objęciach młodego księcia Kalidasy, robiła wrażenie. Z pomarszczonej twarzyczki dwoje wielkich oczu patrzyło poprzez stulecia — i poprzez tę tajemniczą, ale pokonywalną w znacznej mierze przestrzeń oddzielającą ludzi od zwierząt.

Wedle Kronik *nigdy dotąd nie widziano jeszcze podobnego zjawiska. Jej sierść była biała jak mleko, a oczy czerwone jak rubiny. Niektórzy poczytali to za dobry znak, inni za zły omen, bowiem biel jest kolorem śmierci i żałoby. Niestety, właśnie obawy tych drugich okazały się słuszne.*

Książę Kalidasa pokochał swego ulubieńca i nazwał go Hanuman od imienia dzielnego małpiego boga opisywanego w Ramayanie. *Królewski złotnik zbudował mały złoty wózek, w którym Hanumah bywał obwożony po całym dworze, ku wielkiej zresztą uciesze wszystkich widzów.*

Hanuman też na swój sposób pokochał Kalidasę i tylko jemu pozwalał się brać na ręce. Szczególnie zazdrosny zaś było księcia Malgarę, zupełnie jakby wyczuwał w nim przyszłego konkurenta. Pewnego dnia zdarzyło się, że ugryzł nawet następcę tronu.

Chociaż ukąszenie było drobne, to konsekwencje znaczące. Kilka dni później Hanuman został otruty, bez wątpienia na rozkaz królowej. Tak dobiegło końca dzieciństwo Kalidasy. Powiada się, że od tamtego dnia nie pokochał już żadnej ludzkiej istoty, nikomu nie zaufał, cała zaś jego przyjaźń wobec Malgary zmieniła się w zawziętą wrogość.

Śmierć małej małpki miała jeszcze inne konsekwencje. Na rozkaz króla zbudowano Hanumanowi specjalny grobowiec na wzór kapliczek w kształcie dzwonu lub dagoby. *Było to na tyle niezwykłe posunięcie, że z miejsca spotkało się z gniewną reakcją mnichów.* Dagoby *zwyczajowo związane były z kultem Buddy i postanowienie króla uznane zostało za świętokradztwo. W rzeczy samej możliwe, że takie też były intencje*

władcy, król Paravana bowiem ulegał wówczas wpływom hinduistycznego kultu swami i coraz dalszy był od buddyzmu. Wprawdzie książę Kalidasa nie mógł być, z racji młodego wieku, zamieszany w konflikt, to jednak spora część nienawiści duchowieństwa spadla i na niego. Tak zaczął się spór, który w późniejszych latach miał zadecydować o rozpadzie królestwa.

Jak wiele legend, tak i opowieść o Hanumanie i księciu Kalidasie zdawała się przez wiele lat być jedynie bajką, aż w roku 2015 zespół archeologów z Harvardu odkrył na terenie dawnego pałacu Ranapury fundamenty niewielkiego grobowca. Wszystko wskazywało na to, że budowla została rozmyślnie zburzona, bowiem nie trafiono nawet na ślad ścian czy zadaszenia.

Komora grobowa była pusta, bez wątpienia przed wiekami zrabowano z niej wszystko, co było warte uwagi. Jednak badacze mieli urządzenia, o których nie śniło się nawet dawnym poszukiwaczom skarbów. Z ich pomocą, wykorzystując wiązki neutrino, *odkryli pod spodem drugą komorę grobową. Ta wierzchnia musiała powstać dla zmylenia rabusiów i złoczyńców. Dobrze spełniła swe zadanie, bowiem dolne pomieszczenie przechowało w nietkniętym stanie cały bagaż miłości i nienawiści, zamknięty w nim przed tysiącami lat. Wszystko to zostało następnie umieszczone w Muzeum Ranapury.*

Morgan zawsze uważał się za mężczyznę opanowanego, rzeczowego, nieskłonnego do wzruszeń i trzeba przyznać, że było w tym sporo prawdy. Teraz jednak, ku własnemu zakłopotaniu, poczuł niespodziewanie drobiny wilgoci w kącikach oczu. Byle tylko siedzący obok tego nie dostrzegli… Co u licha, pomyślał ze złością, czemu właściwie przejmuję się tą przesłodzoną melodyjką i sentymentalną narracją? Żeby widok zabawek jakiegoś dziecka skłaniać miał do płaczu?

Nagle przypomniał sobie chwilę sprzed ponad czterdziestu lat i zrozumiał, skąd wzięło się jego nagłe wzruszenie. Oto jego wpaniały i wypieszczony latawiec unoszący się w podmuchach wiatru nad Sydney, a dokładnie nad parkiem, w którym Morgan spędził znaczną część swego dzieciństwa. Znów poczuł ciepło słonecznych promieni i wietrzyk chłodzący nagie plecy. Był to wietrzyk zdradliwy, w pewnej chwili bowiem ustał nagle i latawiec zanurkował ku ziemi, osiadając na gałęziach gigantycznego dębu bardziej zapewne wiekowego, niż sam kraj zwany Australią. Chłopak nierozważnie pociągnął za sznurek, by uwolnić latawiec. Przy okazji odebrał pierwszą lekcję w zakresie wytrzymałości materiałów. Lekcję wręcz niezapomnianą.

Sznurek zerwał się przy samym mocowaniu i latawiec poszybował przez letnie niebo, z wolna tracąc wysokość. Morgan pogonił na skraj wody, maj ąc jeszcze nadzieję, że dzieło jego rąk spadnie na plażę, ale wiatr nie chciał wysłuchać modlitw małego chłopca.

Długo stał potem i łkał, odprowadzając spojrzeniem połamane szczątki, które fale unosiły przez olbrzymią zatokę na pełne morze. W końcu przypominający pozbawioną masztu łódź zarys zniknął z oczu. Oto był pierwszy z tych małych dramatów, które kształtują przyszłego mężczyznę, choćby nawet, będąc dzieckiem, rychło o nich zapominał.

Jednak Morgan stracił tylko zabawkę, przedmiot nieożywiony, płakał z bezsilnej złości raczej, niż z prawdziwego żalu. Książę Kalidasa miał rzeczywisty powód do łez. Wewnątrz złotego wózka, który wyglądał wciąż tak samo jak w dniu, gdy opuścił warsztat rzemieślnika, spoczywała kupka drobnych białych kości.

W zamyśleniu Morgan przestał zwracać uwagę na tok opowieści. Nim oczy mu obeschły, na ekranie minęło kilkadziesiąt lat i waść rodzinna była już w pełnym rozkwicie. Włączywszy się ponownie, inżynier miał kłopoty z ustaleniem, kto kogo właściwie morduje. Po ostatniej bitwie i zatopieniu w cudzym ciele ostatniego sztyletu, książę Malgara i królowa matka uciekli do Indu, a Kalidasa objął tron, swojego ojca zaś wtrącił do więzienia.

Uzurpator oszczędził Paravanę nie tyle za sprawą synowskiego afektu, ale przekonania, że stary król wciąż chowa gdzieś jakieś skarby przeznaczone dla Malgary. Paravana dobrze wiedział, że jak długo syn myśli o złocie, tak długo nie zrobi ojcu krzywdy. W końcu poczuł się zmęczony tą zwodniczą grą.

— Pokażę ci mój prawdziwy skarb — powiedział pewnego dnia. — Każ przyprowadzić rydwan, a wskażę drogę. Jednak swą ostatnią podróż stary król odbył nie w wystawnym pojeździe jak Hanuman, ale w wózku ciągnionym przez woły. Zapiski podają, że oś była uszkodzona i piszczała przez cały czas. To ostatnie musiało być prawdą, bowiem kronikarze zwykłe nie trudzą się wymyślaniem takich detali.

Ku zdziwieniu Kalidasy ojciec kazał zawieźć się nad wielkie sztuczne jezioro, dostarczające wody całej centralnej części królestwa, jezioro, którego budowa była głównym zadaniem Paravany w czasach jego panowania. Podszedł do brzegu i spojrzał na swój własny posąg, dwakroć odeń większy i wpatrujący się nieustannie w obszar wód.

— Żegnaj, przyjacielu — powiedział do kamiennej postaci symbolizującej minioną już świetność. W dłoniach posągu spoczywała mapa wewnętrznego morza. — Strzeż mego dziedzictwa.

Potem, wciąż pod czujnym spojrzeniem Kalidasy i strażników, zszedł po stopniach wykutych w obramowaniu przelewu. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy woda sięgała mu do pasa. Tamże, zmoczywszy głowę, krzyknął dumnie do syna:

— Patrz, oto moje bogactwo! — i skinął ręką na wielki zbiornik życiodajnej wody. — Oto całe moje bogactwo!

— Zabić go! — wrzasnął wściekły i rozczarowany Kalidasa. A

strażnicy posłuchali.

Tak zatem Kalidasa został władcą Taprobane, jednak za cenę, którą niewielu zgodziłoby się zapłacić. Jak podają Kroniki, zawsze odtąd żył „w strachu przed śmiercią, lękając się brata". Oczywistym było, że wcześniej czy później Malgara upomni się o należny mu zgodnie z prawem tron.

Przez kilka lat Kalidasa, tak jak wielu innych królów przed nim, mieszkał w Ranapurze. Potem, z przyczyn o których historia milczy, porzucił stolicę na rzecz skalnego monolitu Yakkagali, izolowanej fortecy w dżungli, czterdzieści kilometrów od miasta. Niektórzy sugerowali, że szukał tam schronienia przed zemstą brata, jednak ostatecznie Kalidasa porzucił ten zakątek. Poza tym, skoro miałaby to być jedynie cytadela, czemu otoczona została tak niezwykłymi ogrodami, których stworzenie wymagało niewątpliwie równie wiele pracy, jak budowa wałów obronnych i fos. A przede wszystkim, czemu kazał ozdobić swą siedzibę freskami?

Zadawszy to ostatnie pytanie narrator zawiesił głos, a widzowie ujrzeli nagle cały zachodni stok skały — nie takim, jaki jawił się obecnie, ale w postaci sprzed dwóch tysięcy lat. Około stu metrów nad ziemią biegł otaczający skałę pas wygładzonego kamienia, tu i ówdzie wyrównany zaprawą. Na nim zaś widniały wymalowane postacie pięknych kobiet. Wszystkie w naturalnych wymiarach, ukazane tylko od pasa w górę, niektóre z profilu, inne *en face,* wszystkie zaś powielały jeden podstawowy wzór.

Skórę miały w barwie ochry, piersi pełne, odziane jedynie w klejnoty lub przejrzyste szaty. Niektóre nosiły wysoko upięte włosy, inne coś jakby korony. W dłoniach trzymały naręcza kwiatów lub pojedyncze kwiatki, ostrożnie ujęte miedzy kciukiem a palcem wskazującym. Niektóre miały nieco ciemniejszą skórę i wyglądały na służące, jednak i ich postacie odtworzone zostały z tym samym pietyzmem.

Niegdyś było tych postaci ponad dwieście, jednak deszcze i wiatry starły przez stulecia niemal wszystkie, aż zostało ledwie dwadzieścia chronionych przez skalne nawisy…

Z ciemności wypłynęły obrazy ostatnich ocalałych tworów wyobraźni króla Kalidasy. W tle pojawiły się delikatne tony *Tańca Anitry*. Mimo tortury wody i powietrza, mimo uporu wandali, panny nie straciły nic ze swej urody. Niezmiennie jasne barwy nie uległy nawet słońcu, które już ponad pół miliona razy zalewało je przedwieczorną patoką. Boginie czy kobiety, wciąż ożywiały legendę skały.

Nikt nie wie, kim były, kogo przedstawiały ani czemu tak misterne wizerunki pojawiły się w podobnie niedostępnym miejscu. Najczęściej cytowana teoria powiada, że miały to być istoty niebiańskie i że Kalidasa

zamierzał stworzyć królestwo niebieskie na ziemi. Być może sam uważał się za boga, podobnie jak egipscy faraonowie. Może dlatego zapożyczył od nich symbol sfinksa strzegącego wejścia do pałacu. Na ekranie pojawiła się panorama skały ze zwierciadłem niewielkiego jeziorka u podstawy. Obraz rozmył się, zafalował, by ukazać Yakkagalę zwieńczoną blankami i wieżami. Mury otaczały cały wierzchołek. Trudno było skupić na nich spojrzenie, zdawały się lekko rozmyte jak senna wizja. Nie zachował się żaden opis podniebnego pałacu Kalidasy, sama budowla została zaś zburzona przez tych, którzy pragnęli zatrzeć wszelką pamięć królewskiego imienia.

Mieszkał tu przez niemal dwadzieścia lat, oczekując aż spełni się nieuniknione przeznaczenie. Szpiegowie musieli uprzedzić go, że korzystając z pomocy królów południowego Hindustanu, Maigara zbiera cierpliwie wojska.

W końcu Maigara przybył. Ze szczytu skały Kalidasa dojrzał najeźdźców maszerujących od północy. Być może uważał swoją fortecę za niezdobytą, ale miast schronić się w niej, wyruszył na spotkanie brata. Doszło do tego na neutralnym gruncie pomiędzy dwiema armiami. Niejeden wiele by dał, by poznać treść ich rozmowy. Niektórzy twierdzili, że bracia objęli się przy rozstaniu, może to i prawda.

Potem wojska zderzyły się jak morskie fale. Kalidasa walczył na własnym terenie, jego ludzie dobrze znali okolicę i z początku zwycięstwo zaczęło przechylać się na jego korzyść. Czysty przypadek zrządził jednak, że bitwa skończyła się. Takie właśnie przypadki nie raz decydują o losach całych państw i narodów.

Wielki słoń Kalidasy, niosący na grzbiecie królewskie proporce, skręcił w pewnej chwili, by ominąć podmokły grunt i wojsko pomyślało, że król się wycofuje. W jednej chwili morale legło w gruzach i, jak podają kroniki, królewscy rzucili się do ucieczki.

Kalidasę znaleziono potem na polu bitwy. Sam zadał sobie śmierć. Maigara objął tron. Yakkagala została zapomniana pośród dżungli, aż odkryto ją ponownie tysiąc siedemset łat później.

5. Przez teleskop

— To mój sekretny nałóg — mawiał Rajasinghe z niejakim rozbawieniem, ale i z żalem. Całe lata minęły już od chwili, gdy po raz ostatni wspiął się na szczyt Yakkagali. Wprawdzie mógł w każdej chwili zażyczyć sobie transportu powietrznego do dowolnego zakątka świata, to jednak w tym przypadku nic nie mogło zastąpić jego własnych nóg. Tylko zwykła wspinaczka dawała szansę ujrzenia wielu istotnych detali architektonicznych, a nie można było liczyć na zrozumienie idei Kalidasy, o ile nie przemierzyło się jego szlaku z Ogrodów Rozkoszy do podniebnego pałacu.

Niejaką rekompensatą dla coraz starszego pana była możliwość korzystania ze zdobytego już wiele lat temu zmodernizowanego, dwudziestocentymetrowego teleskopu. Pozwalał on prześledzić całą ścieżkę biegnącą przez zachodni stok skały, tylekroć w dawnych dniach przemierzaną aż do wierzchołka. Spoglądając w lornetę wyobrażał sobie, że unosi się w powietrzu, granitową ścianę mając na wyciągnięcie ręki.

Późnym popołudniem, gdy promienie słońca zaglądały pod skalne nawisy, Rajasinghe zerkał czasem na freski, by złożyć wyrazy uszanowania damom dworu. Chociaż uwielbiał je wszystkie, to kilka umiłował szczególnie; niekiedy przemawiał do nich używając najbardziej archaicznych spośród znanych mu form miejscowego języka, wszakże dobrze wiedział, że najdalsza dostępna jego doświadczeniu przeszłość Taprobane leżała daleko w ich przyszłości. Bawiła go też obserwacja żywych ludzi i poznawanie ich reakcji na widok skały, kiedy fotografowali się na wierzchołku lub podziwiali freski. Nie mieli wówczas najbledszego pojęcia, że towarzyszy im ktoś niewidoczny i pełen zazdrości, ktoś bez wysiłku i cicho jak duch przemieszczający się tuż obok, zdolny dojrzeć dowolny grymas twarzy i każdy szczegół stroju. Gdyby Rajasinghe potrafił czytać z ruchów warg, mógłby z pomocą tego teleskopu podsłuchiwać nawet rozmowy turystów.

Jeśli była to jakaś postać podglądactwa, to niegroźna, niewiele było też w tym „nałogu" tajemnicy, gdyż gospodarz z przyjemnością udostępniał teleskop wszystkim gościom. Przydawał się też i do innych celów. Kilkakrotnie już Rajasinghe alarmował strażników, dojrzawszy nadgorliwych łowców pamiątek, i niejeden zaskoczony turysta musiał tłumaczyć się z próby wyrycia swoich inicjałów na skalnej ścianie.

Rajasinghe rzadko sięgał po teleskop z rana, bowiem słońce świeciło wówczas z drugiej strony skały i zachodni stok Yakkagali był ledwo widoczny w półmroku. Jak sięgał pamięcią, nigdy nie zdarzyło

mu się podjąć obserwacji wczesnym świtem, kiedy to wolał zwykle kultywować lokalny zwyczaj polegający na sączeniu podawanej do łóżka herbaty (zaszczepiony trzysta lat temu przez europejskich plantatorów). Tego dnia jednak, spojrzawszy w panoramiczne okno, zdumiał się niepomiernie, dostrzegając na tle nieba drobną postać wędrującą po grani. Turyści nigdy nie wspinali się tak wysoko o tak wczesnej porze, a strażnicy mieli uruchomić dowożącą do fresków windę dopiero za godzinę. Co to za ranny ptaszek?

Leniwie zwlókł się z łóżka, włożył pastelowy, batystowy sarong i boso wyszedł na werandę, gdzie stał betonowy słupek dźwigaj ący teleskop. Odnotowując w myślach (po raz piętnasty chyba), że trzeba tu sprawić nowy pokrowiec, skierował instrument na skałę.

— Mogłem się domyślić — mruknął pod nosem wyraźnie usatysfakcjonowany, przełączywszy teleskop na maksymalne powiększenie. Zatem nocny pokaz zrobił należyte wrażenie na Morganie i inżynier korzystał teraz z wolnej chwili, by samemu wybadać, w jaki to sposób architekci Kalidasy wywiązali się z narzuconego im zadania.

Nagle Rajasinghe dostrzegł coś niepokojącego. Morgan krążył tuż przy samej krawędzi platformy na wierzchołku, ledwie o centymetry od przepaści. Mało który turysta ryzykował taki spacer, z rzadka ktoś znajdował w sobie dość odwagi, by zasiąść na Tronie Słonia, z nogami dyndającymi nad otchłanią. Inżynier wszakże już przyklęknął przy siedzisku, jedną ręką obejmując rzeźbiony kamień, i pochylał się nad pustką, chcąc obejrzeć skalną ścianę poniżej. Rajasinghe, który nigdy nie zdołał przywyknąć do wysokości Yakkagali, poczuł się dziwnie nieswojo i o mało nie odwrócił spojrzenia.

Po paru minutach obserwacji uznał, że widocznie Morgan należy do tych nielicznych ludzi, na których żadne wysokości nie robią najmniejszego wrażenia. Z pamięci wypłynęło coś jeszcze (pamięć Rajasinghe wciąż miał doskonałą, tylko czasem lubiła płatać mu brzydkie figle). Zdaje się, że był kiedyś pewien Francuz, który nie tylko przeszedł po linie nad wodospadami Niagary, ale jeszcze przystanął po drodze, by przyrządzić sobie jakąś ciepłą przekąskę na turystycznej kuchence… Gdyby nie nakręcony wówczas film i zgodne relacje świadków, Rajasinghe nigdy by w taki wyczyn nie uwierzył.

I jeszcze coś… Coś związanego z samym Morganem. Ale co? Morgan… Morgan… jeszcze tydzień temu Rajasinghe nie kojarzył bliżej tej postaci…

A tak, właśnie. Przez jeden dzień było o tym głośno w dziennikach. To wtedy po raz pierwszy usłyszał o Morganie.

Główny projektant Mostu Gibraltarskiego zaproponował wówczas coś naprawdę nowego. Dowodził, że skoro wszystkie pojazdy i tak będą prowadzone po jezdni komputerowo, to budowanie barierek jest

bezcelowe, a ta jedna oszczędność pozwoli odchudzić konstrukcję o tysiące ton. Oczywiście wszyscy uznali ten pomysł za wręcz upiorny, bo co by się stało, gdyby zdalne sterowanie w pewnej chwili zawiodło? Pojazd przetoczy się gładko przez krawędź i… Projektant miał już gotową odpowiedź, właściwie szereg gotowych odpowiedzi, miał ich aż za wiele.

Gdyby sterowanie zawiodło, to jak wszyscy wiedzą, automatycznie włączą się hamulce i pojazd zatrzyma się na przestrzeni góra stu metrów. Tylko zewnętrzne pasma ruchu byłyby wówczas narażone na jakiekolwiek ryzyko. Jednak prawdopodobieństwo, aby zawiodły jednocześnie i sterowniki, i sensory, i hamulce jest tak małe, że jeden taki wypadek może zajść raz na dwadzieścia lat. Morgan nie poprzestał na tym, pozwalając sobie jeszcze na żart, który zapewne nie był przeznaczony do publikacji, jednak dotarł do nader wielu uszu, wzbudzając żywe poruszenie. Inżynier stwierdził mianowicie, że gdyby już doszło do czegoś podobnego, to może lepiej, żeby taki zbuntowany samochód czym prędzej spadł z jezdni, nie uszkadzając wspaniałego mostu, bowiem to ostatnie mocno by go, to znaczy Morgana, zmartwiło.

Nie trzeba chyba dodawać, że po takim *dictum* most został wyposażony w tym solidniejsze barierki i odbijacze, niemniej jak dotąd nikt nie próbował ćwiczyć skoków z wysokości do Morza Śródziemnego. Wszelako tym razem Morgan zdawał się zdradzać zamiar chwalebnego polegnięcia w walce z grawitacją. W każdym razie trudno było inaczej wytłumaczyć jego działania.

Co takiego robił? Klęczał przy Tronie Słonia z małym pudełkiem w dłoni, niedużym, rozmiarów dawnej książki. Ścianki pudełka wyraźnie odbijały słońce, ale Rajasinghe nijak nie mógł pojąć, co to może być za przyrząd. Wydawało mu się, że Morgan bada z jego pomocą geologiczną strukturę samej skały, ale po co właściwie?

Czyżby chciał tu coś zbudować? Oczywiście nikt by mu na to nie pozwolił, a Rajasinghe nie mógł sobie wyobrazić niczego, co musiałoby być zlokalizowane właśnie na tej skale zamiast gdziekolwiek indziej. Szczęśliwie dotknięci megalomanią królowie byli już gatunkiem na wymarciu. Tak czy inaczej, obecne zachowanie inżyniera pozwalało mniemać, że Morgan nigdy dotąd nie słyszał nawet o Yakkagali.

Nagle Rajasinghe, który uważał się za człowieka opanowanego i zdolnego zachować kamienną twarz w najbardziej nawet zaskakujących i dramatycznych okolicznościach, odruchowo krzyknął z przestrachu, kiedy Vannevar Morgan uczynił spokojnie krok nad przepaścią, tracąc oparcie pod nogami.

6. Artysta

— Przyprowadzić Persa — powiedział Kalidasa, kiedy już odzyskał dech w piersi. Wspinaczka od fresków na Tron Słonia nie była trudna ani niebezpieczna, przynajmniej od czasu gdy schody zostały obudowane solidnym murem, jednak potrafiła zmęczyć. Przez ile jeszcze lat, zadumał się Kalidasa, będę miał siły odbyć tę drogę samodzielnie? Owszem, niewolnicy mogli go ponieść, ale korzystanie z takich wygód podkopywało zawsze dostojność króla. Nie można też dopuścić, aby czyjekolwiek obce oczy oglądały setki cudnych postaci tworzących jego niebieski dwór.

Od dzisiaj dzień i noc strażnik będzie czuwać przy schodach, tych jedynych prowadzących w dół, do prywatnego raju stworzonego przez Kalidasę. Po dziesięciu latach mozołu ziścił się wreszcie jego wielki sen. Mnisi na sąsiedniej górze mogli sądzić co innego, ale Kalidasa wiedział, że oto został bogiem.

Mimo wielu lat spędzonych pod gorącym słońcem Taprobane, Firdaz miał wciąż skórę jasną jak Rzymianin. Tego dnia, gdy skłonił się przed królem, był jeszcze bledszy, zupełnie jakby chorował. Kalidasa przywitał go w zamyśleniu i uraczył jednym ze swych rzadkich uśmiechów aprobaty.

— Dobrze się spisałeś, Persie — powiedział. — Czy jest w świecie jakiś inny artysta, który uczyniłby rzecz piękniejszą?

Duma zaczęła w widoczny sposób walczyć w Firdazie z ostrożnością. W końcu zdecydował się na asekurancką odpowiedź. — Ja o takim nie słyszałem, Wasza Wysokość.

— Czy dobrze ci zapłaciłem?

— Jestem w pełni usatysfakcjonowany.

Ta ostatnia odpowiedź nie była do końca szczera i Kalidasa dobrze o tym wiedział. Wciąż napływały przecież prośby o więcej pieniędzy, więcej niewolników, nowe kosztowne materiały, które trzeba było sprowadzić z odległych krain. Ale artysta nie musiał mieć pojęcia o ekonomii. Nie było też potrzeby informować go, jak bardzo budowa pałacu i ogrodów nadwerężyła królewski skarb.

— A teraz, gdy praca już ukończona, czego pragniesz?

— Jeśli Wasza Wysokość pozwoli, pragnąłbym wrócić do Ishfahanu, by móc ujrzeć znowu moich pobratymców.

Kalidasa oczekiwał takiej właśnie odpowiedzi i szczerze pożałował decyzji, którą musiał teraz podjąć. Jednak daleka była droga do Persji i wielu było innych władców gotowych za wszelką cenę pojmać tego, kto stworzył Yakkagalę. A boginie na zachodniej ścianie muszą pozostać na zawsze jedynymi takimi na całym świecie.

— Z tym jest pewien problem — powiedział obojętnie Kalidasa i

Firdaz pobladł jeszcze bardziej, garbiąc ramiona. Król nie musiał niczego wyjaśniać, oto jeden artysta rozmawiał teraz z drugim. — Pomogłeś mi zostać bogiem. Ta wieść dotrze rychło do wielu innych krajów. Gdy tylko przestanę cię chronić, zaraz pojawią się inni, którzy zażądają od ciebie tego samego.

Artysta milczał przez chwilę. Słychać było jedynie szum wiatru pojękującego w spotkaniu z niespodziewaną przeszkodą, jaką stanowiła skała. Gdy Firdaz znów się odezwał, uczynił to ledwie słyszalnym szeptem.

— Czy zatem nie będzie mi dozwolone odejść?

— Możesz odejść wraz z bogactwem, które wystarczy ci na resztę życia. Ale pod warunkiem, że nigdy już nie podejmiesz żadnej pracy. Za żadną cenę.

— Gotów jestem to obiecać — odparł aż nazbyt gorliwie Firdaz.

Kalidasa pokręcił ze smutkiem głową.

— Nauczyłem się nie ufać słowom artystów, szczególnie gdy wymykają się spod mojej władzy. Zatem będę musiał ułatwić ci dotrzymanie obietnicy. Ku zdumieniu Kalidasy, Firdaz jakby przestał się wahać. Uspokoił się, najwidoczniej podejmując ostatecznie niełatwą decyzję.

— Rozumiem — powiedział prostując się. Następnie odwrócił się plecami do króla, traktując nagle Jego Wysokość jak powietrze, i spojrzał wprost w zachodzące słońce.

Kalidasa wiedział, że słońce było dla Persów istotą boską. Bez wątpienia te słowa, które Firdaz mamrotał z cicha, musiały być jakąś modlitwą w jego mowie. Cóż, zdarza się, że ludzie czczą gorszych bogów. Artysta wpatrywał się w oślepiającą tarczę jakby wiedział, że to ostatni obraz, jaki dane mu jest oglądać…

— Trzymajcie go! — krzyknął król.

Strażnicy rzucili się wypełnić rozkaz, ale za późno. Wprawdzie chwilowo oślepiony, Pers zdołał jednak trzema szybkimi krokami dojść do obramowania i skoczyć w przepaść. Spadał w milczeniu, niemal bezgłośnie roztrzaskując się w ogrodach, które przez tyle lat planował.

Kalidasa przez wiele dni trwał pogrążony w żałobie, która wszakże zmieniła się w okrutny gniew, gdy przechwycono list wysłany przez artystę do Ishfahanu. Ktoś ostrzegł Firdaza, że po zakończeniu pracy zostanie oślepiony, co było jawnym kłamstwem. Król nigdy nie wykrył, kto posiał ową plotkę, chociaż niejeden sługa umarł powoli, dowodząc w ten sposób swej niewinności. Smutkiem napełniało Kalidasę, że Pers uwierzył w to oszustwo, powinien przecież wiedzieć, że obdarzony duszą artysty władca nigdy nie pozbawiłby go wzroku.

Kalidasa bowiem nie był okrutnikiem. Nie był też niewdzięczny. Obsypałby Firdaza złotem (lub przynajmniej srebrem) i odesłałby go

wraz z niewolnikami mającymi troszczyć się o Persa przez resztę jego życia. Ich podopieczny nie musiałby nawet palcem ruszać, by zapokoić swe potrzeby i rychło przestałby odczuwać dotkliwie brak dłoni.

7. Pałac boskiego króla

Vannevar Morgan spał źle, co było dlań osobliwym doświadczeniem. Zawsze był dumny z tego, że świetnie panuje nad swoimi odruchami i emocjami. Skoro już nie mógł zasnąć, to chciał przynajmniej wiedzieć czemu.

Obserwując pierwsze promyki wschodzącego słońca i nasłuchując przypominających dzwonienie śpiewów egzotycznych ptaków, zaczął z wolna zbierać myśli. Nie zostałby nigdy naczelnym inżynierem Terran Construction wiodąc życie spokojne, bez niespodzianek. Jednak nikt nie jest odporny na uderzenia losu, przypadki chodzą po ludziach, zatem uczynił wszystko, co w jego mocy, aby ustrzec się przed niespodziewanymi zwrotami kariery, szczególnie silnie chroniąc cenną reputację. Na ile to było możliwe, zabezpieczył się na przyszłość. Nawet gdyby zdarzyło mu się zginąć tragicznie, zgromadzone w pamięci komputerów wszystkie programy i projekty pozwoliłyby na pośmiertną realizację jego z dawna wymarzonych zamiarów.

Aż do wczoraj nie słyszał nigdy o Yakkagali. W rzeczy samej, ledwie kilka tygodni temu miał jedynie mgliste pojecie, że istnieje taka wyspa jak Taprobane. Na jej ślad trafił w trakcie realizacji jednego z projektów. Teraz winien już stąd wyjeżdżać — nie cierpiał najmniejszych nawet zmian w rozkładzie zajęć — a tu proszę, nawet nie zaczął jeszcze pracy. Odnosił dziwne wrażenie, że znalazł się w sferze wpływów sił, których nie pojmował. Zdumiewało go to, przecież pamiętał już coś podobnego. Gdy jako dziecko puszczał latawiec w parku Kiribilli, przy granitowych monolitach, niegdyś filarach zniszczonego już dawno mostu nad Zatoką Sydney…

Dwie bliźniacze wieże legły cieniem nad jego dzieciństwem, zdecydowały o jego przyszłości. Zapewne i tak zostałby inżynierem, ale takie akurat, a nie inne miejsce urodzenia zaważyło na tym, że wykształcił się na budowniczego mostów. Dlatego właśnie jako pierwszy człowiek suchą stopą przeszedł z Maroka do Hiszpanii, pokonując kotłujące się trzy kilometry w dole fale Morza Śródziemnego. Nie sądził wówczas, w owej chwili triumfu, że największe wyzwanie jego życia dopiero nadejdzie.

Jeśli sprosta temu, co czekało go obecnie, zapisze swoje imię w pamięci dziesiątek przyszłych pokoleń. Już teraz podporządkował całe swe siły i wolę nowemu celowi, i nie miał czasu na borykanie się z trywialnymi przeszkodami. Jednak dokonanie inżyniera-architekta sprzed dwóch tysięcy lat, kogoś należącego do zupełnie odmiennej kultury, jakoś go zafascynowało. Sam Kalidasa też zdawał się być postacią tajemniczą. Po co właściwie kazał zbudować Yakkagalę?

Może i był ten król bardziej potworem niż człowiekiem, ale miał w sobie coś, co pruszyło Morgana do głębi.

Do wschodu słońca zostało trzydzieści minut. Założenie spodenek i swetra zajęło niecałe sześćdziesiąt sekund, jednak staranne sprawdzenie stanu obuwia potrwało nieco dłużej. Od lat nie wspinał się już tak naprawdę po górach, ale zawsze pamiętał o tym, by wozić ze sobą parę mocnych a lekkich butów. W tej profesji przydawały się nadzwyczaj często. Zamknął już drzwi pokoju, gdy pomyślał jeszcze o jednym. Przez chwilę wahał się, stojąc na korytarzu, ale w końcu uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Nie zaszkodzi, w końcu nigdy nic nie wiadomo…

Wrócił do pokoju, otworzył walizkę i wyjął nieduże płaskie pudełko przypominające kieszonkowy kalkulator. Sprawdził baterie, postukał na próbę w kontrolki i przypiął urządzenie stalową klamrą do mocnego pasa z syntetycznej skóry. Teraz był już gotów do ujrzenia nawiedzonego królestwa Kalidasy i nie musiał bać się żadnych demonów. Wschodzące słońce miło przygrzewało w plecy, gdy Morgan minął przejście w masywnych, zewnętrznych wałach obronnych. Przed nim ukazał się kamienny most rozpięty nad wodami fosy biegnącej idealnie prostą linią. Pół kilometra rowu z każdej strony mostu… Mała flotylla łabędzi ruszyła poprzez lilie z nadzieją na poczęstunek, po czym odpłynęła strosząc pióra, gdy okazało się, że nie będzie ani kąska. Po drugiej stronie mostu Morgan dotarł do następnej linii obronnej i wspiął się wąskimi schodami na szczyt muru. Przed nim rozciągały się Ogrody Rozkoszy, a dalej widniała ściana samej skały.

Fontanny pulsowały leniwie, jakby w rytm powolnego oddechu, ich linie przecinały ogrody w różnych kierunkach. Morgan miał całą Yakkagalę tylko dla siebie, w polu widzenia nie było żadnego innego człowieka. Miasto-forteca trwało przed nim niemal równie osamotnione, jak przez siedemnaście stuleci spędzonych pod osłoną dżungli, od dnia śmierci Kalidasy po czas odkrycia przez dziewiętnastowiecznych archeologów.

Morgan przeszedł powoli wzdłuż szeregu fontann, dobne krople wody osiadały mu na gołej skórze. Przystanął przed wspaniale rzeźbioną rynną odpływową, podziwiając niewątpliwie oryginalny fragment dawnych ogrodów. Zastanowił się, jak właściwie pradawni inżynierowie rozwiązali sprawę dostarczania wody do zbiornika na górze i jakie ciśnienie zdołali wytworzyć. Tryskające wysoko wodne słupy musiały zaiste zdumiewać ówczesnych widzów.

Dotarł do podnóża schodów o stopniach tak wąskich, że podeszwy jego butów ledwo się na nich mieściły. Czy budowniczowie tego miejsca mieli tak drobne stopy, czy może architekt wymyślił sobie takie rozwiązanie, aby zbić nieco z pantałyku nieproszonych

gości? Bez wątpienia nie byłoby łatwo żołnierzom pokonać sześćdziesięciostopniową stromiznę po schodach zrobionych, jak się zdawało, dla karłów.

Niewielka platforma, potem kolejne stopnie, aż wreszcie Morgan dotarł do długiej, wznoszącej się z wolna galerii wyciosanej w niższych partiach skały. Od ziemi dzieliło go już ponad pięćdziesiąt stóp, ale widok w dół zasłaniał mur pokryty gładkim żółtym tynkiem. Skała powyżej nawisała tak potężnie, że miejscami galeria zmieniała się w tunel i ledwie wąska wstążka nieba widoczna była w szczelinie.

Tynk wyglądał na całkiem nowy, żadnych pęknięć czy ubytków… Aż trudno uwierzyć, że murarze zakończyli tu pracę dwa tysiące lat temu. Gdzieniegdzie mur szpeciły typowe dla wszystkich zabytków świadectwa obecności turystów, pragnących unieśmiertelnić swoje imiona. Nieliczne z tych napisów powstały w znajomych Morganowi alfabetach, zaś najpóźniejszą datą, jaką udało mu się odczytać, był rok 1931. Potem władze najwidoczniej zaczęły zapobiegać podobnym aktom wandalizmu. Większość graffiti powstało w pełnym krągłości piśmie stosowanym na Taprobane. Morgan przypomniał sobie wczorajsze przedstawienie, urozmaicane licznymi wierszami pochodzącymi z drugiego czy trzeciego wieku. Przez szereg lat po śmierci Kalidasy Yakkagala pełniła rolę atrakcji turystycznej, przyciągającej gości za sprawą wciąż popularnej legendy o przeklętym królu.

W połowie długości kamiennej galerii Morgan dotarł do zamkniętych drzwi windy dowożącej do słynnych fresków widniejących dwadzieścia metrów powyżej. Wyciągnął głowę, by dojrzeć malowidła, ale platforma klatki dla widzów, przyczepiona do skalnej ściany niczym metalowe gniazdo, zasłaniała skutecznie widok. Rajasinghe wspominał, jak to niektórzy turyści, ujrzawszy umiejscowienie fresków, woleli poszukać albumu z ich fotografiami.

Po raz pierwszy Morgan zadumał się nad jedną z największych zagadek Yakkagali. Domyślał się, jak namalowano te freski, do tego wystarczyć mogło potężne rusztowanie z bambusowych drągów, ale nie miał pojęcia, po co to zrobiono. Przecież od chwili demontażu rusztowania nikt nie miał szans należycie docenić kunsztu artysty. Z galerii poniżej mało co było widać, zaś z miejsca u podstawy skały wyobrażone sylwetki rysowały się jako drobne, nierozpoznawalne kolorowe plamy. Może faktycznie, jak sugerowali niektórzy, rzecz miała charakter czysto religijny czy magiczny, podobnie jak pochodzące z epoki kamienia rysunki, odnalezione w głębi niemal niedostępnych jaskiń.

Freski musiały poczekać, aż obsługa windy stawi się do pracy, na razie było wiele innych rzeczy do obejrzenia. Morgan dotarł dopiero do jednej trzeciej wysokości, a galeria wciąż biegła w górę.

Mur ustąpił miejsca niskiemu parapetowi i Morgan znów mógł spojrzeć w dół, gdzie rozciągały się Ogrody Rozkoszy. Po raz pierwszy mógł oszacować nie tylko ich wielkość (czy Wersal na pewno jest większy?), ale i misterne ich rozplanowanie a także sposób, w jaki fosy i wały miały izolować je od otaczającej wszystko puszczy.

Nikt już nie wiedział, jakie krzewy i kwiaty rosły tu za dni Kalidasy, ale sztuczne jeziorka, kanały i ścieżki były wciąż w tych samych miejscach. Spoglądając na słupy wody Morgan przypomniał sobie nagle cytat ze wspomnianego w nocnym przedstawieniu tekstu:

Z Taprobane do Raju jest czterdzieści mil; stamtąd usłyszeć już można Fontanny Raju.

Powtórzył sobie to zdanie w myślach. *Fontanny Raju.* Czyżby Kalidasa pragnął stworzyć na tym padole ogród bogów, coś mogącego wesprzeć jego pretensje do boskości? Jeśli tak, to nie dziwota, że kapłani oskarżyli go o bluźnierstwo i nałożyli klątwę na całe dzieło.

Galeria zakończyła się wreszcie kolejnymi stromymi schodami, chociaż tym razem stopnie były o wiele obszerniejsze. Pałac wszakże wznosił się wciąż daleko w górze, schody zaś kończyły się na sporej półce, niewątpliwie sztucznie stworzonej. Trwały tu szczątki gigantycznej podobizny lwa, niegdyś dominującej nad okolicą i budzącej grozę w sercu każdego, kto ośmielił się spojrzeć na bestię. Teraz ze skały wystawały jedynie dwie łapy warującego monstrum, każda z nich połowy wysokości człowieka.

Dalej widniały następne granitowe schody i kamienne rumowisko, zapewne jedyna pozostałość po głowie lwa. Nawet ta ruina budziła podziw — ktokolwiek ośmielał się ruszyć ku warowni króla, musiał najpierw stawić czoło bestii.

Ostatni etap wspinaczki po nawisającej tuż przy wierzchołku skale tworzyło kilka żelaznych drabin ze stosownym zabezpieczeniem na użytek co bardziej lękliwych wspinaczy. Jednak najgroźniejsza w tym miejscu była nie wysokość ale, jak wcześniej już ostrzeżono Morgana, roje zazwyczaj pokojowo nastawionych szerszeni zamieszkujących jamy i zagłębienia. Niektórzy nazbyt hałaśliwi turyści bywali przez nie dość radykalnie uciszani.

Dwa tysiące lat temu północna ściana Yakkagali pokryta była murami i blankami tworzącymi stosowne tło dla postaci monstrualnego lwa, za nimi zaś musiały zapewne znajdować się schody dające łatwiejszy przystęp na szczyt. Jednak czas, deszcze i mściwe ludzkie ręce wymiotły wszystko do gołej skały, upstrzonej teraz tysiącami wyżłobień i wąskich półeczek, dających niegdyś podporę murarce.

Niespodziewanie wspinaczka dobiegła końca. Morgan stanął na skrawku gładkiego kamienia, wysepce wydźwigniętej dwieście metrów ponad dywan drzew i pól ciągnących się płaskim krajobrazem

we wszystkie strony prócz północy, gdzie rysowały się na horyzoncie góry centralnego łańcucha. Inżynier znalazł się w całkowitej izolacji od świata, jednak nie stracił go z oczu, wręcz przeciwnie, poczuł się przez chwilę panem wszystkiego, co mógł dojrzeć. Nie zdarzyło mu się to od tamtej chwili, gdy w osłonie chmur przekraczał pomost między Europą a Afryką. Zaiste, boskiego króla była ta góra siedzibą. Ruiny jego pałacu zalegały wszędzie wokoło. Labirynt na wpół zburzonych murów wyrastał ledwie do pasa, sterty potłuczonych cegieł i wyłożone granitowymi płytami ścieżki biegły przez cały obszar aż do krawędzi. Widać było też wielką cysternę wyciosaną w żywej skale, zapewne zbiornik na wodę. Mając dość zaopatrzenia, garstka zdeterminowanych ludzi mogłaby się tu bronić przez długie lata, ale jeśli Yakkagala została rzeczywiście pomyślana jako forteca, to Kalidasa nigdy nie wystawił warowni na próbę. Jego ostatnie spotkanie z bratem miało miejsce daleko poza zewnętrznymi umocnieniami.

Straciwszy niemal zupełnie poczucie czasu, Morgan zaczął błądzić między fundamentami pałacu. Patrząc na ruiny, próbował odtworzyć sposób myślenia dawnego architekta. A skąd ta ścieżka? A czy to był wspornik schodów wiodących na wyższe piętra? Czy ten kamienny zbiornik w kształcie trumny pełnił rolę wanny? A jeśli tak, to jak doprowadzano wodę i jak ją później odprowadzano? To szczególne śledztwo pochłonęło Morgana na tyle, że nie zwrócił nawet uwagi na coraz silniej płonące na bezchmurnym niebie słońce. Daleko w dole szmaragdowy krajobraz budził się z wolna do życia. Niczym kolorowe żuki całe roje automatycznych traktorów i maszyn rolniczych kierowały się ku ryżowym polom. Gdzie indziej poczciwy, całkiem prawdziwy słoń pomagał postawić z powrotem na koła autobus, który wyraźnie zbyt szybko wszedł w zakręt i wyleciał z szosy. Do uszu Morgana dobiegały nawet chrapliwe krzyki opiekuna słonia usadowionego na karku zwierzaka. Niczym armia mrówek rzesze nadciągających od hotelu Yakkagala turystów wlewały się niespiesznie do Ogrodów Rozkoszy. Z wolna kończył się czas samotności na skale.

Morgan w zasadzie przebadał już ruiny, chociaż, rzecz jasna, szczegółowe poznanie wszystkiego musiałoby trwać wiele lat. Odpoczął chwilę na cudnie rzeźbionej granitowej ławie na skraju dwustumetrowej przepaści u południowego krańca tarasu.

Inżynier pobiegł spojrzeniem ku horyzontowi, ku rysującym się tam mgliście górom. Wschodzące słońce nie rozproszyło jeszcze wszystkich oparów. Błądząc wzrokiem między szczytami nagle pojął, że to, co z początku brał za wyjątkowo rozległy, kopulasty tabun mgły, jest w istocie zupełnie czym innym. Tworem idealnie symetrycznym, górującym ponad niższymi wzniesieniami.

Przez chwilę zastygł w niemal przesądnym podziwie, zaskoczony

własnym odkryciem. Nie miał pojęcia, że z Yakkagali widać Świętą Górę aż tak dobrze. A jednak wyłaniała się oto z wolna spośród nocnych cieni, stawiając czoło blaskowi nowego dnia. A być może i nowej przyszłości. O ile się uda, oczywiście.

Znał dobrze wszystkie jej wymiary, całą historię geologiczną. Sporządził już jej mapy, posługując się przy tym stereofotografiami i danymi dostarczanymi przez satelity, jednak na własne oczy widział to miejsce po raz pierwszy. Nagle teoretyczne rozważania znalazły odniesienie w rzeczywistości. A przecież nawet te rozważania zawisały niejednokrotnie na krawędzi. Nie raz i nie dwa, najczęściej w szarych godzinach przedświtu, Morgana budziły upiorne sny, w których cały projekt jawił się jako utopijna mrzonka, mogąca nie tyle zapewnić mu sławę, co raczej wystawić na pośmiewisko. Już kiedyś niektórzy z jego adwersarzy nazywali sławny most „szaleństwem Morgana". A co powiedzą tym razem?

Jednak przeszkody stawiane przez ludzi nigdy dotąd go nie powstrzymały. Jego prawdziwym przeciwnikiem były siły samej przyrody i był to przeciwnik wręcz przyjazny, który nigdy nie oszukiwał i zawsze stosował się do reguł gry, niemniej wykorzystywał natychmiast najmniejsze nawet niedopatrzenie czy pomyłkę budowniczego. Wszystkie te moce przyrody uosabiał obecnie ten odległy, kopulasty kształt, który Morgan znał niemal na pamięć, chociaż nigdy jeszcze nie postawił tam stopy.

Tak jak niegdyś czynił to Kalidasa, Morgan zapatrzył się na zieloną równię, zastanawiając się czy podoła wyzwaniu, i rozważając strategię. W oczach Kalidasy Sri Kanda reprezentowała zarówno ziemską władzę kapłanów, jak i boską potęgę, jedno i drugie wrogie władcy. Dla Morgana bogowie byli już przeszłością, kapłani jednak pozostali. Pobudek kierujących tymi ostatnimi inżynier nigdy nie pojmował, toteż wolał traktować podobnych im ludzi z ostrożnym dystansem.

Pora schodzić z góry. Nie wolno spóźnić się ponownie, szczególnie z własnej winy. Wstał z bloku kamienia i pojął wreszcie, co go intrygowało przez kilka ostatnich minut. Dziwne miejsce, by ustawić tak zdobne, wsparte na postaciach słoni siedzisko. Tuż nad krawędzią urwiska…

Morgan nie mógł zostawić tego, nie próbując wyjaśnić sprawy. Pochylił się nad otchłanią, by raz jeszcze spróbować odgadnąć zamysły pradawnego kolegi po fachu.

8. Malgara

Nawet najbliżsi towarzysze nie potrafili wyczytać niczego z twarzy księcia Malgary, gdy ten po raz ostatni spojrzał na martwe ciało brata, kompana z dzieciństwa. Na polu bitwy zaległa już cisza, nawet krzyki rannych umilkły za sprawą kojących cierpienie ziół lub ciosu jeszcze skuteczniej uśmierzającego wszelką boleść miecza.

Po długiej chwili książę odwrócił się do stojącej w pobliżu, odzianej z żółtą szatę postaci.

— Ty nałożyłeś mu koronę na skronie, czcigodny Bodhidharmo. Teraz możesz oddać mu jeszcze jedną przysługę. Dopilnujesz, by pochowano go jak króla.

Dostojnik milczał przez chwilę, w końcu odezwał się cicho:

— Zniszczył nasze świątynie i zgładził kapłanów. Jeśli czcił jakiegokolwiek boga, to był to Siwa.

Malgara odsłonił zęby w złowrogim uśmiechu. Mahanayakemu nie zostało już wiele lat życia, ale miał jeszcze poznać ten uśmiech aż za dobrze.

— Czcigodny panie — powiedział książę jadowitym głosem — to on był pierworodnym synem Paravany Wielkiego, zasiadał na tronie Taprobane, a zło, które uczynił, odchodzi wraz z nim. Po całopaleniu dopilnujesz, by stosownie pochowano prochy. Dopiero później wrócisz do Sri Kandy.

Mahanayake Thero skłonił się lekko, wymuszenie.

— Stanie się zgodnie z twymi życzeniami. — I jeszcze jedno — powiedział Malgara, tym razem do swych towarzyszy. — Opowieść o sławnych fontannach Kalidasy dosięgła nas nawet w Hindustanie. Chcemy zerknąć na nie, nim wyruszymy do Ranapury…

Dym stosu pogrzebowego Kalidasy wzbił się z samego środka Ogrodów Rozkoszy, wadząc krążącym po bezchmurnym niebie drapieżnym ptakom, jak i padlinożercom, które zleciały się z całej wyspy nad pobojowisko. Z ponurym zadowoleniem Malgara wpatrywał się w znak swego triumfu, spiralą wznoszący się coraz wyżej. Oto kraj dowiadywał się, że ma nowego władcę. Ale wspomnienia i tak niepokojąco wracały…

Nie ustając w odwiecznej rywalizacji, tryskająca z fontann woda wydała walkę płomieniom, ale zbiornik wyczerpał się, nim jeszcze ogień dokończył dzieła. Fontanny zamarły. Zanim ponownie odżyją upadnie cesarski Rzym, armie islamu przemaszerują przez Afrykę, Kopernik usunie Ziemię z centrum wszechświata, złożone zostaną podpisy pod Deklaracją Niepodległości, ludzie staną na Księżycu…

Malgara poczekał, aż stos po raz ostatni buchnie iskrami i zgaśnie, a resztki dymu odpłyną ku Yakkagali. Wówczas podniósł oczy i stał

długi czas nieruchomo, wpatrzony w pałac na szczycie.

— Żaden człowiek nie powinien nigdy rzucać wyzwania bogom — powiedział w końcu. — Trzeba to zburzyć.

9. Nić

— O mały figiel, a przyprawiłby mnie pan o atak serca — powiedział Rajasinghe oskarżycielskim tonem i nalał porannej kawy. — W pierwszej chwili pomyślałem, że ma pan jakieś urządzenie znoszące działanie siły ciążenia, chociaż wiem, że to niemożliwe. Jak pan to zrobił?

— Proszę o wybaczenie — odparł z uśmiechem Morgan. — Gdybym wiedział, że pan mnie obserwuje, ostrzegłbym pana. Chociaż wcale nie planowałem podobnych wyczynów. Chciałem tylko pobuszować trochę po wierzchołku skały, ale potem zaintrygowała mnie ta kamienna ława. Chciałem wiedzieć, czemu stoi na samym skraju urwiska i zacząłem badać sprawę.

— To żadna tajemnica. Kiedyś była tam podłoga, zapewne drewniana, wybiegająca ponad przepaść. Od niej wiodły schody do galerii fresków. Wciąż można dostrzec w skale zagłębienia, dawne miejsca mocowania konstrukcji.

— Też do tego doszedłem — odparł Morgan z niejakim smutkiem. — Mogłem się domyślić, że ktoś już to wszystko opisał.

Dwieście pięćdziesiąt lat temu, pomyślał Rajasinghe. Zrobił to szalenie energiczny, wręcz lekko stuknięty na punkcie archeologii Anglik, Arnold Lethbridge. Tak samo opuścił się w dół urwiska. No, niezupełnie tak samo…

Morgan pokazał metalowe pudełko, które umożliwiło mu ten nadprzyrodzony, zdałoby się, manewr. Urządzenie miało tylko kilka przycisków i prosty ekranik z paroma odczytami. Wyglądało jak najzwyklejszy pod słońcem telefon.

— No i właśnie — powiedział z dumą inżynier. — Skoro widział pan już, jak pokonuję sto metrów pionowej skały, to ma pan przynajmniej ogólne pojecie o możliwościach tej maszynki.

— Zdrowy rozsądek podpowiada tylko jedno, ale nawet mój doskonały teleskop nie chce potwierdzić moich domysłów. Nie widziałem, by cokolwiek pana utrzymywało.

— To nie była zamierzona demonstracja, ale z pewnością skuteczna. Pora na ciąg dalszy. Proszę zahaczyć palec o ten pierścień.

Rajasinghe zawahał się. Morgan trzymał w dłoni nieduży, metalowy torus, dwukrotnie większy niż zwykła obrączka ślubna. Trzymał go tak, jakby przedmiot był naelektryzowany.

— Kopnie mnie? — spytał gospodarz.

— W żadnym przypadku. Niemniej zapewne zadziwi. Proszę spróbować go ode mnie odciągnąć.

Rajasinghe energicznie chwycił pierścień i o mało go nie upuścił, bowiem przedmiot zachował się jak żywe stworzenie. Ciągnął w

kierunku Morgana, czy też raczej w kierunku trzymanego przezeń pudełka, które zawarczało z cicha i nagle palce gospodarza mimowolnie podążyły za torusem ku urządzeniu, przyciągnięte tajemniczą siłą. Pole magnetyczne? Nie, żaden magnes tak się nie zachowuje. Wstępna teoria była zatem słuszna, rzeczywiście nie znał wyjaśnienia dla całego zjawiska. Oto inżynier bawił się z nim w przeciąganie liny. Niewidzialnej liny.

Nawet wytężając oczy, Rajasinghe nie mógł dostrzec żadnej nitki ani drutu łączącego pierścień z pudełkiem. Morgan manewrował teraz urządzeniem niczym rybak wybierający zdobycz. Rajasinghe sięgnął wolną ręką w przestrzeń między nimi, ale Morgan szybko go powstrzymał.

— Przepraszam, wszyscy tego próbują, gdy przestają już cokolwiek rozumieć, ale można sobie brzydko poharatać palce.

— A zatem to jednak niewidzialna nić. Sprytne. Ale jaki z tego użytek, cyrkowych sztuczek nie licząc?

Morgan uśmiechnął się szeroko.

— Trudno żywić do pana pretensje za dojście do takiego, a nie innego wniosku. To też zwykła reakcja. Ale myli się pan. Nie widzi pan tej nici, ponieważ ma grubość ledwie kilku mikronów. Jest o wiele cieńsza niż pajęczyna.

Chociaż raz to nadużywane porównanie zostało trafnie zastosowane, pomyślał Rajasinghe.

— Niesamowite. Co to jest?

— Wynik około dwustu lat rozwoju fizyki ciała stałego. Do czego się przyda, to jeszcze zobaczymy. Nić tworzy nieprzerywalny, quasijednowymiarowy kryształ diamentu, chociaż w tym wypadku nie jest to czysty węgiel. Jest tu jeszcze kilka pierwiastków śladowych, dodanych w starannie odmierzonych proporcjach. Masowa produkcja takiego diamentu możliwa jest tylko w fabrykach orbitalnych, gdzie grawitacja nie zakłóca procesu wzrostu kryształu.

— Fascynujące — wyszeptał pod nosem Rajasinghe. Pociągnął lekko za pierścień, by sprawdzić czy nić jest wciąż napięta. Nie, to nie była halucynacja. — Przypuszczam, że to może mieć mnóstwo zastosowań. Na przykład w niezawodnej krajarce do sera…

Morgan roześmiał się.

— Tym można ściąć drzewo, i to w parę minut. Ale taka nić jest trudna w użyciu, wręcz niebezpieczna. Trzeba jeszcze zaprojektować specjalne urządzenia rozwijające i zwijające ją wedle potrzeby; narazić nazywany je „wyciągarkami”. To tutaj to egzemplarz eksperymentalny, zmontowany dla potrzeb demonstracji. Silniczekmoże unieść tylko kilkaset kilogramów, a i tak znajduję wciąż nowe zastosowania dla tej maszynki. Nie po raz pierwszy dzisiaj po nią sięgnąłem.

Rąjasinghe niechętnie puścił pierścień, który opadł i zaczął kołysać się niczym pozbawione wsparcia wahadło. W końcu wyciągarka zawarczała z cicha.

— Ale nie przybył pan tu tylko po to, aby zademonstrować mi ostatnie cuda nauki, chociaż przyznaję, że jestem pod wrażeniem. Chciałbym jeszcze wiedzieć, co to wszystko ma wspólnego ze mną.

— To wielka sprawa, panie ambasadorze — odparł inżynier, raptownie zmieniając ton na oficjalny. — Ma pan rację, że ten materiał może mieć multum zastosowań, niektórych zaczynamy się dopiero domyślać. Dzięki jednemu z nich ta cicha wyspa może stać się centrum współczesnego świata, chociaż trudno powiedzieć czy na dobre, czy na złe się to dla niej obróci. Właściwie nie tylko świata, ale całego Systemu Słonecznego. Dzięki tej nici Taprobane stanie się bramą wiodącą do wszystkich planet. A pewnego dnia może nawet początkiem drogi do gwiazd.

10. Most Mostów

Paul i Maxine byli dwojgiem najlepszych i najdawniejszych przyjaciół Rajasinghego, ale do tej pory nigdy jeszcze się nie spotkali, nawet nie rozmawiali ze sobą. Bo i czemu mieliby to robić? Mało kto poza Taprobane słyszał kiedykolwiek o istnieniu profesora Saratha, zaś cały System Słoneczny znał oblicze i barwę głosu Maxine Duval.

Tych dwoje gości zasiadało teraz w komfortowych fotelach biblioteki, Rajasinghe zaś tkwił przy głównej konsoli swego komputera. Wszyscy wpatrywali się w czwartą, stojącą w bezruchu postać.

Postać ta wyglądała wręcz sztucznie. Przybysz z przeszłości czy ktoś nie obeznany z elektronicznymi cudeńkami nowej ery uznałby na pierwszy rzut oka, że patrzy na woskową kukłę. Po chwili musiałby jednak dostrzec, że postać jest po części przejrzysta i widać przez nią co silniejsze światła, ponadto że rozmywa się kilka centymetrów nad dywanem.

— Poznajecie go? — spytał Rajasinghe.

— Nigdy go nie widziałem — odparł natychmiast Sarath. — Lepiej żeby to był ktoś ważny, bo oderwałeś mnie od prac w Maharambie. Właśnie zaczęliśmy otwierać komnatę grobową.

— A ja musiałam zostawić mój trimaran na samym początku wyścigów na jeziorze Saladin — wtrąciła Maxine Duval. W jej głosie (słynnym kontralcie) było tyle irytacji, że ktoś mniej gruboskórny niż profesor Sarath zapewne schowałby się za fotel. — Oczywiście, że go znam. A co, zamierza zbudować most z Taprobane do Hindustanu? Rajasinghe roześmiał się.

— Nie, takie połączenie istnieje już od dwustu lat. Przepraszam, że ściągnąłem was tutaj, chociaż muszę przypomnieć, Maxine, że przez ostatnie dwadzieścia lat wciąż zapowiadałaś, że mnie odwiedzisz, i na obietnicach się kończyło.

— Zaiste — westchnęła. — Ale tyle czasu spędzam w studiu, że czasem zapominam o świecie. I o tych pięciu tysiącach drogich przyjaciół i pięćdziesięciu milionach wielbicieli.

— A do której z tych kategorii zaliczyłabyś doktora Morgana?

— Spotkałam go trzy, może cztery razy. Przeprowadziliśmy z nim wywiad zaraz po ukończeniu mostu. Charakternik. Robi wrażenie.

W ustach Maxine Duval to był prawdziwy komplement. Od ponad trzydziestu lat była gwiazdą w swojej profesji, zdobyła zapewne wszystko, co może zdobyć dziennikarz. Nagroda Pulitzera, nagroda *Global Times'a,* nagroda Davida Prosta — to były tylko niektóre. Niedawno wróciła do pracy po dwuletniej przerwie, kiedy to wcieliła się w postać Waltera Cronkite'a, profesora, specjalisty od

elektronicznych mediów na uczelni w Columbii.

Upływające lata nieco złagodziły jej charakter, ale nie spowolniły myślenia. Przestała być zagorzałą szowinistką, wspominającą przy byle okazji, że „skoro kobiety najlepsze są w rodzeniu dzieci, do zapewne mężczyźni dostali od natury jakiś talent kompensujący braki biologiczne. Ale mnie to nie obchodzi". Niemniej całkiem niedawno zbiła z tropu przewodniczącego na pewnej konferencji, stwierdzając nader głośnym scenicznym szeptem: „Do cholery, jestem dziennikarką, a nie dziennikarzem".

Jej kobiecość nie budziła najmniejszych wątpliwości. Cztery razy zawierała związki małżeńskie, co przysporzyło jej sporo sławy, jako że zawsze dokonywała wyboru spośród tak zwanych REMów, czyli istot o zaprogramowanym genotypie. Niezależnie od płci, ludzie tacy byli zawsze młodzi i atletyczni, dzięki czemu kolejni mężowie Maxine bez trudu dotrzymywali jej kroku, nawet obciążeni dwudziestoma kilogramami wszelkiego sprzętu reporterskiego. Wszyscy czterej byli też nader męscy i przystojni. Krążył niegdyś żart, że Maxine Duval rozgląda się nie tyle za REMami, co za bykami (w celach wiadomych; poza tym w języku angielskim byka dzieli od REMa tylko jedna litera). Jednakże nie powtarzano tego dowcipu jako złośliwości, bowiem uwielbienie, którym otaczali Maxine jej najbardziej zagorzali konkurenci w zawodzie dziennikarza, było niemal równie silne, jak żywiona wobec sławy zawiść.

— Przykro mi z powodu tych wyścigów — powiedziałRajasinghe — ale zauważ proszę, że *Marlin III i* tak wygrał, chociaż bez ciebie. Zapewne sama przyznasz, że to jest ważniejsze. Zresztą, niech Morgan sam powie, o co chodzi.

Zwolnił przycisk z napisem PAUSE i projekcja ożyła.

— Nazywam się Vannevar Morgan. Jestem głównym inżynierem Terran Construction, Budownictwo Lądowe. Moim ostatnim projektem był Most Gibraltarski, ale teraz chciałbym porozmawiać o czymś znacznie ambitniejszym.

Rajasinghe spojrzał na gości. Zgodnie z przewidywaniami, Morgan już rozbudził ich ciekawość.

Gospodarz oparł się wygodnie w fotelu i poczekał aż inżynier wyłoży znany już, chociaż wciąż niewiarygodnie śmiały projekt. To dziwne, jak szybko przywyka się do trójwymiarowych projekcji i przestaje zauważać wszelkie uchybienia obrazu. Nawet fakt, że Morgan poruszał się, nie opuszczając jednego miejsca, i że perspektywa obrazu wnętrza za nim była mocno zakłócona, nie niweczył wrażenia realności jego postaci.

— Od dwustu lat mamy już erę podboju kosmosu. Przez połowę tego czasu nasza cywilizacja zdążyła uzależnić się od satelitów wiszących na orbicie Ziemi. Globalne sieci łączności, prognozowanie

pogody i kontrola nad nią, sprawdzanie stanu zasobów wszelkich bogactw naturalnych, wszelkie usługi informatyczne… Gdyby cokolwiek stało się z systemem orbitalnym, z miejsca wrócilibyśmy do epoki komputera łupanego. Towarzyszące temu katastrofy, klęski i głód zniszczyłyby większość ludzkiej rasy.

Na dodatek mamy już samowystarczalne kolonie na Marsie, Merkurym i na Księżycu. Wydobywamy cenne surowce z aste — roidów, z wolna kiełkuje międzyplanetarny handel. Wprawdzie zajęło to nieco więcej czasu, niż sądzili najbardziej optymistycznie nastawieni futurolodzy, to jednak oczywistym już jest, że długotrwały tak zwany podbój przestworzy był tylko wstępem do podboju kosmosu.

Stanęliśmy jednak obecnie przed zasadniczym problemem. Przed czymś, co może przekreślić cały nasz program kosmiczny. Wprawdzie wysiłki pokoleń badaczy sprawiły, że rakieta jest obecnie najpewniejszym sposobem, by dostać się na orbitę…

(A co, zaproponuje rowery?, mruknął Sarath).

…to jednak takie pojazdy mają wiele zasadniczych wad. Co gorsza, rakietowe silniki mają dewastujący wpływ na środowisko. Pomimo licznych prób wytyczania korytarzy przystępu, hałas towarzyszący startom i lądowaniom zakłóca spokój milionom ludzi. Pozostające w górnych warstwach atmosfery produkty spalania paliwa rakietowego odpowiedzialne są za poważne i niebezpieczne zmiany klimatyczne. Wszyscy pamiętamy nagły wzrost zachorowań na raka skóry w latach dwudziestych, kiedy to warstwa ozonowa stała się niebezpiecznie cienka. I pamiętamy astronomiczne sumy wydane na jej odtworzenie.

Jeśli jednak sprawdzą się nasze prognozy i ruch orbitalny zwiększy się do końca stulecia, zaś ilość wysyłanych w górę ładunków wzrośnie o prawie pięćdziesiąt procent, to będzie musiało odbyć się to kosztem naszego życia. Możemy tego nie przeżyć. To zbyt wysoki koszt, ale specjaliści od silników rakietowych tym razem nam już nie pomogą. Zrobili wszystko, co było możliwe, maksymalnie udoskonalili swoje dzieła, a znane nam prawa fizyki nie dają im żadnej możliwości manewru.

Co zatem zostaje? Przez wieki ludzie marzyli o wynalezieniu napędu antygrawitacyjnego czy innego cudownego sposobu poruszania statków kosmicznych. Nadal nie trafiono na najmniejszy ślad, najmniejszą sugestię, że cokolwiek takiego jest możliwe. Niemniej w tej samej dekadzie, kiedy wystrzelono pierwszego satelitę, pewien rosyjski inżynier zaproponował system, który uczyniłby rakiety atmosferyczne niepotrzebnymi. Wiele lat musiało minąć, nim ktokolwiek potraktował pomysł Jurija Artsutanowa poważnie. Potrzeba było dwóch stuleci, aby pojawiła się możliwość

zrealizowania jego wizji. Ilekroć Rajasinghe odtwarzał to nagranie, zawsze nachodziła go myśl, że dopiero teraz Morgan ożywał naprawdę. Łatwo było domyślić się powodu takiej zmiany tonu: inżynier wkraczał na własne poletko, gdzie nie musiał już polegać na ekspertyzach dokonanych przez fachowców z innych dziedzin. Mimo poważnych obaw i sporej rezerwy, Rajasinghe mimowolnie zaczynał podzielać entuzjazm Morgana. Takie stany zdarzały mu się w jesieni życia już nader rzadko.

— Wystarczy wyjść z domu w pogodną noc i spojrzeć w niebo — ciągnął Morgan — by ujrzeć powszednie cuda naszej epoki: gwiazdy, które nigdy nie wschodzą i nigdy nie zachodzą, a tylko tkwią w bezruchu w tym samym punkcie niebios. Już nasi ojcowie, a przed nimi nasi dziadowie, uznali za rzecz zwyczajną istnienie geostacjonarnych satelitów i stacji kosmicznych poruszających się nad równikiem z taką szybkością, by zawsze znajdować się powyżej tego samego punktu na Ziemi.

Artsutanow zadał sobie proste pytanie, aż trywialne w swej genialności. Na to samo mógł wpaść każdy średnio inteligentny człowiek. I niemal wszyscy gotowi byli odrzucić równie prostą odpowiedź jako absurdalną.

Jeśli prawa mechaniki niebieskiej sprawiają, że można zawiesić jakiś obiekt w tym samym punkcie nieba, to może dałoby się poprowadzić od tego obiektu kabel czy linę sięgającą powierzchni Ziemi i stworzyć w ten sposób wyciąg, windę łączącą Ziemię z kosmosem?

Teoria była spójna i nie miała słabych miejsc, jednakże realizacja zdawała się wręcz niemożliwa, tyle trudności technicznych piętrzyło się po drodze. Obliczenia jasno wykazywały, że nie istnieje materiał dość wytrzymały, najlepsza stal musiałaby popękać skutkiem własnej wagi, i to o wiele wcześniej, niż konstrukcja sięgnęłaby pułapu trzydziestu sześciu tysięcy kilometrów, czyli orbity synchronicznej.

Jak wspomniałem, choćby najbardziej wytrzymała stal nie spełniała nawet teoretycznych warunków wytrzymałości. Niemniej udawało się stworzyć odpowiednie materiały w mikroskali. Gdyby dało się produkować je nie w laboratoriach, ale na skalę masową, wówczas marzenie Artsutanowa byłoby ziszczalne, a struktura kosztów transportu orbitalnego zmieniłaby się nie do poznania. Pod koniec dwudziestego stulecia zaczęto w laboratoriach uzyskiwać superwytrzymałe materiały, krystaliczne nici zwane wiskerami. Jednak ich wytwarzanie było upiornie kosztowne, warte były wielokrotność swej wagi w złocie, a do budowy systemu orbitalnego potrzeba by ich było wiele milionów ton, tak zatem marzenie pozostawało wciąż w sferze utopii.

Dopiero kilka miesięcy temu pojawiły się nowe zakłady orbitalne,

zdolne wyprodukować praktycznie nieograniczone ilości wiskerów. Budowa kosmicznej windy czy też, jak wolę rzecz nazywać, wieży orbitalnej stała się możliwa. Bo w gruncie rzeczy to jest wieża, sięgająca poprzez atmosferę daleko, aż poza…

Obraz Morgana zbladł jak duch poddany nagle egzorcyzmom i w jego miejsce pojawiła się niebieska kula Ziemi. Była wielkości piłki futbolowej i obracała się z wolna. Palec Morgana wskazał miejsce ponad równikiem, a jasny punkt świetlny zapłonął w miejscu zawieszenia stacji orbitalnej.

— Gdy buduje się most — komentował Morgan zza kadru — zaczyna się zwykle budowę z obu stron, by spotkać się pośrodku. Budując wieżę orbitalną trzeba postąpić dokładnie odwrotnie. Zacząć pośrodku i budować jednocześnie w dół i w górę, korzystając przy tym ze wsparcia satelity geostacjonarnego zawieszonego na starannie wyliczonej orbicie. Cała sztuczka polega na tym, aby nieustannie kontrolować położenie środka ciężkości takiej konstrukcji, bowiem w przeciwnym razie może ona przenieść się na inną orbitę i zacząć z wolna przemieszczać się względem globu.

Cienka linia biegnąca w dół sięgnęła równika, w tej samej chwili górna spotkała się ze stacją.

— Całkowita wysokość musi wynieść przynajmniej czterdzieści tysięcy kilometrów, z czego tylko dolne sto kilometrów pozostanie w obrębie atmosfery. Niemniej właśnie ten odcinek może okazać się najtrudniejszym w realizacji, a to za sprawą huraganowych wiatrów. Stabilność zapewni dopiero trwałe zakotwiczenie w gruncie.

A potem, po raz pierwszy w historii, otrzymamy prawdziwe schody do nieba, most do gwiazd. W zasadzie będzie to najprostsza winda poruszana tanią energią elektryczną; zastąpi kosztowne i hałaśliwe rakiety. Od tej pory rakiety służyć będą już tylko do transportu w obrębie próżni. Oto jeden z wariantów projektu wieży orbitalnej…

Obraz ziemskiego globu zniknął, na jego miejscu pokazała się wieża, a właściwie jej przekrój.

— Jak widzicie, zbudowana jest z czterech identycznych wyciągów rurowych, dwa do ruchu w górę, dwa do ruchu w dół. Można rzecz porównać do pionowej czteropasmowej autostrady. Kapsuły mogą przewozić pasażerów, fracht, paliwo, i to z szybkością kilku tysięcy kilometrów na godzinę. Stacjemocy na granicach sekcji dostarczą potrzebnej energii, z której dziewięćdziesiąt procent podlegać będzie odzyskowi. Koszt netto przewiezienia jednego pasażera wyniesie nie więcej niż kilka dolarów, bowiem kapsuły podążające na dół wykorzystywać będą swe silniki elektryczne jako hamulce magnetyczne, generując tym samym energię i przekazując ją do sieci. Zupełnie inaczej niż wracające statki kosmiczne; nie będą

rozgrzewać się w atmosferze, nie będą wywoływać gromów związanych z przekraczaniem bariery dźwięku. Żadnego marnotrawstwa. Można powiedzieć, że kursy w dół dostarczą energii kapsułom podążającym w górę, tak zatem, nawet przy bardzo ostrożnych szacunkach, winda stanie się o wiele bardziej wydajna niż jakakolwiek rakieta.

Zasadniczo nie ma żadnych ograniczeń, jeśli chodzi o natężenie ruchu, bowiem w każdej chwili można dobudować dodatkowe linie. Jeśli zdarzy się kiedyś, że milion ludzi zapragnie pewnego dnia odwiedzić Ziemię lub ją opuścić, wieża orbitalna obsłuży ich wszystkich. Koniec końców, autostrady naszych wielkich miast radziły sobie niegdyś z większymi tłumami…

Rajasinghe musnął przycisk i Morgan umilkł w pół zdania.

— Reszta to już szczegóły techniczne. Wyjaśnia, w jaki sposób można wykorzystać wieżę w roli wyrzutni pozwalającej wysyłać ładunki na Księżyc i inne planety bez użycia jakichkolwiek rakiet. Chyba słyszeliście już dość, by wyrobić sobie przynajmniej ogólne pojecie…

— Jestem pod wrażeniem — powiedział profesor Sarath. — Ale co, u licha, ma to wspólnego ze mną? Albo z tobą?

— Wszystko we właściwym czasie. A co ty powiesz, Maxine?

— Że chyba wybaczę ci to nagłe wezwanie. To może być najlepszy temat całej dekady albo i stulecia. Ale skąd ten pośpiech, że o wymogu dyskrecji nie wspomnę? — Sam wielu rzeczy tu nie rozumiem i mam nadzieję, że mi pomożecie. Podejrzewam, że Morgan wciąż toczy walkę, i to na kilku frontach. Zamierza ogłosić wszystko w niedalekiej przyszłości, niemniej najpierw chce wiedzieć dokładnie, na czym stoi. Dając mi to nagranie zaznaczył, bym nie przesyłał go ogólnodostępną siecią informacyjną. Dlatego poprosiłem was o osobiste przybycie.

— Wie o naszym spotkaniu?

— Oczywiście. Ucieszył się nawet, gdy usłyszał, że chcę porozmawiać o tym z tobą, Maxine. Wyraźnie ci ufa i uznaje twoją osobę za sojusznika. Co do ciebie, Paul, zapewniłem go, że potrafisz dotrzymać tajemnicy przez sześć dni i szlag cię z tego powodu nie trafi.

— Owszem, o ile uznam, że naprawdę trzeba.

— Chyba zaczynam coś rozumieć — powiedziała Maxine Duval. — Kilka rzeczy mnie tu zdumiewa, ale całość zaczyna się z wolna układać. Po pierwsze, to jest projekt kosmiczny, a Morgan jest głównym inżynierem budownictwa lądowego. Mam rację?

— No i?

— Nie rozumiesz, Johan? Pomyśl o tych wszystkich bataliach biurokratycznych. Niech no tylko fachowcy od rakiet i cały przemysł

kosmicznych środków transportu dowiedzą się o tym projekcie! Imperia przemysłowe warte tryliony dolarów w jednej chwili pójdą pod młotek! Morgan musi bardzo uważać, w przeciwnym razie usłyszy: „Dziękujemy panu uprzejmie, teraz my się tym zajmiemy. Miło było pana poznać".

— Rozumiem, ale pozycja Morgana jest całkiem mocna. Ostatecznie wieża to budynek, a nie pojazd.

— Prawnicy szybko udowodnią co innego. Niewiele jest takich budynków, które poruszają się z szybkością dziesięciu kilometrów na sekundę. Mało który nawet skłonny jest oddzielać się od fundamentów.

— Możesz mieć rację. Nawiasem mówiąc, kiedy zaznaczyłem, że trudno jest nazywać wieżą obiekt sięgający dobry kawałek drogi w kierunku Księżyca, Morgan poprosił mnie, bym myślał o wieży nie jako o moście wznoszącym się ponad Ziemią, ale poza Ziemię. Wciąż próbuję, ale bez większych sukcesów.

— Och! — odezwała się nagle Maxine. — I oto mamy jeszcze jeden kawałek układanki! — Jaki niby?

— Czy wiesz, że prezes Terran Construction, niejaki senator Collins, według mnie zwykły nadęty dupek, chciał by nazwano Most Gibraltarski od jego imienia?

— Nie słyszałem, ale to wyjaśnia kilka rzeczy. Niemniej spotkałem Collinsa kilka razy i zrobił na mnie sympatyczne wrażenie. Swego czasu dokonał wiele w dziedzinie inżynierii geotermalnej…

— To było całe wieki temu. Na tobie mógł zrobić całkiem poprawne wrażenie, ale ty w żaden sposób nie zagrażasz jego ambicji. Wobec ciebie mógł być miły.

— Jak uchroniono most przed podłym losem?

— Doszło do małej rewolucji pałacowej, w którą uwikłani byli wszyscy starsi inżynierowie Terran Construction. Doktor Morgan, rzecz jasna, nie był w to nijak zamieszany.

— To dlatego tak pilnuje, by nikt nie zajrzał mu w karty! Mój szacunek dla niego rośnie z każdą chwilą. Teraz jednak trafił na przeszkodę, z którą nie potrafi się uporać. Odkrył to dopiero kilka dni temu i od tego czasu drepcze w miejscu.

— Niech zgadnę — powiedziała Maxine. — To dobry sposób, pozwala wyprzedzać pomysły innych. To jasne, czemu przybył właśnie tutaj. Ziemska stacja musi znajdować się na równiku, w przeciwnym razie wyciągi nie będą przebiegać pionowo i skończą tak, jak wieża w Pizie, która w końcu się zawaliła.

— Nie rozumiem… — mruknął profesor Sarath, machając żywo rękami. — Och, oczywiście…

Na chwilę zapadła cisza.

— Właśnie — podjęła Maxine. — Równik przebiega głównie

przez oceany, zatem niewiele zostaje potencjalnych, stosownych miejsc. Taprobane to, rzecz jasna, jedno z takich miejsc. Wprawdzie nie rozumiem, w czym lepsze jest od Afryki czy Ameryki Południowej. A może Morgan i tutaj coś ukrywa?

— Jak zwykle, droga Maxine, pozostaje mi tylko podziwiać twą umiejętność dedukcji. Jesteś na dobrym tropie, ale dalej sama już nie pójdziesz. Wprawdzie Morgan robił co mógł, aby wyjaśnić mi wszystkie złożoności problemu, ale niewiele zrozumiałem ponad to, że Afryka i Ameryka Południowa odpadają w przedbiegach, a to za sprawą niestabilności pola grawitacyjnego w tamtych okolicach. Pozostaje Taprobane, a dokładnie jedno tylko miejsce na wyspie. I tutaj zaczyna się twoja rola, Paul.

— *Mamada* — jęknął profesor, za sprawą wielkiego wzruszenia bezwiednie przechodząc na miejscowy język.

— Tak. Ku swemu wielkiemu zdumieniu doktor Morgan odkrył, że jedyne możliwe miejsce zajął już wcześniej ktoś inny. Chciał mojej rady, jak spokojnie wysiedlić stamtąd pewnego twojego dobrego kumpla imieniem Budda.

— Kogo? — zdumiała się Maxine.

— Czcigodnego Anandatissę Bodhidharmę Mahanayakego Thero, beneficjenta świątyni Sri Kanda — odparł profesor głosem tak monotonnym, jakby recytował litanię. — O to chodzi…

Na chwilę znów zapadła cisza, aż w końcu na twarzy Paula Saratha, profesora-emeryta Wydziału Archeologii Uniwersytetu Taprobane, pojawił się przebiegły uśmieszek.

— Zawsze byłem ciekaw — powiedział z rozmarzeniem — co się stanie, gdy niepowstrzymana siła natrafi na nieusuwalny obiekt.

11. Milcząca księżniczka

Gdy goście wyszli, wciąż zamyślony Rajasinghe zmienił polaryzację szyb w oknach i pogrążył się w podziwianiu drzew wokół domu i skalnych ścian Yakkagali. Nie drgnął nawet, gdy równo z wybiciem czwartej przyniesiono mu popołudniową herbatę.

— Rani — powiedział, wyrwany z zamyślenia — poproś Dravindrę, niech przygotuje moje ciężkie buty. O ile je znajdzie. Wybieram się na skałę.

Rani udała, że gotowa jest upuścić tacę ze zdumienia.

— *Aiyo,* Mahathaya! — zaczęła zawodzić, jakby gospodarz wybierał się na wojnę. — To znak szaleństwa! Proszę przypomnieć sobie, co mówił doktor McPherson…

— To zwykły szarlatan. I jeszcze Szkot na dokładkę. Zawsze czyta mój kardiogram od niewłaściwego końca. Zresztą, kochana, po cóż mi żyć, gdy ty i Dravindra mnie opuścicie?

Był to żart, ale nie do końca. Zaraz też zawstydził się własnych samolubnych słów, bowiem Rani odczytała rzecz dość poważnie i w jej oczach pojawiły się łzy.

Odwróciła się, by je ukryć, i powiedziała po angielsku:

— Zaproponowałam, że zostanę, przynajmniej przez pierwszy rok Dravindry…

— Wiem, ale to byłoby za wiele. O ile Berkeley nie zmieniło się od czasów, kiedy ja tam byłem, to będzie cię potrzebować. (Wszelako nie bardziej niż ja, chociaż inaczej, mruknął pod nosem i uśmiechnął się do siebie). A ty, niezależnie od tego czy zrobisz dyplom, czy nie, nie możesz zostać jedynie żoną rektora. Rani uśmiechnęła się.

— Nie jestem pewna, czy miałabym na to ochotę, biorąc pod uwagę przypadki, które zdarzyło mi się widzieć. — Przeszła na język Taprobane. — Oczywiście nie mówił pan poważnie?

— Całkiem poważnie. Nie wybieram się, oczywista, na sam szczyt, a tylko do fresków. Od pięciu lat już tam nie byłem. Jeśli będę wciąż zwlekał… — Nie musiał kończyć zdania.

Przez chwilę Rani przyglądała mu się w milczeniu, po czym uznała, że żadne przekonywanie nie ma sensu.

— Powiem Dravindrze. I poszukam Jayę. To na wypadek, gdyby trzeba było pana znosić.

— Niech będzie. Chociaż jestem pewien, że sam Dravindra też by wystarczył.

Rani uśmiechnęła się, po części z dumą, po części z zadowoleniem. Ta para, pomyślał gospodarz, to najszczęśliwszy możliwy los na loterii. Miał nadzieję, że te dwa lata służby społecznej upływały im równie miło, jak jemu. W obecnych czasach luksus

posiadania osobistej służby był dostępny tylko ludziom uznawanym za naprawdę zasłużonych. Zresztą, Rajasinghe nie słyszał też o nikim innym, kto miałby na własność choć jedno drzewo.

By oszczędzać siły, przez Ogrody Rozkoszy przejechał małym pojazdem na baterie słoneczne. Dravindra i Jaya woleli przechadzkę, twierdzili, że tak będzie szybciej (i mieli rację, ale szli na skróty). Wspinał się nader powoli, robiąc częste przerwy dla nabrania oddechu, aż dotarł do długiego korytarza niższej galerii, gdzie Lustrzany Mur biegł przy samej skale.

Obserwowana przez ciekawych wszystkiego turystów, młoda archeolożka z jednego z krajów afrykańskich poszukiwała na ścianie inskrypcji. Pomagała sobie przy tym potężnym reflektorkiem. Rajasinghe miał ochotę powiedzieć jej, iż szansa na odkrycie czegokolwiek nowego bliska jest zeru. Paul Sarath dwadzieścia lat badał każdy milimetr kwadratowy skały, a wyniki opublikował w trzytomowym dziele *Yakkagala Graffiti,* pracy monumentalnej i niezastąpionej, nikt inny bowiem nie miał szans na podobną biegłość w odczytywaniu archaicznych inskrypcji w języku Taprobane. Obaj byli wtedy młodzi, gdy Paul zaczynał swoją pracę. Rajasinghe pamiętał dobrze, jak ówczesny asystent archeologii stał niemal w tym samym miejscu, odcyfrowując prawie nieczytelne znaki na żółtym tynku, i jak tłumaczył na współczesną mowę wiersze skierowane niegdyś do piękności wymalowanych na skale powyżej. Nawet po upływie stuleci czuło się, że wiersze te wypływały z potrzeby serca:

> Jestem Tissa, kapitan straży,
> pięćdziesiąt mil przeszedłem, by ujrzeć ich oblicza
> one zaś milczą, słowa mi skąpią.
> Jak to tak?
> Możesz tu zostać i na tysiąc lat,
> jak ten zając, co go bogowie wymalowali na twarzy Księżyca.
> One będą nieme. Ja ci to mówię, ja kapłan Mahinda
> z *vihary* w mieście Tuparama.

Ten dawny duchowny po części miał rację, po części niezupełnie. Damy ze skały przetrwały już czas dwukrotnie dłuższy niż podany przez kapłana, chociaż wkoło nich nastała era cudów, o których tamten nie mógł nawet marzyć. Ale jak niewiele tych dam zostało! Niektóre zapiski wspominały o „pięciuset złotoskórych pięknościach". Nawet biorąc pod uwagę poetycką przesadę, jasnym było, że ledwo jedna dziesiąta malowideł umknęła zagłady z rąk małych duchem ludzi i za sprawą deszczu. Jednak ta dwudziestka, która ocalała, była już bezpieczna. Ich urodę zapisano i powielono na niezliczonych

taśmach, w niezliczonych kryształach banków pamięci.

Przetrwały też pewnego skrybę, który samemu pozostając bezimiennym, napisał:

> *Kazałem drogi oczyścić, tak aby pielgrzymi dojść mogli do piękności stojących na zboczu góry. Jestem Królem.*

Przez lata Rajasinghe, takoż noszący królewskie imię i niewątpliwie mający królów wśród przodków, często zastanawiał się nad tymi słowami. Tak dokładnie ukazywały efemeryczność ludzkiej władzy, kruchość ambicji. *Jestem Królem.* Dobrze, ale którym królem? Monarcha, który tysiąc dziewięćset lat temu stał na tych granitowych płytach, wówczas prawie nowych, był z pewnością człowiekiem inteligentnym i rozsądnym, ale nie pomyślał, że kiedyś pamięć o jego postaci zniknie bez śladu, że on sam stanie się anonimowym poetą, równie nieznanym jak najmarniejszy z jego poddanych.

Nie było szansy ustalić, kim był ów anonim, w grę wchodziło przynajmniej dwunastu królów. Niektórzy panowali przez wiele lat, inni tylko przez kilka tygodni i niewielu z nich umarło własną śmiercią w łożnicach. Nikt nigdy nie dowie się, czy inskrypcja była dziełem Mahatissy Drugiego, czy Bhatikab-hayi, czy może Vijayakumara Trzeciego lub Gajabahukagamaniego, Candamukhasivy, Moggallana Pierwszego, Kittisena, Sirisamghabodhiego… albo i jeszcze innego monarchy, który w ogóle nie zapisał się nigdy w historii Taprobane.

Operator windy ze zdumieniem spojrzał na dostojnego gościa i przywitał Rajasinghego wylewnie. Klatka wyciągu powoli pokonała piętnaście metrów, które niegdyś trzeba było pokonywać spiralnymi schodkami. Schodki zresztą istniały nadal; Dravindra i Jaya maszerowali właśnie po nich dziarsko, ale oni mieli młode nogi.

Winda zatrzymała się ze szczękiem i Rajasinghe wyszedł na niewielką stalową platformę przymocowaną do pionowej skały. Wokół rozpościerała się pustka, jednak mocna druciana osłona stwarzała poczucie bezpieczeństwa. Nawet najbardziej zdeterminowanemu samobójcy nie byłoby łatwo pokonać wszystkie te przeszkody i uciec z mogącej pomieścić tuzin ludzi klatki umocowanej pod skalnym nawisem.

Tutaj właśnie, dzięki występowi skały, powstała płytka jaskinia chroniąca malowidła przed żywiołami. Tutaj trwały ocalone damy niebiańskiego dworu. Rajasinghe przywitał je w milczeniu i opadł ciężko na krzesło podsunięte przez pracującego na skale przewodnika.

— Chciałbym zostać sam na dziesięć minut-powiedział cicho. — Jaya, Dravindra, spróbujcie powstrzymać przez ten czas turystów.

Towarzysze spojrzeli nań niepewnie, przewodnik zaś zastanowił się, jak pogodzić to z zakazem pozostawiania fresków choćby na sekundę bez straży. Jednak ambasador Rajasinghe miał swoje prawa i potrafił je wyegzekwować nie podnosząc nawet głosu.

— *Ayu bowan* — powiedział do milczących sylwetek, gdy wreszcie był już sam. — Przepraszam, że tak was zaniedbałem.

Poczekał uprzejmie na odpowiedź, ale one potraktowały go równie obojętnie jak wszystkich, którzy zaglądali tu przez ostatnie dwa tysiące lat. Rajasinghego to nie zraziło, przywykł do ich wyniosłości. W zasadzie to nawet dodawało im uroku.

— Mam pewien problem, kochane — powiedział. — Widziałyście wszystkich, którzy od czasów Kalidasy najeżdżali Taprobane. Widziałyście, jak potem odchodzili. Widziałyście dżunglę ogarniającą Yakkagalę falą zielonego przypływu, jak potem cofnęła się pod naporem siekier i pił. Ale tak naprawdę nic się przez te lata nie zmieniło. Los łagodnie obszedł się zmałą wyspą Taprobane. Historia też zostawiała ją samą sobie…

A teraz wieki spokoju dobiegają kresu. Nasz kraj może stać się pępkiem świata. Albo i wielu światów. Wielka góra, którą oglądacie od tak dawna na południu, może zmienić się w klucz do wszechświata. Jeśli tak się stanie, to Taprobane, ta wyspa, którą znamy i kochamy, zniknie na zawsze.

Może niewiele mogę uczynić, ale wciąż mam przecież moc doradzania, mogę też odwracać bieg rzeczy. Wciąż mam wielu przyjaciół. Jeśli zapragnę, mogę opóźnić realizację tego marzenia, przynajmniej do chwili, gdy mnie zabraknie. Czy winienem to uczynić? A może moją powinnością jest udzielić pomocy temu człowiekowi, niezależnie od tego, jakie naprawdę motywy nim kierują?

Spojrzał na swą ulubioną damę. Ona jedna nie odwracała oczu, gdy na nią spoglądał. Wszystkie inne wpatrywały się gdzieś w przestrzeń lub zwracały uwagę wyłącznie na trzymane w dłoniach kwiaty. Ta jedna, którą ukochał w młodości, zdawała się odwzajemniać spojrzenie.

— Ach, Karuna! To niełądnie zadawać ci takie pytania. Bo i co ty możesz wiedzieć o prawdziwym świecie, tym poza niebiosami, albo o ludziach, którzy usiłują tam dotrzeć? Bo chociaż byłaś niegdyś boginią, to przecież niebo Kalidasy pozostało tylko iluzją. Cokolwiek dziwnego widzisz w przyszłości, ja już tego nie ujrzę. Długo się znaliśmy, wedle mojej a nie twojej miary, rzecz jasna. Gdy mogę, popatruję na dębie z tarasu mojej willi, ale tak blisko to już pewnie nigdy się nie spotkamy. Żegnaj i dziękuję ci, cudna, za wszystkie miłe chwile, które przez te lata mi darowałaś. Pozdrów ode mnie tych, którzy przyjdą, gdy mnie już nie będzie.

Jednak schodząc po spiralnych schodach (i ignorując windę) Rajasinghe nie czuł wcale przygnębienia, które mogło towarzyszyć ostatniemu pożegnaniu. Wręcz przeciwnie, zdało mu się, że ciężar lat nagle zelżał (ostatecznie, siedemdziesiąt dwa lata to jeszcze nie jest poważny wiek). Po zdumieniu wymalowanym na twarzach Dravindry i Jayi poznał, że musieli dojrzeć jakąś osobliwą sprężystość w jego krokach.

Może zresztą już nazbyt znudziła mu się ta spokojna emerytura. Może i jemu i Taprobane przyda się niejakie przewietrzenie. Takie, co zmiecie pajęczyny. Podobnie jak monsun przynosi nowe życie po miesiącach upałów.

Uda się Morganowi, czy nie, przedsięwzięcie zapowiadało się wspaniale. Kalidasa by pozazdrościł. I przyklasnął.

CZĘŚĆ DRUGA
Świątynia

Podczas gdy poszczególne religie spierają się o to, która jest prawdziwa, z naszego punktu widzenia kwestia prawdy zawartej w religii jako takiej może zostać pominięta… Gdy próbuje się określić rolę religii w ewolucji człowieka, zdaje się ona być zjawiskiem przejściowym, podobnie jak nerwice, które każdy osobnik żyjący w cywilizowanym społeczeństwie musi przejść, porzucając dzieciństwo w drodze ku dorosłości.

Freud: Nowe wykłady ze wstępu do psychoanalizy (1932)

Oczywiście, że to człowiek stworzył Boga na swój obraz i podobieństwo; wszelako jaką miał alternatywę? Podobnie jak rzeczywiste zrozumienie zasad geologii było niemożliwe do chwili, gdy rozpoczęto studia nad innymi, poza Ziemią, planetami, tak i rzeczywiste poznanie w obrębie teologii nastąpi dopiero wówczas, gdy nastąpi kontakt z innymi pozaziemskimi formami inteligentnego życia. Jak długo prowadzimy studia wyłącznie nad religiami ludzkimi, nie można mówić o jakiejkolwiek komparatystyce religijnej.

El Hadj Mohammed ben Selim,

profesor komparatystyki religijnej,

wykład inauguracyjny, Brigham Young University, 1989.

Nie bez lęku przychodzi nam wypatrywać odpowiedzi na takie pytania, jak (a) jakie, o ile jakiekolwiek, przekonania religijne wykształcają się u jednostek o zmiennej ilości rodziców (czyli w wariantach nieobecności rodziców, jednego rodzica, dwojga lub większej liczby takowych), (b) czy przekonania religijne pojawiają się tylko u tych istot, które utrzymują bliski kontakt ze swoim potomstwem w okresie wychowania?

Jeśli okaże się, że religia pojawia się wyłącznie wśród inteligentnych analogów małp z rodziny naczelnych, wśród delfinów, psowatych itd., ale nie pojawia się wśród pozaziemskich komputerów, termitów, ryb, żółwi czy w społeczeństwach ameb, wówczas zmusi nas to do wyciągnięcia pewnych bolesnych wniosków… Być może tak miłość jak i religia wykształca się tylko wśród ssaków, jedna i druga z tych samych zresztą powodów. Obecne studia nad patologiami społecznego życia ssaków już teraz skłaniają nas do takiej właśnie konkluzji; ktokolwiek wątpi w istnienie związku między fanatyzmem religijnym a wszelkimi perwersjami, winien dogłębnie zapoznać się z Malleus Maleficarium lub Diabłami Londynu Huxleya.

(Ibidem)

Głośna uwaga doktora Charlesa Willisa (Hawaje, 1970), że „religia jest produktem ubocznym niedożywienia", nie jest, sama w sobie, bardziej pomocna niż raczej mało subtelna, jednosylabowa falsyfikacja Gregorego Batesona. Niemniej doktor Willis chciał w ten sposób zasygnalizować, że (1) halucynacje spowodowane dobrowolną lub przymusową głodówką bywają

gorliwie interpretowane jako wizje religijne; (2) przy takim trybie życia głód wzmacnia wiarę w znalezienie rekompensaty za cierpienia w innym życiu, co jest zapewne skutkiem działania najprostszych mechanizmów psyche i wiąże się z instynktem przetrwania…

…Ironia losu sprawiła, że dopiero badania nad narkotykami zwanymi potocznie…poszerzaczami granic świadomości" naprowadziły na ślad pewnych związków chemicznych pojawiających się w mózgu. Narkotyki te w rzeczywistości zawężają zdolność pojmowania napływających sygnałów. Odkrycie, że starannie dobrana dawka 2-4-7 orto-para-teosaminy likwiduje największą nawet religijność, było zapewne najbardziej druzgocącym ciosem, jaki spotkał religie w całych dziejach ludzkości.

Sytuację zmieniło, rzecz jasna, pojawienie się Szybowca…

R. Gabor: Farmakologiczne podstawy religii

(Miskatonic University Press, 2069).

12. Gwiezdny Szybowiec

Czegoś podobnego oczekiwano od setek lat i przez ten czas zdarzyło się wiele fałszywych alarmów. Kiedy jednak owa chwila nadeszła, rodzaj ludzki poczuł się skrajnie zaskoczony.

Sygnał radiowy nadbiegający z kierunku Alfy Centauri był tak potężny, że z początku uznano go za zakłócenia spowodowane działalnością nadajników komercjalnych. Radioastronomowie, którzy od wielu dziesięcioleci przeszukiwali niebo w nadziei wychwycenia wiadomości wysłanych przez inne istoty inteligentne, nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć, jako że już dawno temu wykluczyli ze swych badań potrójny system Alfy, Bety i Proximy Centauri.

Wszystkie radioteleskopy na południowej półkuli skierowały się natychmiast na Centaura. Nim minęło parę godzin, dokonano kolejnego odkrycia. Sygnał nie nadbiegał z systemu Centaura. Źródło transmisji było odległe o pół stopnia od położenia Centaura na nieboskłonie. I poruszało się.

To był pierwszy znak. Rodzaj ludzki porzucił wszystkie swoje codzienne sprawy i zastygł w oczekiwaniu.

Moc sygnału przestała zdumiewać, skoro ustalono, że nadajnik znajduje się w obrębie Układu Słonecznego i porusza się w kierunku Słońca z szybkością sześciuset kilometrów na sekundę. Z dawna wypatrywani, budzący czasem lęk i obawy goście z przestrzeni kosmicznej wreszcie raczyli przybyć… Jednak przez trzydzieści pierwszych dni obcy obiekt nie podjął żadnych działań. Minął planety zewnętrzne, przez cały czas nadając te same ciągi impulsów, jakby chciał poinformować wszystkich: „Oto jestem!”. Nie odpowiadał na kierowane doń transmisje, nie modyfikował w żaden sposób swej kometopodobnej orbity. O ile jego obecna szybkość nie była pomniejszona wcześniejszym hamowaniem, to cała podróż obiektu z systemu Centaura musiałaby trwać przynajmniej dwa tysiące lat. Ktoś uznał taką ewentualność za pocieszającą, bowiem sugerowała, że przybysz jest tylko automatyczną sondą. Inni poczuli się rozczarowani uznając, że nieobecność prawdziwych, żywych obcych na pokładzie byłaby wręcz afrontem.

Wszystkie stacje radiowe i telewizyjne, wszystkie parlamenty świata, *ad nauseam* snuły dywagacje związane z przybyszem. Wyciągnięto i odkurzono niezliczone scenariusze kontaktu, snute z dawna przez pisarzy zajmujących się fantastyką naukową. Przeanalizowano dogłębnie rozmaite warianty, począwszy od wizji bogów zstępujących na ziemię po straszenie inwazją krwiożerczych wampirów. Londyński Lloyd zarobił sporo na ludziach pragnących ubezpieczyć się na wypadek takiego czy innego rozwoju wypadków.

W grę wchodziły nawet najbardziej nieprawdopodobne zagrożenia, również i takie, które zpewnością nie naraziłyby firmy na wypłacenie chociaż pensa odszkodowania.

Gdy obcy minął orbitę Jowisza, zaczęto wreszcie dowiadywać się o nim nieco więcej. Pierwsza informacja wzbudziła krótkotrwały przypływ paniki: obiekt miał pięćset kilometrów średnicy, czyli dorównywał rozmiarami małemu księżycowi. Może był to cały ruchomy świat kryjący wielką armadę inwazyjną…

Bardziej precyzyjne wyniki obserwacji ukoiły obawy. Sam obiekt miał ledwo kilka metrów średnicy, zaś pięćsetkilometrowe halo wokół niego powodowała struktura dziwnie znajoma: pajęczej budowy, z wolna obracający się wokół osi paraboliczny reflektor, odpowiednik ludzkich teleskopów orbitalnych. Uznano, że musi to być antena pozwalająca statkowi utrzymywać łączność z odległą bazą i przesyłać tam dane uzyskane chociażby z nasłuchu wszystkich ludzkich radioźródeł, w tym również transmisji radiowych i telewizyjnych. Potem zdumiano się ponownie. Olbrzymia antena nie była skierowana ku systemowi Centaura, ale zupełnie gdzie indziej. Najbliższy Słońcu system gwiezdny zaczęto określać jako przystanek w podróży wehikułu, a nie miejsce jego pochodzenia.

Astronomowie wciąż biedzili się nad tą zagadką, gdy pomógł im zwykły szczęśliwy traf. Słoneczny próbnik meteo znajdujący się akurat za orbitą Marsa przerwał nagle nadawanie, by wznowić je po niecałej minucie. Po przebadaniu zapisów ustalono, że jego instrumenty zostały sparaliżowane silnym sygnałem zewnętrznym. Próbnik przeleciał przez wiązkę obcego, a to pozwoliło obliczyć precyzyjnie, gdzie tamten kieruje swoje transmisje.

W odległości czterdziestu dwóch lat świetlnych nie znaleziono w rzeczonym kierunku niczego, prócz bardzo słabej i zapewne bardzo starej gwiazdy z grupy czerwonych karłów, jednego z tych mało rozrzutnych słońc, które będą świecić spokojnie nawet wtedy, gdy wypalą się najbardziej majestatyczne gwiezdne giganty galaktyki. Żaden radioteleskop nie przebadał nigdy bliżej tego obiektu. Teraz skierowano nań wszystkie urządzenia, które nie były dotąd wycelowane w obcego.

I owszem, wyłowiono ostry sygnał na fali o długości jednego centymetra. Twórcy wciąż utrzymywali łączność ze swym dziełem wystrzelonym tysiące lat temu, chociaż obecne transmisje musiały pochodzić sprzed prawie pół wieku.

Nagle, minąwszy orbitę Marsa, obcy dał znać, że zauważył istnienie rodzaju ludzkiego. Uczynił to w sposób bardziej dramatyczny i jednoznaczny, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić: rozpoczynając transmisję standardowego obrazu telewizyjnego składającego się z 3074 linii. Obrazowi towarzyszył tekst w płynnej,

chociaż nieco bombastycznej angielszczyźnie oraz w dialekcie mandaryńskim. Uczestnicy pierwszej rozmowy poprzez kosmos nie musieli czekać na odpowiedź interlokutora wiele dekad, a ledwie parę naście minut.

13. Cień o brzasku

Morgan opuścił hotel w Ranapurze o czwartej nad ranem, kiedy wokół panowała jeszcze pogodna, bezksiężycowa noc. Pora nie wydawała mu się najlepsza, ale profesor Sarath, który umówił wszystkie spotkania, obiecał że wczesne wstanie się opłaci. „Nie zrozumie pan nijak Sri Kandy — dowodził — jeśli nie obejrzy pan wschodu słońca z wierzchołka góry. Braciszek Budda zaś, znaczy Maha Thero, nie przyjmuje gości w żadnej innej porze. Powiada, że zarwana noc skutecznie pacyfikuje nawet największych zuchów". Morganowi pozostało uznać argumentację i wyrazić nawet coś na kształt wdzięczności.

Na dodatek miejscowy kierowca zasypał z miejsca Morgana potokiem mowy. Wprawdzie konwersacja była raczej jednostronna, ale i tak nie milkła, zupełnie jakby gadule zależało na błyskawicznym sporządzeniu możliwie pełnego opisu profilu osobowości pasażera. Wszystko to czynił z taką ilością dobrych chęci i tak serdecznie, że trudno było uznać rzecz za obrazę, Morgan jednak wolałby podróżować w ciszy.

Drugim jego życzeniem było, aby kierowca zwracał większą uwagę na liczne zakręty szosy, którą podążali w niemal zupełnej ciemności. Może zresztą to dobrze, że wciąż panowała noc, przynajmniej nie było widać wszystkich tych urwisk i przepaści, które mijali u stóp góry. Sama droga była wielkim osiągnięciem inżynierii, dziewiętnastowiecznej wprawdzie, ale zawsze. Zbudowano ją pod koniec epoki kolonialnej, w okresie ostatnich kampanii staczanych z dumnymi mieszkańcami gór w głębi wyspy. Nigdy nie przebudowano jej na szlak z automatycznym prowadzeniem pojazdów i chwilami Morgan zastanawiał się, czy nie jest to jego ostatnia droga. Nagle zapomniał o wszystkich lękach, zapomniał nawet o niewyspaniu.

— Jest! — krzyknął kierowca z dumą, gdy wóz wyjechał zza osłony wzgórza.

Sri Kanda była wciąż niewidoczna, na niebie nie malował się jeszcze najmniejszy nawet zwiastun świtu, ale jej obecność zdradzała wąska wstążka światła wijąca się zygzakami na tle gwiazd. Morgan wiedział, że to lampy, które od dwustu lat wskazują pielgrzymom drogę po najdłuższych schodach świata, jednak w tej niesamowitej atmosferze całość wyglądała bajecznie. Na stulecia przed jego narodzinami ludzie podjęli tu inspirowane niepojętymi dla jego umysłu ideami filozofów dzieło, które Morgan właśnie miał dokończyć. To oni, całkiem dosłownie, wykuli w skale pierwsze stopnie szlaku do gwiazd.

Senność przeszła Morganowi, gdy obserwował coraz bliższe

pasmo świateł zmieniających się z wolna w niezliczone, migające perełki. Góra też stała się widoczna pod postacią trójkątnego cienia, zasłaniającego połowę nieba. Wjej milczącej, zadumanej obecności wyczuwało się coś złowrogiego. Morgan pomyślał przez chwilę, że oto bogowie dowiedzieli się już o jego misji i zbierają siły, by stawić mu czoło.

Kres tym mrocznym rozmyślaniom położyło dotarcie do stacji wyciągu, gdzie mimo wczesnej pory — była dopiero piąta — zgromadziła się już w małej poczekalni przynajmniej setka ludzi. Nieco zdumiony Morgan zamówił kawę dla siebie i dla swego gadatliwego kierowcy. Ten ostatni, ku sporej uldze inżyniera, nie wykazywał zainteresowania podróżą na górę. „Byliśmy tam już ze dwadzieścia razy — powiedział znudzonym głosem. — Prześpię się w samochodzie do pana powrotu".

Morgan kupił bilet, dokonał kilku szybkich obliczeń i uznał, że uda mu się wjechać na górę z trzecią lub czwartą grupą pasażerów. Pogratulował sobie, że skorzystał z rady Saratha i wziął ze sobą podgrzewaną pelerynę. Już na wysokości dwóch tysięcy metrów było dość zimno, a na szczycie, trzy kilometry w górze, musiał panować mróz. Posuwając się z wolna w sennej kolejce gości Morgan zauważył ze zdumieniem, że tylko on, jako jedyny, nie dźwiga kamery. Gdzie podziali się prawdziwi pielgrzymi? Potem przypomniał sobie. Oni tutaj nie przychodzili. Nie uznawali łatwej drogi do nieba, do nirwany czy tego czegoś, w co wierzyli. Oni wchodzili na szczyt pieszo, bez pomocy maszyn. Ciekawa doktryna i nie pozbawiona sensu. Czasem jednak nic nie zastąpi maszyny.

W końcu zajął miejsce w wagoniku, który ruszył przy wtórze niepokojącego trzeszczenia kabli wyciągu. Morganowi znów przyszło do głowy pewne skojarzenie — wyciąg, który planował, będzie unosił ciężary dziesięć tysięcy razy większe niż to prymitywne urządzenie wywodzące się pewnie jeszcze z dwudziestego stulecia, a przecież zasada działania jednego i drugiego miała być w gruncie rzeczy identyczna.

Za oknami rozkołysanego wagonika trwała niezmącona ciemność, aż w pole widzenia wpłynęły oświetlone schody, zupełnie puste, jakby nikt nie szedł w ślady tych niezliczonych milionów, które przez minione trzy tysiące lat wspinały się na górę. Morgan pojął wszakże, że spieszeni amatorzy podziwiania wschodu słońca dawno minęli dolne partie stoku i są już zapewne blisko wierzchołka.

Na poziomie czterech kilometrów trzeba było opuścić wagonik i przejść kawałek do stacji następnego odcinka wyciągu. Morgan pogratulował sobie posiadania peleryny i ciasno otulił się metalizowaną tkaniną. Panował tu lekki mróz, powietrze było rozrzedzone i inżynier nie zdumiał się wcale, widząc ustawione na

widoku w małej stacyjce aparaty tlenowe.

Dopiero teraz, blisko celu drogi, dały się zauważyć pierwsze oznaki nadchodzącego dnia. Gwiazdy na wschodzie nie straciły jeszcze nic ze swego blasku, podobnie jak i lśniąca ponad horyzontem Wenus, jednak cienkie, wysoko zawieszone chmury zaczynały z wolna nabierać kolorów. Morgan spojrzał na zegarek, zaniepokojony czy się nie spóźni, ale nie, do wschodu słońca zostało jeszcze pół godziny.

Jeden z pasażerów wskazał nagle na widoczne gdzieniegdzie w dole zygzaki wijących się po coraz bardziej stromym zboczu schodów. Nie były już puste; z senną powolnością kroczyły po nich tuziny mężczyzn i kobiet. Z każdą chwilą pojawiało się coraz więcej ludzi, zmęczonych wyraźnie do kresu sił. Od ilu to godzin, zastanowił się Morgan, pokonują tak stopień za stopniem? Bez wątpienia musieli iść całą noc, a pewnie i dłużej, szczególnie że większość pielgrzymów miała już swoje lata i wątpliwe, by zdołali odbyć taką wspinaczkę w jeden dzień. Inżynier nie mógł wyjść ze zdumienia, że aż tylu ludzi wciąż hołdowało dawnej wierze.

Chwilę później ujrzał pierwszego mnicha, wysoką postać w szafranowej szacie kroczącą z regularnością metronomu wprost przed siebie, bez choćby jednego spojrzenia na boki czy do góry, na przemieszczający się nad ogoloną głową kapłana wagonik kolejki. Człowiek ten zdawał się być również nieczuły na siły przyrody, bowiem mimo mrozu prawą rękę i ramię miał nagie.

Kolejka linowa zwolniła, zbiżając się do stacji, aż zatrzymała się i wypuściła lekko otępiałych pasażerów, by ruszyć w drogę powrotną. Morgan dołączył do tłumu dwustu lub trzystu osób stłoczonych w małym amfiteatrze wyciętym w zachodniej ścianie góry. Wszyscy wpatrywali się w ciemność, chociaż na razie widać tam było jedynie wstęgę świateł znikającą daleko w dole. Trochę spóźnionych wspinaczy dobywało z siebie ostatnie siły, mocą wiary przezwyciężając nadludzkie znużenie.

Morgan zerknął ponownie na zegarek: jeszcze dziesięć minut. Nigdy dotąd nie znalazł się w tak wielkiej gromadzie milczących ludzi. Unoszący wysoko kamery turyści oraz pielgrzymi zastygli w tym samym oczekiwaniu i nadziei. Pogoda była wspaniała i już niedługo wszyscy mieli się przekonać, czy warto było odbyć taką wędrówkę.

Nagle rozległo się ciche pobrzękiwanie dzwonków; dochodziło z niewidocznej wciąż świątyni, położonej sto metrów wyżej. W tej samej chwili zgasły światła na zboczu góry. Teraz wszyscy stojący plecami do wyłaniającego się z ukrycia słońca widzowie dostrzec mogli pierwsze zwiastuny dnia malujące się na płynących w dole chmurach, wszelki inny blask zasłaniała olbrzymia masa góry.

Z sekundy na sekundę coraz jaśniej się robiło po obu stronach cienia rzucanego przez Sri Kandę. Słońce pokonywało ostatnie opory

nocy. W cierpliwie oczekującym tłumie rozległ się szmer podziwu. Przez chwilę nie działo się nic więcej, potem nagle ujrzeli wyraźnie zarysowany, idealnie symetryczny cień góry, ciemnoniebieski trójkąt sięgający do połowy wyspy Taprobane. Góra nie zapomniała o swoich czcicielach, rzucając słynny cień na pokrywę chmur — symbol, który każdy z pielgrzymów mógł interpretować wedle własnego życzenia.

Zjawisko przypominało odwróconą piramidę, było prawie namacalne i zupełnie nie kojarzyło się ze zwykłą grą światła i cienia. Gdy pierwsze promienie słońca padły na zbocza góry, cień jakby jeszcze zgęstniał, nabrał głębi, niemniej poprzez cienką powłokę chmur (dzięki którym zaistniał tak wyraźnie) dawało się dojrzeć zarysy leżących poniżej jezior, wzgórz i lasów.

Szczyt trójkąta przemieszczał się po krajobrazie z wielką szybkością i był coraz bliżej w miarę jak słońce wznosiło się ponad horyzont, jednak Morganowi zdawało się, że obraz zastygł w bezruchu. Miał wrażenie, że wszystko stężało w jednej, zawieszonej ponad trwaniem chwili. Czas przestał płynąć i oto cień wieczności zaległ na duszy niczym cień góry na obłokach.

W końcu zjawisko zaczęło się z wolna rozmywać. Mrok umykał z nieboskłonu niczym ciemne plamy z powierzchni biegnących wód. Widmowy obraz stracił najpierw na subtelności, potem odkrył swe drugie, rzeczywiste tło. Gdzieś w połowie drogi do horyzontu eksplodował blask, to promienie słońca padły na wschodnie okna jakiegoś budynku. A jeszcze dalej zdało się Morganowi, że dostrzega cienką, ciemną wstęgę morza.

Dla Taprobane zaczął się kolejny dzień.

Widzowie rozeszli się z wolna. Część wróciła na stację kolejki, inni, pełni wiary we własne siły ruszyli ku schodom w złudnej nadziei, że zejście musi być łatwiejsze niż wspinaczka. Większość z nich ledwo doczłapie do stacji pośredniej i tylko nieliczni dotrą pieszo na sam dół.

Morgan był jedynym, który skierował się w górę, ku krótkim schodom wiodącym do klasztoru na samym wierzchołku. Odprowadzało go wiele ciekawych spojrzeń. Do gładkich zewnętrznych murów dotarł mocno zasapany i zaraz oparł się o masywne drewniane wierzeje. Słońce zaczęło już sięgać i tutaj.

Ktoś musiał obserwować wejście, zanim bowiem zdołał znaleźć; dzwonek czy w jakikolwiek inny sposób zasygnalizować swe przybycie, drzwi otworzyły się bezszelestnie i w progu stanął mnich w żółtej szacie, który pozdrowił gościa składając dłonie.

— *Ayu bowan,* doktorze Morgan. Mahanayake Thero będzie zaszczycony, mogąc pana poznać.

14. Edukacja Gwiezdnego Szybowca

(Wyjątek z *Akt Gwiezdnego Szybowca,* wydanie pierwsze, 2071)

Wiemy już, że międzygwiezdna sonda znana jako Gwiezdny Szybowiec (lub Szybowiec) jest systemem w pełni autonomicznym, działającym zgodnie z ogólnymi instrukcjami zawartymi w programach wprowadzonych do jej pamięci sześćdziesiąt tysięcy lat temu. Przemieszcza się od tego czasu między gwiazdami, wysyłając z pomocą pięciusetkilometrowej anteny informacje do bazy (przekaz raczej powolny), czasem też odbierając dodatkowe instrukcje z bazy czy „Gwiezdnego Ostrowia", by wykorzystać pojęcie stworzone przez poetę znanego pod imieniem Llwellyn ap Cymru.

Niemniej podczas przejścia przez układ jakiejś gwiazdy sonda może czerpać energię ze Słońca, toteż ilość nadawanych przez nią informacji ulega zwiększeniu. Wykorzystując proste porównanie, sonda „podładowuje wówczas baterie". Ponieważ podobnie jak nasze dawne sondy typu Pionier czy Voyager wykorzystuje pole grawitacyjne ciał niebieskich dla zmian kursu i przyspieszania, może funkcjonować przez całą wieczność, czyli aż urządzenia zawiodą lub jakaś katastrofa położy kres jej istnieniu. Gwiazdy Centaura były jedenastym obiektem zainteresowania sondy. Po okrążeniu naszego Słońca po typowej dla komet orbicie, skierowała się ku celowi określonemu jednoznacznie jako Tau Ceti, gwieździe odległej o dwanaście lat świetlnych. Jeśli ktoś tam jest, to sonda nawiąże z nim konwersację już w kilka lat po roku 8100…… Szybowiec jest zarówno ambasadorem, jak i badaczem. Gdy pod koniec którejś z twających wiele tysiącleci podróży zdarza mu się odkryć cywilizację techniczną, nawiązuje przyjazny kontakt i zaczyna wymianę informacji (trzeba zaznaczyć, że informacja to jedyny rodzaj towaru, jaki może się liczyć na międzygwiezdnym rynku). Przed opuszczeniem takiego systemu i udaniem się w ciąg dalszy tej podróży bez końca, Szybowiec zdradza położenie swego macierzystego świata, oczekującego już na bezpośredni kontakt z nowym abonentem kosmicznej sieci telefonicznej.

W naszym przypadku mamy pewne powody do zadowolenia, bowiem udalo nam się zidentyfikować

gwiazdę, wokół której ten świat krąży, zanim jeszcze ktokolwiek nam rzecz wyjaśnił. Już dawno wysłaliśmy w jej kierunku pierwszą transmisję. Teraz zostaje nam tylko odczekać 104 lata i odebrać odpowiedź. Naprawdę mamy szczęście, znajdując sąsiadów praktycznie tuż za progiem.

Od początku było jasnym, że Szybowiec zna znaczenie kilku tysięcy słów angielskich oraz chińskich. Słowniki te stworzył analizując transmisje radiowe i telewizyjne oraz — co przydało mu się ‘szczególnie — penetrując przekazy sieci wideotekstu. Wszelako to, co przechwycił zbliżając się do Układu Słonecznego, trudno nazwać reprezentatywną próbką ludzkiej kultury. Niewiele tam było informacji z dziedziny zaawansowanych nauk, szczególnie mało matematyki i wąski wybór dorobku literackiego, muzycznego czy dziedzictwa innych rodzajów sztuki.

Jak każdy geniusz, który musiał sam zdobywać wykształcenie, Szybowiec dysponował wiedzą fragmentaryczną i pełną luk. Działając zgodnie z zasadą, że lepiej dostarczyć mu nazbyt wiele danych niż za mało tychże, zaraz po nawiązaniu kontaktu z Szybowcem przekazano mu całą zawartość oksfordzkiego słownika języka angielskiego, wielkiego słownika języka chińskiego (edycja zawierająca reformowany mandaryński) oraz *Encyklopedii Ziemi.* Transmisja cyfrowo przetworzonych danych trwała tylko trochę ponad pięćdziesiąt minut. Warto zauważyć, że po jej zakończeniu Szybowiec umilkł na prawie cztery godziny i był to najdłuższy czas, kiedy w trakcie utrzymywania kontaktu zniknął z anteny. Gdy wznowił łączność, jego słownik był o wiele bogatszy, sądząc zaś po dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przebiegu konwersacji, rozmówca zdolny byłby przejść spokojnie test Turinga, czyli, inaczej mówiąc, nie dałoby się rozróżnić, że ma się do czynienia z maszyną, a nie z wysoce inteligentnym człowiekiem.

Zdarzały mu się okazjonalne potknięcia, na przykład użycie niewłaściwego słowa wieloznacznego, brak też było emocjonalnych podtekstów przekazywanych wiadomości. Ale tego należało oczekiwać, gdyż podobnie jak zaawansowane ziemskie komputery przejmują od swych twórców również zdolność odtwarzania pozornych stanów emocjonalnych, tak i Szybowiec musiał raczej przejawiać skłonność do naśladowania własnych, obcych nam budowniczych, których sposób myślenia mógł być mocno odmienny od ludzkiego.

No i *vice versa,* rzecz jasna. Szybowiec bez trudu, precyzyjnie i do końca pojmował znaczenie zwrotów takich, jak „kwadrat przeciwprostokątnej równy jest sumie kwadratów przyprostokątnych”,

jednak wielkie kłopoty sprawiało mu zrozumienie zamysłu Keatsa towarzyszącego spisaniu słów:

> Magiczne okna, tam lękliwie cud pianą opisany,
> cud mór z niebezpiecznych, lądów utraconych…

Jeszcze gorzej było w przypadku fragmentu:

> Czyż mam cię porównać do letniego dzionka?
> Choćżeś bardziej milośliwa i jakby chłodniejsza…

Tak czy inaczej, w nadziei przezwyciężenia tej jego słabości, zaprezentowano Szybowcowi tysiące godzin muzyki, twórczości poetyckiej, sztuk teatralnych, scen z ziemskiego życia, zarówno dotyczących ludzi, jak i innych istot. Za ogólną zgodą materiał ten został do pewnego stopnia ocenzurowany. Wprawdzie nie było możliwe ani sensowne ukrywanie całego bagażu gwałtu i przemocy obecnych w dziejach ludzkości, jak również wojowniczości naszej rasy (było też za późno, by anulować nadanie *Encyklopedii),* jednakże w tej kwestii przekazano tylko kilka starannie wybranych przykładów. Ponadto, aż do czasu, gdy Szybowiec znalazł się poza zasięgiem ziemskich stacji, komercjalne kanały wideo pozostawały głuche i nieme.

Przez stulecia filozofowie będą roztrząsać, czy Szybowiec naprawdę potrafił zrozumieć ludzkie sprawy i problemy, i dyskusja ta nie umilknie być może nawet i wtedy, gdy sonda dotrze do następnej gwiazdy. W jednej wszakże kwestii zgoda panuje już teraz. Sto dni podróży Szybowca przez Układ Słoneczny nieodwołalnie zmieniło ludzki obraz wszechświata, poglądy na temat pochodzenia człowieka i jego miejsca pośród gwiazd.

Po wizycie Szybowca ludzka cywilizacja już nigdy nie może pozostać taka sama.

15. Bodhidharma

Gdy tylko masywne, rzeźbione we wzory kwiatów lotosu drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem za plecami Morgana, inżynier poczuł, że trafił do zupełnie innego świata. Nie po raz pierwszy znalazł się na terenie poświeconym jakiejś religii, zwiedzał już Notre Damę i świątynię Sophii, widział Stonehenge, Partenon, Karnak, katedrę Świętego Pawła oraz dziesiątki pomniejszych kościołów i meczetów, jednak zawsze patrzył na nie jako na zabytki minionych religii, wspaniałe dzieła sztuki, również inżynierskiej, bez jakichkolwiek wszakże emocjonalnych związków z teraźniejszością. Wiara, która je stworzyła i utrzymywała, odeszła w niepamięć, chociaż po prawdzie pozostałości niektórych religii istniały jeszcze w dwudziestym drugim wieku.

Tutaj jednak zdawało się, że czas stanął w miejscu. Wichry historii omijały tę samotną cytadelę wiary, nie powodując żadnych zmian. Od trzech tysięcy lat mnisi wciąż tak samo zanosili modły, oddawali się medytacjom i spoglądali o brzasku w niebo.

Stąpając po wyślizganych przez stopy niezliczonych pielgrzymów płytach dziedzińca, Morgan stracił nagle pewność siebie. Oto próbował zniszczyć coś pradawnego i szlachetnego, coś, czego nigdy w pełni nie zrozumie.

Zatrzymał się nagle na widok olbrzymiego dzwonu z brązu, który wisiał na dzwonnicy wyrastającej ze ściany klasztoru. Inżynier oszacował błyskawicznie, że dzwon musi ważyć przynajmniej pięć ton i że jest bardzo stary. Ale jakim cudem…?

Mnich zauważył ciekawe spojrzenie i uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Ma dwa tysiące lat — powiedział. — To dar od Kałidasy Przeklętego. Niezręcznie było odmówić przyjęcia takiego daru. Wedle legendy dziesięć lat trwało, nim wniesiono ten dzwon na górę. Zginęła przy tym setka ludzi.

— Kiedy dzwoni? — spytał Morgan, przetrawiwszy pierwszą odpowiedź.

— Przez wzgląd na darczyńcę, słychać go tylko w czasie klęsk i katastrof. Nigdy go nie słyszałem, nikt z żywych go nie słyszał. Raz odezwał się bez pomocy ludzkich rąk, podczas wielkiego trzęsienia ziemi w roku 2017. Przedtem dzwonił w roku 1522, kiedy iberyjscy najeźdźcy spalili Świątynię Zęba i porwali świętą relikwię.

— Zatem, mimo tylu wysiłków, prawie się go nie używa?

— Z dziesięć razy w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat. Wciąż ciąży na nim klątwa Kałidasy.

Może to i dobra religia, pomyślał Morgan, ale rozrzutna jak

diabli. Ilu to mnichów, zastanowił się jeszcze, walczyło przez te stulecia z pokusą, by postukać w dzwon choćby paznokciem i usłyszeć zakazane brzmienie…

Mijali właśnie wielki głaz z krótkimi schodkami prowadzącymi do pozłacanego pawilonu. Tam był właściwy wierzchołek góry. Morgan wiedział, co kryje pawilon, ale mnich i tak wziął się za wyjaśnienia.

— To ślad stopy — powiedział. — Katolicy wierzyli, że Adam stanął tam zaraz po wygnaniu z raju, Hindusi mówili, że to Siwa lub Saman, ale buddyści, rzecz jasna, uznawali to za ślad Oświeconego.

— Użył pan czasu przeszłego — powiedział Morgan, starając się nadać głosowi beznamiętne brzmienie. — A co myśli się teraz?

— Budda był człowiekiem, jak pan czy ja — odparł zakonnik równie obojętnie. — Odcisk na skale, a jest to bardzo twarda skała, mierzy dwa metry długości.

To wyjaśnienie zamykało sprawę i Morgan nie miał już dalszych pytań. W końcu wyszli na nieduży krużganek zakon — czony otwartymi drzwiami. Mnich zapukał, ale nie czekał na odpowiedź, tylko wskazał gościowi gestem, by wchodził.

Morgan oczekiwał podświadomie, że ujrzy osobę Mahanayakego Thero siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na macie, być może w otoczeniu zawodzących modlitwy akolitów i dymów kadzideł. Woń kadzidła rzeczywiście unosiła się w chłodnym powietrzu, ale przełożony *vihare* Sri Kandy siedział za zwykłym biurkiem wyposażonym w standardowy terminal z bankami pamięci. Jedyną osobliwością pokoju była głowa Buddy, lekko nadnaturalnych rozmiarów, widoczna na postumencie w kącie pomieszczenia. Trudno było orzec, czy to prawdziwa rzeźba, czy projekcja holo.

Mimo biurowego otoczenia, trudno byłoby jednak pomylić głowę zakonu z jakimkolwiek typem urzędnika. Poza żółtą szatą, Mahanayake Thero wyróżniały jeszcze dwie rzeczy — po pierwsze, mimo nie tak starego jeszcze wieku, był kompletnie łysy, po drugie — nosił okulary.

Jedno i drugie było skutkiem świadomego wyboru, domyślił się Morgan. Kłopotów z porostem włosów można było się już od dawna pozbyć dzięki krótkiej kuracji, a zatem ta lśniąca glaca musiała być wynikiem starannego golenia lub depilacji. Morgan nie pamiętał też, w jakiej sztuce historycznej widział po raz ostatni okulary.

Niemniej taka kombinacja cech była zarówno fascynująca, jak i deprymująca. Morgan stwierdził, że żadnym sposobem nie potrafi określić nawet w przybliżeniu wieku Mahanayakego: może czterdziestka, a może dobrze zakonserwowana osiemdziesiątka. A okulary, chociaż idealnie przejrzyste, zdawały się maskować prawdziwe myśli duchownego.

— *Ayu bowan,* doktorze Morgan — powiedział dostojnik,

wskazując gościowi jedyne wolne krzesło. — To mój sekretarz, czcigodny Parakarma. Nie będzie panu przeszkadzało, że zajmie się notowaniem naszej rozmowy?

— Skądże — odparł Morgan, kłaniając się zdawkowo trzeciej obecnej w komnacie osobie. Młodszy mnich miał drugie włosy i imponującą brodę. Zapewne golenie czerepu nie było obowiązkowe.

— Tak zatem, doktorze Morgan — ciągnął Mahanayake Thero — chce pan naszej góry. — Obawiam się, że tak, wasza… eee… eminencjo. Przynajmniej części.

— Z obszaru całego świata potrzebuje pan akurat tych kilku hektarów?

— Nie ja dokonałem tego wyboru, lecz natura. Stacja naziemna musi znajdować się na równiku, na możliwie jak najwyższym wzniesieniu, gdzie mniejsza gęstość powietrza łagodzi skutki huraganowych wiatrów.

— W Afryce i w Ameryce Południowej wznoszą się na równiku góry jeszcze wyższe niż ta.

Znów się zaczyna, jęknął w duchu Morgan. Przekonał się już, że nawet inteligentni i wykształceni ludzie mieli spore trudności ze zrozumieniem kwestii, a co dopiero ci mnisi… Gdyby tylko Ziemia była idealną kulą, bez zawirowań pola grawitacyjnego…

— Proszę mi wierzyć — stwierdził żarliwie. — Sprawdziliśmy wszystkie alternatywne lokalizacje. Cotopaxi i góra Kenya, nawet Kilimandżaro, chociaż leży trzy stopnie na południe. Nadawałyby się, gdyby nie jeden drobiazg. Satelita ustawiony nad tymi punktami nie utrzyma się na orbicie stacjonarnej. Za sprawą problemów ze stałą grawitacji na tych obszarach, zacząłby z wolna przesuwać się nad równikiem. Nie wdając się w szczegóły powiem tylko, że konieczne byłoby nieustanne korygowanie orbity, co nawet byłoby możliwe, bo w grę wchodzą niewielkie ilości potrzebnego paliwa, ale nie byłoby możliwe podobne potraktowanie wielu milionów ton długiego na tysiące kilometrów wyciągu. Wszelako szczęśliwie dla nas…

— Dla nas nie — wtrącił Mahanayake Thero, prawie zbijając Morgana z tropu.

— …istnieją też stabilne obszary orbity geostacjonarnej, gdzie stacja zostanie w ustalonym miejscu i nie zacznie dryfować. Zupełnie jakby zapadła na dnie niewidzialnej doliny. Jedno z takich miejsc znajduje się nad Pacyfikiem, zatem na nic się nie przyda. Drugie bezpośrednio nad naszymi głowami.

— Ale przecież kilka kilometrów w tę czy tamtą stronę nie robi wam chyba żadnej różnicy. Są jeszcze inne góry na Taprobane.

— Żadna z nich nie sięga nawet w połowie tak wysoko jak Sri Kanda i wszystkie pozostają w sferze przyziemnych wiatrów. To prawda, że huragany zdarzają się na równiku stosunkowo rzadko, ale

zdarzają się. Jeden by starczył, by zagrozić strukturze w jej najsłabszym punkcie.

— Potrafimy kontrolować wiatry.

Młody sekretarz po raz pierwszy włączył się do rozmowy. Morgan spojrzał nań z zainteresowaniem.

— Owszem, ale tylko do pewnego stopnia. Rozmawiałem już o tym z Kontrolą Monsunów. Powiedzieli, że nie mogą niczego gwarantować w stu procentach, szczególnie gdy rzecz dotyczy huraganów. W najlepszym razie dawali mi szansę pięćdziesiąt do jednego. To za mało jak na projekt o wartości tryliona dolarów.

Czcigodny Parakarma zdawał się mieć wyraźną ochotę na dłuższą dysputę.

— Jest taka gałąź matematyki, obecnie niemal zapomniana, zwana teorią katastrof. Meteorologia wygląda przy niej na naukę ścisłą. Jestem pewien, że…

— Winien jestem pewne wyjaśnienie — wtrącił się spokojnie Mahanayake Thero. — Mój kolega był niegdyś dość znanym astronomem. Zapewne słyszał pan o doktorze Choamie Goldbergu.

Morganowi zdało się, że oto pod jego krzesłem otwiera się klapa zapadni. Że też go nie ostrzeżono! Potem przypomniał sobie słowa profesora Saratha, który z dziwnym błyskiem w oku stwierdził: „Uważaj pan na osobistego sekretarza braciszka, to naprawdę bystry chłoptyś”.

Morgan miał nadzieję, że nie zarumienił się zbytnio, gdy czcigodny Parakarma, *alias* doktor Choam Goldberg, spojrzał na niego w wyraźnie mało przyjazny sposób. Zatem usiłował wyjaśnić kwestie niestabilnych orbit prostym mnichom… Ha! Mahanayake Thero usłyszał już zapewne wcześniej o wiele bardziej szczegółowy wykład na ów temat.

Przypomniał sobie, jak środowisko naukowe podzieliło się, oceniając postawę doktora Goldberga. Część uznała go za pomyleńca, reszta nie mogła się zdecydowaćjak go nazwać. Był bowiem jednym z najbardziej obiecujących młodych talentów astronomii, kiedy nagle, pięć lat temu, stwierdził iż „teraz, gdy Szybowiec doprowadził do klęski wszystkich tradycyjnych religii, możemy wreszcie poważnie zająć się studiami nad koncepcją Boga”.

Wygłosiwszy to zdanie, zniknął z życia publicznego.

16. Rozmowy z Gwiezdnym Szybowcem

Spośród tysięcy odpowiedzi na pytania zadawane Gwiezdnemu Szybowcowi w czasie jego przelotu przez Układ Słoneczny, najżywiej oczekiwano tych związanych z kwestiami istot i cywilizacji powstałych pod obcymi gwiazdami. Wbrew wyrażanym niekiedy obawom, sonda odpowiadała bez oporów zaznaczając jedynie, że ostatnie uzupełnienia w tej materii odebrała ponad sto lat temu.

Biorąc po uwagę bogactwo i różnorodność kultur powstałych na Ziemi za sprawą jednego tylko gatunku, oczywistym trzeba uznać wniosek, że wśród gwiazd istnieć musi większe jeszcze zróżnicowanie, bo wynikłe nie tylko z kwestii kultury, ale i uwarunkowań biologicznych. Kilkanaście tysięcy godzin fascynujących transmisji zawierających zwykle niesamowite, a czasem wręcz przerażające obrazy życia na innych planetach, w pełni potwierdziło to przypuszczenie.

Mieszkańcy Gwiezdnego Ostrowia przyjęli prosty sposób klasyfikowania kultur pod względem osiągniętego poziomu technologicznego, co było zapewne jedynym możliwym do znalezienia obiektywnym kryterium. Ludzkość z zadowoleniem przyjęła wiadomość, że mieści się w piątej grupie skali, która obejmowała: poziom 1 — posługiwanie się kamiennymi narzędziami; poziom 2 — narzędzia metalowe, wykorzystanie ognia; 3 — pismo, rzemiosła; 4 — siła pary, prymat nauki; 5 — energia atomowa, podróże kosmiczne. Wtedy, gdy Szybowiec zaczynał swą misję, ponad sześćdziesiąt tysięcy lat temu, jego twórcy, podobnie jak obecna ludzkość, należeli do kategorii piątej. Obecnie przesunęli się do szóstej, charakteryzującej się zdolnością do całkowitego przetwarzania materii w energię i transmutacji wszystkich pierwiastków na skalę przemysłową.

— A czy istnieje grupa siódma? — spytano niezwłocznie.

— Potwierdzam — odparł krótko Szybowiec. Kiedy poproszono o szczegóły, wyjaśnił: — Nie jestem upoważniony, by przekazywać niższej grupie informacje o technologiach opanowanych przez grupy wyższe. Na tym stanęło i na nic zdały się podchwytliwe pytania podsuwane przez najtęższe umysły Ziemi. Dopiero ostatnia transmisja dodała coś więcej.

Indagacje spełzały na niczym, bowiem Szybowiec mógł już wówczas mierzyć się spokojnie z dowolnym ziemskim logikiem. Po części była to wina Wydziału Filozofii Uniwersytetu w Chicago, który w epistemologicznym zapale przekazał przybyszowi całą treść dzieła opatrzonego tytułem *Summa Theologice.* Konsekwencje były porażające…

02 czerwca, 2069, 19:35 GMT, wiadomość 1946, sekwencja 2. Szybowiec do Ziemi:

Przeanalizowałem argumenty waszego świętego Tomasza z Akwinu, zgodnie z waszą prośbą wyrażoną w wiadomości 145, sekwencja 3, z 02 czerwca 2069, 18:42 GMT. Większość przekazu to pozbawiony sensu szum informacyjny, czyli brak informacji. Dalszy ciąg transmisji zawiera 192 sofizmaty wyrażone symbolami logicznymi właściwymi waszej matematyce przekazanej w wiadomości numer 43 z 20 maja 2069, 02:51 GMT.

Soflzmat 1… (i tu następuje 75 stron wydruku).

Jak się później okazało, Szybowcowi starczyła ledwie godzina, by uporać się nieodwołalnie ze świętym Tomaszem. Filozofowie, którzy przez kilka następnych dekad analizowali odpowiedź, znaleźli tylko dwa błędy, a i one mogły wynikać raczej z niezrozumienia terminologii.

Niestety, nie zapytano wówczas, ile mocy obliczeniowej musiał Szybowiec zaangażować do tego zadania. Pytanie pojawiło się dopiero po zniknięciu próbnika. Niemniej wcześniej odebrano jeszcze bardziej szokujące odpowiedzi…

04 czerwca, 2069, 07:59 GMT, wiadomość 9056, sekwencja 2. Szybowiec do Ziemi:

Nie potrafię przeprowadzić wyraźnej granicy pomiędzy waszymi rytuałami religijnymi a identycznym z gruntu zachowaniem podczas imprez sportowych czy kulturalnych, które mi pokazaliście. Odnosi się to szczególnie do koncertów Beatlesów, rok 1965, finałów mistrzostw świata w piłce nożnej, rok 2046, pożegnalnego koncertu Johanna Sebastiana Clonesa, rok 2056.

05 czerwca, 2069, 20:38 GMT, wiadomość 4675, sekwencja 2. Szybowiec do Ziemi:

Ostatnie odebrane przez mnie uzupełnienie pochodzi sprzed 175 lat, ale o ile zrozumiałem was poprawnie, to odpowiadam, co następuje. Formy zachowania, które wy zwiecie religijnymi, pojawiły się w 3 z 15 znanych kultur grupy pierwszej, w 6 z 28 znanych kultur grupy drugiej, w 5 z 14 znanych kultur grupy trzeciej, w 2 z 10 znanych kultur grupy czwartej i w 3 z 174 znanych kultur grupy piątej. Jak rozumiecie najpewniej,

najwięcej znanych nam kultur należy do grupy piątej, bowiem tylko one mogą zostać wykryte na odległość.

06 czerwca, 1069, 12:09 GMT, wiadomość 5897, sekwencja 2. Szybowiec do Ziemi:

Macie rację przypuszczając, że wszystkie trzy kultury grupy piątej, które przejawiają zachowania religijne, zostały stworzone przez istoty opierające swój proces reprodukcji na współpracy dwojga rodziców iże potomstwo wychowywane jest tam przez znaczną część swojego życia w grupach rodzinnych. Jak doszliście do tego wniosku?

08 czerwca, 2069, 15:37 GMT, wiadomość 6943, sekwencja 2. Szybowiec do Ziemi:

Hipotetyczny byt przypisywany Bogu, chociaż nie do obalenia za pomocą samej logiki, nie jest bytem koniecznym i przytoczony ciąg myślowy może obyć się bez niego.

Jeśli przyjmujecie, że wszechświat może zostać opisany i wyjaśniony jako kreacja istoty zwanej Bogiem, to istota taka musiałaby być oczywiście wyżej zorganizowana niż jej dzielą. W ten sposób ponad dwukrotnie zwiększacie skomplikowanie oryginalnego problemu, stawiając pierwszy krok na ślepej ścieżce nieskończonego regresu. Wasz William z Ockham wskazał Już w czternastym stuleciu, że nie należy niepotrzebnie mnożyć bytów. Nie rozumiem zatem, czemu ciągle wracacie do tego tematu.

11 czerwca, 2069, 06:34, wiadomość 8964, sekwencja 2. Szybowiec do Ziemi:

456 lat temu otrzymałem z Gwiezdnego Ostrowia wiadomość, że pochodzenie wszechświata zostało odkryte i ustalone, jednakże nie posiadam stosownych procesorów, aby informację przyswoić. W celu uzyskania szerszych objaśnień musicie skontaktować się wprost z Ostrowiem.

Przechodzę obecnie na tryb podróżny i muszę zakończyć kontakt. Do widzenia.

W opinii wielu słuchaczy finalna wiadomość nadana przez Szybowiec dowodziła jasno, że próbnik posiadał coś na kształt

poczucia humoru. Po cóż inaczej czekałby z tak „wybuchowym” materiałem do ostatniej chwili? A może cała rozmowa była częścią planu mającego na celu nakierowanie ludzkości na właściwą drogę, by za sto cztery lata, kiedy może nadejdzie wiadomość z Ostrowia, wnioski były już gotowe?

Byli też tacy, którzy proponowali podjęcie pościgu za Szybowcem, który unosił z Systemu Słonecznego nie tylko gigantyczną ilość informacji, ale także dzieła wysoce zaawansowanej techniki. Wprawdzie nie istniał akurat żaden statek, który mógłby najpierw doścignąć sondę, a potem, po rozwinięciu tak olbrzymiej szybkości, wrócić jeszcze na Ziemię. Niemniej budowa takiej jednostki była możliwa.

Rozsądek jednak przeważył. Nawet automatyczna sonda mogła posiadać jakieś urządzenia obronne, włączając w to zdolność do autodestrukcji. Większość wszakże uczestników dyskusji przekonywała, że przecież twórcy próbnika mieszkają „ledwie” pięćdziesiąt dwa lata świetlne od nas. Przez te tysiące lat, jakie minęły od wystrzelenia statku, musieli w niewyobrażalnym dla nas stopniu rozwinąć technikę kosmiczną. Jeśli ludzkość ich sprowokuje, mogą poczuć się zobowiązani do złożenia nam niekoniecznie przyjaznej wizyty, i to już za kilkaset lat.

Niezależnie od owych sporów, Szybowiec znacznie przyspieszył proces, który i tak zachodził już z wolna od paru setek lat. Zakończył wpływ miliardów wypowiedzianych przez wieki pobożnych słów, które tylko zaśmiecały umysły inteligentnych przecież ludzi.

17. Parakarma

Przypomniawszy sobie naprędce dotychczasowy przebieg rozmowy Morgan uznał, że właściwie nie wyszedł wcale na głupca. To raczej Mahanayake Thero ryzykował utratę przewagi, skoro ujawnił tożsamość czcigodnego Parakarmy. Wszakże to ostatnie nie było żadną tajemnicą, pewnie sam mnich przypuszczał, że Morgan z dawna wie, kim jest sekretarz.

Dwóch młodych akolitów ppjawiło się akurat w porę, by zatrzeć nieprzyjemny efekt. Jeden niósł tacę z miseczkami ryżu, owoców i cienkich placuszków, drugi dźwigał imbryk z nieodzowną w buddyjskich klasztorach herbatą. Wśród dań nic nie przypominało mięsa. Zmęczony zarwaną nocą, Morgan z chęcią zjadłby parę jajek, ale takie potrawy były tu zapewne zakazane. Nie, zakaz to zbytmocne słowo. Sarath powiedział, że tutejsza reguła niczego nie zakazuje, bowiem nie uznaje żadnych absolutów. Mnisi hołdowali raczej wyważonej stosownie tolerancji, niemniej odbieranie życia, nawet potencjalnego życia czającego się wewnątrz skorupyjajka, było czymś, czemu nijak nie przyznawali priorytetu.

Próbując zawartości poszczególnych miseczek, w większości przypadków kompletnie nieznanej, Morgan spojrzał ze zdumieniem na siedzącego w bezruchu Mahanayakego Thero. Mnich potrząsnął głową.

— My nie jadamy przed południem. Rano umysł funkcjonuje najlepiej i nie należy mącić koncentracji skupiając się na sprawach ciała. Zajmując się całkiem smakowicie przyrządzoną papayą, Morgan rozważał osobliwość takiej postawy. Dla niego pusty żołądek był raczej czynnikiem wadzącym myśleniu i uniemożliwiającym pełne wykorzystanie wyższych funkcji umysłu. Ciesząc się zawsze dobrym zdrowiem, nigdy nie czynił rozróżnienia miedzy stanem ciała a stanem ducha i nie widział żadnego powodu, by popadać w taki dualizm.

Morgan pałaszował egzotyczne śniadanie, tymczasem Mahanayake Thero przeprosił go na chwilę i zaczął z obłędną szybkością stukać coś na klawiaturze swojego komputera. Ekran był dobrze widoczny, zatem Morgan odwrócił z uprzejmości spojrzenie, wbijając oczy w głowę Buddy. Chyba jednak była prawdziwa, bowiem postument rzucał cień na ścianę… Chociaż… kolumienka mogła być z kamienia, zaś głowa tylko projekcją. To często spotykana sztuczka.

Podobnie jak w przypadku Mony Lisy, dzieło pozwalało domyślić się emocjonalnego zaangażowania twórcy jak i podziwu, który artysta czuł wobec portretowanej postaci. Tyle tylko, że Gioconda miała otwarte oczy i wpatrywała się w coś czy kogoś. Budda praktycznie nie miał oczu, tylko gładkie płaszczyzny wyrażające pustkę, w której

można zatracić duszę lub odnaleźć cały wszechświat.

Na jego ustach igrał uśmieszek bardziej jeszcze dwuznaczny, niż ten znany zmalowidła Leonarda. Ale czy to był uśmiech, czy może tylko gra cieni? Wystarczyło spojrzeć pod innym kątem, a znikał zastąpiony nadludzkim spokojem, wywyższeniem wszelkiej rzeczy… Morgan nie mógł oderwać oczu od posążka i dopiero warkot drukarki przywołał go do rzeczywistości. O ile to była rzeczywistość…

— Pomyślałem, że może pan zapragnąć pamiątki — powiedział Mahanayake Thero.

Morgan przyjął arkusz i zauważył ze zdumieniem, że trzyma nie zwykły papier do drukarki, ale odbitkę archiwalnego dokumentu sporządzoną na grubej karcie z surowca, którego nie stosowano od wieków. Nie potrafił odczytać ani słowa prócz numeru w dolnym lewym rogu, poznawał jednak kwiatopodobny alfabet stosowany na Taprobane.

— Dziękuję — powiedział siląc się na ironię. — Cóż to jest? — Domyślał się, że musi to być jakiś akt prawny, te bowiem podobne byty wszędzie, niezależnie od czasu i języka. — Kopia ugody podpisanej miedzy królem Ravindrą a Mahą Sanghą datowana na dzień święta *Vesak* w roku 854 waszego kalendarza. Ustala na wieczność własność ziemi świątynnej. Nawet najeźdźcy uznawali prawną moc tego dokumentu.

— Zapewne Kaledończycy i Holendrzy. Iberowie mieli inne zdanie.

Jeśli Mahanayake Thero poczuł się zaskoczony przygotowaniem Morgana, to nawet powieka mu nie drgnęła.

— Oni prawie wcale nie zwracali uwagi na takie sprawy jak praworządność, szczególnie gdy rzecz tyczyła innych religii. Mam nadzieję, że nie jest pan wyznawcą ich filozofii.

Morgan zmusił się do uśmiechu.

— W żadnym przypadku — odparł, ale zaraz zastanowił się, jak właściwie wytyczyć tu sensowną granicę. Gdy na jednej szali stawały interesy wielkich instytucji, zwyczajowe poczucie moralności z reguły spychano na dalszy plan. A tą sprawą zajmą się już niebawem najlepsze prawnicze umysły Ziemi, tak ludzkie jak elektroniczne. Jeśli nie zdołają znaleźć stosownych rozwiązań, może dojść do nader niemiłej sytuacji, która jego, Morgana, wykreuje nie na bohatera, ale na łotra.

— Skoro już poruszył pan sprawę traktatu z roku 854, to niech mi będzie wolno przypomnieć, że odnosi się on wyłącznie do terenu w obrębie murów świątyni.

— Owszem. Jednakże świątynia zajmuje cały szczyt góry.

— Tereny wokół murów wam nie podlegają.

— Mamy takie same prawa, jak każdy właściciel posesji. W

przypadku uciążliwego sąsiedztwa możemy się odwołać do sądu. Sprawa nie pojawia się po raz pierwszy.

— Wiem. Przedtem chodziło o kolejkę linową. Maha Thero uśmiechnął się blado.

— Widzę, że dobrze się pan przygotował. Owszem, byliśmy zdecydowanie przeciwni jej budowie i to z szeregu powodów, chociaż teraz muszę przyznać, że wiele jej zawdzięczamy. — Zamyślił się na chwilę. — Było trochę problemów, ale nauczyliśmy się nie przeszkadzać sobie wzajemnie. Zwykli turyści i ciekawscy poprzestają na odwiedzeniu platformy widokowej, tylko prawdziwi pielgrzymi wchodzą na szczyt i tych witamy niezmiennie serdecznie. — Zatem może da się osiągnąć zgodę. Kilkaset metrów nie zrobi różnicy. Możemy zostawić wierzchołek w spokoju i wyciąć nową półkę, podobnie jak zrobiono podczas budowy stacji kolejki linowej.

Zapadła cisza i Morgan poczuł się nieswojo. Nie miał złudzeń i spodziewał się, że obaj mnisi poznają szybko absurdalność tej propozycji, ale ponieważ rozmowa była dokumentowana, musiał rzecz wypowiedzieć.

— Ma pan osobliwe poczucie humoru, doktorze Morgan — odezwał się w końcu Mahanayake Thero. — A co stanie się wówczas z atmosferą panującą na tej górze, gdzie od trzech tysięcy łat szukamy samotności? Co z niej zostanie, gdy wzniesiecie to monstrualne urządzenie? Czy oczekuje pan, że lekką ręką machniemy na uczucia milionów wiernych pielgrzymujących do świętego miejsca, często kosztem zdrowia a nawet życia?

— Rozumiem wasze wahania — odparł Morgan (czy na pewno?, zastanowił się). — Zrobimy, rzecz jasna, co w naszej mocy, aby zminimalizować wszelkie niedogodności. Maszyneria zostanie zamontowana we wnętrzu góry. Na zewnątrz będzie widać tylko sam wyciąg, a i to jedynie z bliska. Sylwetka góry praktycznie wcale się nie zmieni. Nawet słynny cień, który dopiero co podziwiałem, pozostanie nie tknięty.

Mahanayake Thero obrócił się do sekretarza, jakby szukając potwierdzenia tych słów. Czcigodny Parakarma spojrzał wprost na Morgana.

— A hałas?

Cholera, pomyślał Morgan, to najsłabszy punkt. Ładunki będą wystrzeliwane z góry z szybkością wieluset kilometrów na godzinę. Im większy pęd nada im się na Ziemi, tym mniejsze naprężenia powstaną w całej zawieszonej strukturze. Oczywiście, pasażerowie będą poddawani przeciążeniu równemu góra połowie G, ale i tak będzie to szybkość bliska barierze dźwięku.

— Będzie trochę hałasu spowodowanego tarciem powietrza — przyznał inżynier — ale o wiele mniej niż w pobliżu ruchliwego

lotniska.

— To bardzo pocieszające — mruknął Mahanayake Thero. Morgan był przekonany, że mnich powiedział to z sarkazmem, chociaż w jego głosie nie zabrzmiał ani cień ironii. Kapłan albo potrafił zachować olimpijski zgoła spokój, albo sprawdzał granice wytrzymałości gościa. Młodszy mnich jednak nie krył rozdrażnienia.

— Od lat składamy protesty wobec zgiełku czynionego przez wracające na Ziemię statki kosmiczne. Zakłócają nasz spokój. A teraz pan chce zbudować nam generator fal uderzeniowych tuż… za kuchennymi drzwiami.

— Na tej wysokości nie ma mowy o przekraczaniu bariery dźwięku — odparł zdecydowanie Morgan. — Poza tym struktura wieży zaabsorbuje większość energii i stłumi odgłosy. W rzeczy samej — dodał, znajdując wreszcie jakiś solidny punkt oparcia — na dłuższą metę wyeliminujemy gromy towarzyszące przekraczaniu bariery dźwięku przez rakiety. Góra stanie się cichszym miejscem.

— Rozumiem. Zamiast huku od czasu do czasu, będziemy tu mieli nieustanny łomot.

Nie, z tym typem nijak się nie dogadam, pomyślał Morgan. A sądziłem, że to Mahanayake Thero będzie stwarzał najwięcej trudności…

A może… Czasem dobrze jest w takiej sytuacji zmienić nagle temat rozmowy na możliwie odległy.

— Czy nasze działania nie mają jednak ze sobą wiele wspólnego? — spytał, wkraczając nieśmiało na poletko teologii. — Możemy mieć odmienne cele, ale dążymy w zasadzie ku temu samemu. Moją nadzieją jest jedynie stworzyć przedłużenie waszych schodów do nieba. Jeśli wolno mi powiedzieć, zamierzam zbudować schody do niebios.

Czcigodnego Parakarmę zatkało na taką zuchwałość. Zanim przyszedł do siebie, głos zabrał jego przełożony.

— Interesująca koncepcja, ale nasi filozofowie nie wyrażają wiary w żadne niebiosa. Zbawienie można uzyskać tylko w tym świecie. Czasem dziwi mnie, jak bardzo boicie się go opuścić. Czy zna pan opowieść o Wieży Babel?

— Niespecjalnie.

— Proponuję, by zajrzał pan do starej Biblii chrześcijan, *Genesis,* 11. To też był taki projekt inżynierski, który miał sięgnąć niebios. Spełzł na niczym, a to za sprawą problemów z porozumieniem.

— Zapewne czeka nas wiele problemów, ale nie sądzę, aby akurat takie. Spojrzawszy jednak na czcigodnego Parakarmę, Morgan zwątpił w wypowiedziane dopiero co słowa. Najpierw trzeba było znaleźć sposób porozumienia między dwoma istotami bardziej odmiennymi, niż *homo sapiens* a Gwiezdny Szybowiec. Mówili wprawdzie tym

samym językiem, ale o zupełnie różnych sprawach.

— Czy mogę spytać — odezwał się niezmiennie uprzejmy Mahanayake — jaki wynik przyniosły pana rozmowy z urzędnikami od parków i lasów?

— Są ze wszech miar skłonni do współpracy.

— To mnie nie dziwi. Cierpią na wieczne niedoinwestowanie i mają nadzieję, że to wzmocni ich budżet. Kolejka linowa jest dla nich maszynką do robienia pieniędzy, zatem po takim przedsięwzięciu oczekują zapewne o wiele więcej.

— I nie zawiodą się. Przyjęli do wiadomości, że nie stworzy to żadnego zagrożenia dla środowiska naturalnego.

— A przypuśćmy, że cała rzecz runie? Morgan spojrzał czcigodnemu prosto w oczy.

— Nie runie — powiedział jak ktoś całkowicie pewny swoich racji. Jak ktoś, kto śpią) tęczowym mostem dwa kontynenty.

Wiedział jednak, że nigdy nie osiągnie całkowitej pewności w tej materii. Parakarma też musiał to wiedzieć. Dwieście dwa lata wcześniej, siódmego listopada 1940 roku, inżynierowie dostali lekcję, której nie wolno im nigdy zapomnieć.

Morgana nawiedzały czasem upiorne myśli i to właśnie była jedna z nich. Już od dłuższego czasu komputery w siedzibie Terran Construction usiłowały poddać te zmory skutecznym egzorcyzmom.

Jednak żaden, nawet najsprawniejszy komputer świata, nie mógł nigdy ostrzec przed tym, co jeszcze nie było znane. Przed upiorami, które dopiero miały się narodzić.

18. Złociste motyle

Mimo blasku słońca i wspaniałych widoków roztaczających się wokół szosy, Morgan usnął i obudził się dopiero gdy samochód dotarł na równiny. Nie obudziły go dziesiątki ostrych zakrętów, ocknął się, gdy wóz zahamował z piskiem hamulców i Morgan szarpnął się w pasach bezpieczeństwa.

Przez chwilę niezbyt wiedział, gdzie się znajduje. Gotów był sądzić, że sen trwa dalej. Podmuch wpadającego przez uchylone okno wiatru niósł tyle ciepła i wilgoci, że mógł z powodzeniem zastąpić węgle tureckiej łaźni. Niemniej samochód stał pośrodku czegoś, co wyglądało na gęstą śnieżną zadymkę.

Morgan zamrugał, przetarł oczy i znów je otworzył. Po raz pierwszy w życiu widział śnieg o barwie złota…

Nad szosą unosiła się zwarta chmura motyli kierujących się w ramach migracji gdzieś na wschód. Kilka przykleiło się do przedniej szyby. Klnąc w miejscowym języku (ubogim raczej w podobne zwroty) szofer wysiadł i wytarł szkło. Zanim skończył, rój zaczął rzednąć, aż nad drogą zostało tylko kilka gromadek maruderów.

— Zna pan tę legendę? — spytał szofer, obracając się ku pasażerowi.

— Nie — mruknął Morgan. Nie interesowały go żadne legendy, przede wszystkim chciał się jeszcze trochę zdrzemnąć.

— Złote motyle to dusze wojowników Kalidasy. Ta armia, którą wygubił pod Yakkagalą. Morgan wymamrotał coś bez entuzjazmu. Miał nadzieję, że szofer zrozumie, że ma się zamknąć. Była to płonna nadzieja.

— Co roku o tej porze kierują się ku Świętej Górze i umierają wszystkie na jej stokach. Czasem można je znaleźć w połowie szlaku kolejki, ale wyżej już nie dają rady. *Vihara* ma szczęście.

— *Vihara?*

— Świątynia. Gdyby do niej dotarły, oznaczałoby to ostateczne zwycięstwo Kaidasy, a *bhikku,* czyli mnisi, musieliby się wynieść. Tak głosi przepowiednia wyryta na kamieniu przechowywanym w muzeum w Ranapurze. Mogę go panu pokazać.

— Może innym razem — warknął Morgan i rozparł się ponownie na siedzeniu. Jednak długo nie mógł przysnąć, tak dręczyło go wyobrażenie przywołane słowami kierowcy.

Jeszcze nie raz w nadchodzących miesiącach miał wspominać w ciężkich chwilach, w momentach przebudzeń w środku nocy tę wizję złotej zadymki. Obraz milionów skazanych na zagładę motyli wytężających wszystkie siły w próżnym wysiłku dostania się na szczyt góry. Obraz symboliczny.

Nawet teraz, na samym początku walki, nie był to symbol zbyt uspokajający.

19. Nad brzegami jeziora Saladin

Prawie wszystkie symulacje komputerowe alternatywnej historii ludzkości sugerują, że bitwa pod Tours (rok 732) była jedną z największych porażek naszego gatunku. Gdyby Charles Martel został pokonany, islam zdołałby zapewne przezwyciężyć wewnętrzne spory i opanowałby całą Europę, która w ten sposób zdołałaby uniknąć stuleci chrześcijańskiego barbarzyństwa. Rewolucja przemysłowa nadeszłoby niemal o tysiąc lat wcześniej i w chwili obecnej sięgalibyśmy innych gwiazd, miast tylko sąsiednich planet…

Los jednak zrządził inaczej i armie proroka wróciły do Afryki, a islam zamienił się w żywą skamielinę. I tak było aż do końca dwudziestego stulecia, kiedy to część krajów muzułmańskich nagle skąpała się w nafcie…

(Wystąpienie przewodniczącego na sympozjum zorganizowanym z okazji dwustulecia urodzin Arnolda Josepha Toynbee, Londyn, 2089)

— Czy wiesz — spytał szejk Faruk Abdullah — że przyjąłem tytuł Wielkiego Admirała Floty Sahary?

— Wcale mnie to nie dziwi, panie prezydencie — odparł Morgan i spojrzał na lśniący błękit jeziora Saladin. — O ile to nie tajemnica, iloma jednostkami pan dysponuje? — Obecnie dziesięcioma. Największa to trzydziestometrowy wodolot pływający pod znakiem Czerwonego Półksiężyca. Co tydzień ratuje iluś niewydarzonych matrosów. Mój lud nie oswoił się jeszcze na dobre z wodą… Popatrz tylko, jak ten idiota próbuje halsować! Ostatecznie dopiero dwieście lat temu przesiadł się z wielbłądów na łodzie.

— Wyposażając się w cadillaki i rolls-royce'y. To chyba ułatwiło przystosowanie.

— Wciąż je mamy. Srebrny duch mojego praprapraprapradziadka wygląda jak nowy. Ale muszę oddać sprawiedliwość. Najwięcej kłopotów sprawiają goście, którzy nie znają tutejszych wiatrów. My wolimy łodzie z silnikiem. W przyszłym roku mam dostać łódź podwodną zdolną zejść do największej głębi jeziora, to jest na siedemdziesiąt osiem metrów.

— A to po co?

— Dopiero teraz archeologowie wybąkali, że pod piaskiem pustyni było pełno wykopalisk. Oczywiście nikt nie trudził się ich wydobyciem, aż zalano te tereny.

Poganianie prezydenta PAR-u — Północnoafrykańskiej Autonomicznej Republiki, mijało się z celem i Morgan miał dość rozumu; by nie naciskać. Cokolwiek stanowiła tutejsza konstytucja, szejk Abdullah skupił w swoim ręku więcej władzy i bogactw niż jakakolwiek inna jednostka na Ziemi. Co więcej, świetnie wykorzystywał i jedno, i drugie.

Pochodził z rodziny, która nie bała się ryzyka i rzadko żałowała swoich posunięć. Jej pierwszą i najbardziej znaną zagrywką, na pół wieku ustawiającą ród w opozycji do całego świata arabskiego, było zainwestowanie wielkich sum petro-dolarów w rozwój techniczny i naukowy państwa Izrael. Było to wysoce dalekowzroczne posuniecie, które umożliwiło w następstwie rozpoczęcie eksploatacji bogactw Morza Czerwonego, pokonanie pustyni, a nawet, o wiele później, wzniesienie Mostu Gibraltarskiego.

— Nie muszę ci mówić, Van — odezwał się w końcu szejk — jak bardzo pasjonują mnie twoje nowe projekty. Po tym wszystkim, co przeszliśmy razem podczas budowy mostu, wiem już, ile potrafisz, jeśli tylko znajdziesz oparcie…

— Dziękuję. — Mam jednak kilka pytań. Niezbyt jeszcze rozumiem, czemu ma służyć stacja pośrednia i czemu chcesz ją zawiesić właśnie na wysokości dwudziestu pięciu tysięcy kilometrów.

— Z kilku powodów. Po pierwsze, gdzieś na tej właśnie wysokości potrzebna będzie solidna stacja mocy, co i tak oznacza dość masywną konstrukcję. Potem dotarło do nas jeszcze, że siedem godzin to dość długi czas, jeśli spędzić go w ciasnej kabinie. Podzielenie podróży na dwa etapy będzie miało kilka zalet. Nie trzeba będzie karmić pasażerów w kapsułach, zjedzą coś i rozprostują nogi w stacji pośredniej. Uprości to też konstrukcję samych kabin. Te z dolnej sekcji będą musiały mieć kształt możliwie aerodynamiczny, górne będzie można projektować bez tego ograniczenia, dzięki czemu budowa ich będzie prostsza, będą też lżejsze. Stacja pośrednia posłuży też jako centrum kontrolne, a może i stanie się samodzielną atrakcją turystyczną.

— Ale to nie będzie dokładnie w połowie drogi, a raczej w dwóch

trzecich całej linii.

— Owszem, środek przypadnie gdzieś na osiemnasty tysiąc. Ale trzeba brać pod uwagę jeszcze jedno. Bezpieczeństwo. Gdyby zdarzyło się, że linia powyżej uległaby przerwaniu, stacja nie spadnie na Ziemię.

— A to czemu?

— Moment obrotowy pozwoli jej pozostać na orbicie. Oczywiście zacznie spadać, ale nie wejdzie w atmosferę. Stanie się po prostu samodzielną, bezpieczną stacją orbitalną poruszającą się na dziesięciogodzinowej orbicie eliptycznej. Dwa razy w ciągu doby będzie przelatywać nad miejscem startu, dzięki czemu da się ją w jakiejś chwili przechwycić i podłączyć ponownie. Przynajmniej w teorii…

— A w praktyce?

— Najpewniej też dałoby się to zrobić. W każdym razie udałoby się uratować i ludzi, i wyposażenie. Niższa orbita nie daje tej szansy. Cokolwiek, co rozpoczyna spadek z pułapu niższego niż dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów, w ciągu najwyżej pięciu godzin wchodzi w obręb atmosfery, gdzie musi spłonąć.

— Chyba nie będziesz nagłaśniać tego w prospektach reklamowych? — Mam nadzieję, że pasażerowie będą i tak zbyt zajęci podziwianiem krajobrazu.

— Ruchomy taras widokowy.

— A czemu nie? Najwyższy sztuczny taras widokowy na Ziemi położony jest na wysokości trzech kilometrów, a ten będzie kilkanaście tysięcy razy wyżej.

Szejk Abdullah umilkł na chwilę, zamyślony.

— Zmarnowaliśmy szansę — powiedział w końcu. — Mogliśmy zainstalować taras na szczytach pięciokilometrowych podpór mostu.

— Były w pierwotnym projekcie, ale zrezygnowano z nich. Koszty.

— To chyba był błąd. Szybko by się spłaciły. Ale pomyślałem jeszcze o czymś. Gdybyśmy mieli wówczas te superwłókna, to most byłby o połowę tańszy.

— Nie będę kłamał, panie prezydencie. Całość kosztów byłaby ponad pięciokrotnie niższa. Ale budowa opóźniłaby się o ponad dwadzieścia lat, tak zatem ostatecznie nic pan na tym nie stracił.

— Muszę powiedzieć to moim doradcom. Niektórzy jeszcze dzisiaj kręcą nosami, chociaż ruch na moście rośnie szybciej ‘niż wtedy przewidywaliśmy. Przekonuję ich, że pieniądze to nie wszystko. Republika potrzebowała mostu. Był to impuls ekonomiczny, kulturowy i psychologiczny. Wiesz, że dziewiętnaście procent podróżnych przejeżdża przez most tylko dlatego, że ten istnieje, a nie z potrzeby podróży? Zaraz potem wracają, płacąc w ten sposób myto

w obie strony.

— Mam wrażenie, że już wiele lat temu wspominałem, że tak będzie. Niełatwo było pana przekonać.

— Niełatwo. Pamiętam, że najczęściej powoływałeś się na przykład budynku opery w Sydney zaznaczając, że koszty jego budowy zwróciły się już po wielokroć. I w gotówce, i we wzroście prestiżu miasta.

— Była jeszcze mowa o piramidach.

— Właśnie, jak je nazwałeś? — roześmiał się szejk. — Najlepszą inwestycją w historii ludzkości?

— Dokładnie. Nawet po czterech tysiącach lat wciąż jeszcze przynoszą dochód. — Kiepskie porównanie. Ich koszty utrzymania są znikome wobec tego, ile trzeba wydać na konserwację mostu. A to i tak mniej niż w przypadku wieży.

— Wieża może przetrwać nawet piramidy. Mniej szkodliwych wpływów środowiska.

— Niezwykłe. Naprawdę wierzysz, że będzie działać przez kilka tysięcy lat?

— Może nie w oryginalej postaci, ale zasadniczo tak. Cokolwiek przyniesie postęp techniczny, wieża długo jeszcze będzie najwydajniejszym i najtańszym sposobem dotarcia na orbitę. Można myśleć o niej jako o szczególnym moście. Tym razem będzie to most ku gwiazdom lub przynajmniej planetom.

— A my mamy go sfinansować. Ten ostatni most będziemy spłacać jeszcze przez dwadzieścia lat. Twoja winda kosmiczna nie będzie nawet na naszym terytorium. Nie skorzystamy też na niej bezpośrednio.

— Niemniej sądzę, panie prezydencie, że korzyści będą. Pańska republika jest ściśle związana ze światową gospodarką, a koszty transportu kosmicznego są teraz jednym z czynników ograniczających jej wzrost. Jeśli poczyta pan raporty szacujące stan na lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte…

— Czytałem, czytałem… Ciekawa lektura. Niemniej, chociaż nie jesteśmy biedni, to nie jesteśmy w stanie zapłacić nawet znaczącej części. Całe koszty pochłonęłyby kilkuletni dochód gospodarki całego świata!

— Spłacając się potem piętnastokrotnie.

— O ile się nie mylisz.

— W przypadku mostu miałem rację. Ale owszem, zgoda, oczekuję jedynie, że PAR da pierwszy sygnał. Jeśli wy okażecie zainteresowanie, łatwiej będzie przekonywać innych.

— Czyli kogo?

— Bank Światowy, banki planet. Rząd Federalny.

— A twoi pracodawcy, Terran Construction Corporation? Co ty

właściwie zamierzasz, Van?

Doszliśmy i do tego, pomyślał Morgan i odetchnął z ulgą. Wreszcie może porozmawiać szczerze z kimś zaufanym, kto był postacią zbyt znaczącą, by bawić się w drobne intrygi, typową grę zbiurokratyzowanych struktur, chociaż umie z tych struktur korzystać. — Większość pracy wykonałem korzystając z urlopu. Tak samo było w przypadku mostu. Nie wiem, czy mówiłem ci kiedyś, ale była nawet taka chwila, gdy szefowie kazali mi zapomnieć o tym projekcie… A przez ostatnie piętnaście lat trochę się jeszcze nauczyłem…

— Ale to wymagało olbrzymiej mocy obliczeniowej. Kto zapłacił za czas pracy komputerów?

— Och, dysponuję pewnymi osobistymi funduszami. Poza tym nikt tak naprawdę nigdy nie rozumie, czym faktycznie zajmuje się mój personel. Prawdę mówiąc, zmontowałem już mały zespół, który żyje tym pomysłem od kilku miesięcy. Też poświęcają mu większość wolnego czasu. I to z entuzjazmem. Teraz jednak przyszła pora, by zaanagażować się osobiście. Lub odstąpić od projektu.

— A czy wielce szanowny przewodniczący wie o sprawie? Morgan uśmiechnął się kwaśno.

— Oczywiście, że nie. Nic mu nie powiem, aż nie będę miał sprawy dopiętej na ostatni guzik.

— Chyba rozumiem złożoność sprawy — mruknął prezydent. — Przede wszystkim trzeba zapobiec sytuacji, w której nagle okaże się, że autorem tego genialnego pomysłu był niejaki senator Collins.

— Byłby to absurd, bo sam pomysł pojawił się dwieście lat temu, ale on i jemu podobni mogliby solidnie wszystko opóźnić. A ja chcę ujrzeć finał dzieła jeszcze w tym życiu.

— Nie wątpię, że chciałbyś pokierować pracami… No dobra, czego dokładnie od nas oczekujesz?

— Sugerowałbym jedno, panie prezydencie, chyba że wpadniecie na lepszy pomysł. Trzeba stworzyć konsorcjum, obejmujące na przykład zarząd Mostu Gibraltarskiego, zarządy kanałów Sueskiego i Panamskiego, Kompanię Kanału La Manche, korporację zarządzającą tamą w Cieśninie Beringa. Niech razem, pod jednym szyldem, wystąpią do TCC o zbadanie możliwości realizacji takiego przedsięwzięcia. Na tym etapie koszty będą niewielkie.

— Ile?

— Niecały milion. Szczególnie, że wykonałem już dziewięćdziesiąt dziewięć procent pracy.

— A potem? — Potem, z pana poparciem, panie prezydencie, zacznę pociągać za sznurki. Może pozostanę w TCC, może przejdę do konsorcjum. Można nazwać je na przykład Konsorcjum Astro-inżynieryjnym. Zależnie od okoliczności będę działał tak, by pomogło

to sprawie.

— Całkiem rozsądne podejście. Myślę, że możemy coś zrobić w tej materii.

— Dziękuję, panie prezydencie — odparł Morgan, szczerze wdzięczny. — Póki co jednak musimy jak najszybciej uporać się z pewną przeszkodą. Trzeba ją obejść lub pokonać zanim jeszcze zawiązane zostanie konsorcjum. Przyjdzie nam zwrócić się do Sądu Światowego, by objąć na własność najdroższą na całym globie działkę budowlaną.

20. Most który tańczył

Nawet w erze globalnej sieci informacyjnej i taniego transportu dobrze było mieć coś na kształt oficjalnego biura. Nie wszystko dawało się przechowywać pod postacią impulsów w pamięci komputera. Stare książki, dyplomy, nagrody i wyróżnienia, modele i makiety, próbki materiałowe, artystyczne wizje projektów (nie tak starannie dopracowane, jak te tworzone przez komputer, ale za to ładniejsze) wymagały chociaż skrawka podłogi, najlepiej pokrytej od ściany do ściany dywanem. Dywan przydawał się każdemu starszemu urzędnikowi (czy miłośnikowi struktur biurokratycznych) przy okazji różnych brutalnych spotkań z rzeczywistością.

Biuro Morgana, gdzie widziano go ledwie dziesięć dni w miesiącu, mieściło się na szóstym, „lądowym" piętrze centrali TCC w Nairobi. Poziom niżej zajmowano się konstrukcjami podmorskimi, jeszcze niżej okopała się administracja, czyli senator Collins i jego księstwo udzielne. Zgodnie z naiwną symboliką zaproponowaną przez architekta, najwyższe piętro oddano we władanie działowi kosmicznemu. Na dachu dobudowano nawet małe obserwatorium z trzydziestocentymetrowym teleskopem, wiecznie zresztą nieczynnym, jako że sala obserwatorium służyła głównie do przyjęć biurowych, kiedy to wykorzystywano ów kosztowny przyrząd do zupełnie nie astronomicznych celów. Najczęściej kierowano go na górne piętra odległego o kilometr Hotelu Trzech Planet. Można tam było dojrzeć różne ciekawe formy życia lub przynajmniej przykłady osobliwych zachowań społecznych.

Będąc w nieustannym kontakcie ze swymi dwiema sekretarkami, jedną żywą i jedną elektroniczną, wchodząc do biura po krótkim przelocie z PAR-u Morgan nie oczekiwał żadnych niespodzianek. Wedle standardów minionej epoki biuro było zresztą nadspodziewanie małe i liczyło niecałe trzy setki pracowników, mężczyzn i kobiet, jednak gromada ta dysponowała mocą obliczeniową mogącą zastąpić potencjał intelektualny mieszkańców całej planety.

— I jak poszło z szejkiem? — spytał Warren Kingsley, zastępca i wieloletni przyjaciel inżyniera, gdy tylko zostali sami.

— Całkiem dobrze. Chyba dobiliśmy targu. Wciąż jednak nie mogę uwierzyć, że tak głupia przeszkoda stanęła nam na drodze. Co mówią w dziale prawnym?

— Że należy stanowczo odwołać się do decyzji Sądu Światowego. Jeśli ten uzna, że chodzi o sprawę interesu ogółu ludzkości, wówczas nasi błogosławieni przyjaciele będą musieli się wynieść… Chociaż, jak się uprą, zacznie być paskudnie. Może pomógłbyś im podjąć właściwą decyzję… A gdyby tak małe trzęsionko ziemi?

Przynależność Morgana do rady Centrum Tektonicznego prowokowała czasem Kingsleya do różnych dowcipów. Wszakże CT nie dysponowało żadnymi sposobami, by wywołać trzęsienie ziemi, i może nawet tak było lepiej. Głównym zadaniem Centrum pozostawało przewidywanie takich zdarzeń, w miarę możliwości oczywiście, i zapobieganie im poprzez skanalizowanie nagromadzonej w skorupie ziemskiej energii tak, by jej rozładowanie nie czyniło większych szkód. Jednakżedotąd udawało się to jedynie w siedemdziesięciu pięciu procentach przypadków.

— Dobry pomysł — odparł Morgan. — Pomyślę nad tym. A co z resztą spraw?

— Wszystko gra i buczy. Co chcesz wiedzieć?

— Zacznijmy od tego, co idzie najgorzej.

Okna biura pociemniały i pośrodku pomieszczenia pojawił się jasny obraz.

— Popatrz tylko, Van. Z tym mamy pewne kłopoty.

W powietrzu zmaterializowały się rzędy liter i cyfr. Szybkości, ładunek, przyspieszenie, czas podróży… Morgan ogarnął to jednym spojrzeniem. Tuż nad dywanem unosiła się poznaczona liniami południków i równoleżników kula Ziemi. Biegła od niej jasna linia, na wysokości jakichś dwóch metrów łącząca się z gwiazdką stacji orbitalnej.

— Szybkość pięćset razy większa niż normalna. Współczynnik odchyłu równy pięćdziesiąt. I właśnie…

Jakaś niewidzialna siła zaczęła odchylać świetlistą nitkę od pionu. Zakłócenie sięgało coraz wyżej. To komputer odtwarzał na podstawie wyliczeń drogę przemieszczania się ładunku poza pole grawitacyjne Ziemi.

— Ile wynosi odchylenie?

— W tej chwili około dwustu metrów. Dojdzie do trzystu, aż…

Nitka pękła. Z pozorną powolnością (naprawdę chodziło o szybkości rzędu wielu tysięcy kilometrów na godzinę), dwa odcinki po obu stronach przerwy zaczęły zwijać się, cofać, oddalać. Jedna spadała na Ziemię, druga uciekała w przestrzeń. Morgan jednak nie spoglądał już na obraz istniejący tak naprawdę jedynie w pamięci komputera. Przed oczami miał wizję, która niczym zły sen nawiedzała go od lat.

Scenę tę widział na dwudziestowiecznym filmie. Odtwarzał go sobie z pięćdziesiąt razy, niektóre fragmenty analizując klatka po klatce. W końcu zapamiętał każdy szczegół. Ostatecznie było to najdroższe z nakręconych kiedykolwiek ujęć, przynajmniej gdy wziąć pod uwagę czasy pokoju. Stan Waszyngton zapłacił kilka milionów dolarów za każdą minutę zdjęciową.

Oto widać było smukły (nazbyt smukły!), piękny wręcz most

spinający brzegi przepaści. Na pustej jezdni stał tylko jeden samochód, porzucony pośrodku mostu przez kierowcę. Nic zresztą dziwnego, że kierowca uciekł, bowiem konstrukcja zachowywała się tak, jak żaden jeszcze most w historii inżynierii.

Wydawało się, że ważąca tysiące ton metalowa kratownica nie może wyginać się w ten sposób. O wiele łatwiej byłoby przyjąć, że most zrobiony jest z gumy. Jezdnia wiła się niczym wąż między podporami, odchylając się o całe metry od przewidzianego położenia. Wąwóz był głęboki, wiał nad nim silny wiatr, chociaż wibracje stwarzane przez masy powietrza uderza — jące w piękną, skazaną na zagładę konstrukcję, były dla ludzkiego ucha niesłyszalne. Niemniej amplituda tych drgań narastała z wolna, aż dały znać o sobie w widomy sposób. Ostatnie śmiertelne drgawki były finałem zjawiska, które pechowi inżynierowie winni jednak przewidzieć.

Nagle liny podtrzymujące konstrukcję pękły, wzlatując morderczym łukiem wysoko w górę. Skręcając się i łamiąc, jezdnia runęła do rzeki. Kawałki stali rozleciały się na różne strony. Nawet odtwarzany w normalnym tempie, fragment ten wyglądał jak sztucznie spowolniony. Ludzki umysł nie potrafił ogarnąć całej katastrofy, brakowało mu skali porównawczej. W rzeczywistości całe zdarzenie trwało ledwie pięć sekund. Po ich upływie most portu Tacoma zajął stosowne miejsce w historii dokonań inżynierskich. Dwieście lat później Morgan zawiesił na ścianie swego biura zdjęcie ukazujące ostatnie chwile konstrukcji. Pod obrazkiem widniał dopisek: „Jedno z naszych niezupełnie udanych dzieł".

Morgan nie uznawał tego za żart, ale swoiste *memento,* że zawsze jakieś nieprzewidziane licho może zaatakować z zasadzki. Projektując Most Gibraltarski uważnie przestudiował klasyczną już analizę katastrofy mostu w Tacomie, dzieło stworzone przez von Karmana. Starał się wyciągnąć jak najwięcej wniosków z najkosztowniejszych błędów przeszłości. Skutkiem tego nawet największe wichury znad Atlantyku nie wywoływały większych drgań sktruktury, chociaż jezdnia odchylała się wówczas o sto metrów od linii prostej — zgodnie zresztą z przewidywaniami.

Wszakże wyciąg kosmiczny był czymś tak nowatorskim, że pojawienie się niemiłych niespodzianek należało uznać za pewnik. Łatwo było ocenić siłę i wpływ wiatrów wiejących w niższych partiach atmosfery, pozostawała jednak sprawa drgań wywoływanych wyhamowywaniem i rozpędzaniem ładunków, trzeba też było, wobec ogromu konstrukcji, brać pod uwagę efekty pływowe, czyli przyciąganie Słońca i Księżyca. Na dodatek wszystkie te oddziaływania miały dać o sobie znać równocześnie. Na koniec pozostawało pamiętać o możliwych wszakże od czasu do czasu trzęsieniach ziemi. Na tym polegała analiza warunków ekstremalnych,

czyli wizja „najgorszej prawdopodobnej katastrofy”. — Wszystkie symulacje przy tej konfiguracji masy i prędkości dają ten sam wynik. Wibracje narastają, aż przy wartości pięciuset kilometrów struktura zaczyna pękać. Musimy zdecydowanie poprawić tłumienie.

— Tego się balem. Ile przyjdzie dodać?

— Jeszcze dziesięć megaton.

Morgan z ponurą satysfakcją odnotował, że posługując się wyłącznie właściwą dobrym inżynierom intuicją trafnie oszacował masę. Komputer rzecz potwierdził — przyjdzie zwiększyć masę kosmicznej „kotwicy” o dziesięć milionów ton.

Nawet w kategoriach orbitalnych była to poważna masa, równowartość skały o średnicy dwustu metrów. Morgan wyobraził sobie nagle Yakkagalę unoszącą się na niebie nad Taprobane. Wydźwignąć taki ogrom czterdzieści tysięcy kilometrów w górę! Szczęśliwie nie było to konieczne, istniały przynajmniej dwa alternatywne rozwiązania.

Morgan zawsze zachęcał podwładnych do samodzielnego myślenia, dzięki temu znali ciężar odpowiedzialności i nie zrzucali wszystkiego na barki szefa. Nierzadko wpadali też na pomysły, które Morganowi nie przyszły do głowy.

— Co proponujesz, Warren? — spytał cicho.

— Moglibyśmy wykorzystać którąś z księżycowych wyrzutni i wystrzelić po prostu dziesięć megaton tamtejszej skały. Wyjście kosztowne i czasochłonne. Potrzebowalibyśmy jeszcze wielkiej stacji kosmicznej wyłapującej materiał i ustawiającej ładunki na właściwej orbicie. Musielibyśmy też liczyć się z protestami opinii publicznej…

— Tak, rozumiem. Nikt nie chce nowego San Luiz Domingo…

San Luiz była to niewielka (szczęśliwie niewielka) południowoamerykańska wioska, która miała pecha odebrać ładunek wytworzonego na Księżycu metalu. Sterowanie zawiodło i miast wejść na orbitę, kontener wybił w powierzchni Ziemi pierwszy krater meteorytowy, za którego powstanie odpowiedzialność ponosił człowiek. Katastrofa pociągnęła za sobą sto pięćdziesiąt ofiar śmiertelnych. Od tamtej pory mieszkańcy planety Ziemia stali się nader wyczułem na podobne sytuacje i niechętnie udostępniali swoją planetę jako cel przy jakichkolwiek ostrych strzelaniach w Układzie Słonecznym. — Łatwiej jednak byłoby przechwycić asteroid. Szukamy już takiego, który krążyłby po stosownej orbicie. Jak dotąd znaleźliśmy trzech obiecujących kandydatów. Powinien to być asteroid z dużą zawartością węgla, wówczas moglibyśmy wykorzystać go również jako źródło kopalin, gdy ruszą zakłady orbitalne. Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

— Tak, to chyba będzie najlepszy pomysł. Wyrzutnie księżycowe nie wchodzą w grę, takie zadanie zablokowałoby je na wiele lat.

Musiałyby wystrzelić milion dziesięciotonowych ładunków, a parę pojemników i tak na pewno zboczyłoby z trasy. Jeśli nie uda nam się znaleźć dość dużego asteroidu, zawsze będziemy mogli uzupełnić masę do koniecznej wartości przesyłając ładunki z Ziemi wyciągiem, chociaż wzdragam się przed każdym wydatkiem energii ponad niezbędną konieczność.

— Ale tak byłoby najtaniej. Przy wydajności najnowszych elektrowni wyniesie to jedynie dwadzieścia dolarów za tonę.

— Pewien jesteś?

— Wykorzystałem oficjalne dane z raportu Centrum Mocy o elektrowniach atomowych z reaktorami fuzyjnymi.

Morgan umilkł na kilka chwil.

— Ci od statków atmosferycznych chyba naprawdę mnie znienawidzą. — W równym stopniu jak czcigodny Parakarma, dodał w myślach.

Chociaż nie, w tym ostatnim przypadku nie wypadało mówić o nienawiści. Doktryna buddystów nie sprzyjała podobnym odczuciom. W oczach eks-doktora Choama Goldberga nie było zawziętości, co nie czyniło go jednak wcale mniej groźnym przeciwnikiem.

21. Sąd

Jedną z charakterystycznych cech profesora Saratha była skłonność do wydzwaniania o różnych porach (i w rozmaitym nastroju) i zaczynania rozmowy od sakramentalnego: „Słyszałeś już?”. Rajasinghe często miał ochotę odwarknąć po prostu: „Tak, i wcale mnie to nie zaskoczyło”, ale nigdy nie miał serca robić Paulowi takiej przykrości.

— Co tym razem? — spytał zatem, bez większego zresztą entuzjazmu.

— Zerknij na Drugi Globalny. Maxine rozmawia z senatorem Collinsem. Morgan chyba ma kłopoty. Potem jeszcze do ciebie zadzwonię.

Podobizna podekscytowanego Paula zniknęła z ekranu. W kilka sekund później pojawiła się tam Maxine Duval, gdy Rajasinghe włączył najpopularniejszy na Ziemi kanał informacyjny. Siedziała w znajomym otoczeniu studia i rozmawiała z dyrektorem Terran Construction Corporation, który każdym gestem starał się wyrazić możliwie głęboki dyzgust, najpewniej zresztą udawany.

— Senatorze Collins, teraz, gdy Sąd Światowy wydał już… Rajasinghe włączył funkcję nagrywania i mruknął:

— Myślałem, że nie dojdzie do tego przed piątkiem… — Po czym wyłączył dźwięk i uaktywnił prywatną linię z Arystotelesem. — Mój Boże, już jest piątek! — wykrzyknął.

Arystoteles nie kazał na siebie czekać.

— Dzień dobry, Raja. Czym mogę służyć?

Piękny, chociaż wyprany z emocji głos nie zmienił się ani o jotę od czterdziestu lat, czyli od czasu gdy Rajasinghe usłyszał go po raz pierwszy. Słowa te nie dobywały się z ludzkiej krtani i będą jeszcze brzmieć tak samo przez dekady, a może i stulecia po śmierci Rajasinghego (a swoją drogą, ile właściwie rozmów prowadził Arystoteles w tej chwili?). Niegdyś ambasador czuł się przytłoczony zasobami wiedzy komputera, potem przestał się tym przejmować. Nie zazdrościł Arystotelesowi nieśmiertelności.

— Dzień dobry, Ari. Daj raport z dzisiejszego posiedzenia Sądu Światowego w sprawie Korporacja Astroinżynieryjna przeciw Sri Kanda Vihara. Tylko podsumowanie, wydruk później.

— Postanowienie pierwsze. Prawo do dzierżawy terenu świątyni zostało potwierdzone jako zgodne z prawami Taprobane i prawa światowego, wedle kodyfikacji z roku 2085. Wynik głosowania jednomyślny.

Postanowienie drugie. Konstrukcja proponowanej wieży orbitalnej powodowałaby hałas, wibracje i wstrząsy mogące zagrozić

zabytkowi o wielkiej wartości historycznej i kulturalnej. Sytuacja taka może spowodować tzw. uciążliwe sąsiedztwo, zgodnie z prawem o powodowaniu szkód. Wobec tego publiczny interes nie może zostać uznany za nadrzędny. Głosowanie 4 do 2, jeden wstrzymujący się.

— Dziękuję, Ari, skasuj zamówienie wydruku, nie będzie mi potrzebny. Do widzenia.

Stało się tak, jak Sarath oczekiwał. Jednak profesor nie wiedział, czy ma odczuwać żal, czy raczej ulgę.

Mocno związany z przeszłością, cieszył się z uszanowania tradycji, tego wszystkiego, co sam ukochał i chronił. Jeśli historia ludzkości uczyła czegokolwiek, to tylko jednego — że w ostatecznym rozrachunku najważniejsze okazywało się zawsze życie jednostek, nawet tych ekscentrycznych. Każdy miał prawo do życia i do własnego zdania, przynajmniej jak długo nie zagrażał szerszym, równie uprawnionym interesom zbiorowości. Jak powiedział pewien dawny poeta? „Nie ma czegoś takiego, jak interes stanu". Interes stanu, interes państwa… Może posunął się troszkę za daleko, ale i tak jego postawa była łatwiejsza do zaakceptowania, niż przeciwna skrajność. Równocześnie Rajasinghe czuł coś na kształt rozczarowania. Był już na pół przekonany (może godząc się tylko z nieuniknionym), że fantastyczne przedsiewzięcie Morgana uchroni Taprobane(amoże i cały świat, chociaż to już sprawa przyszłych pokoleń) przed wywołanym samozadowoleniemi wszelkimi wygodami zgnuśnieniem i degeneracją. A teraz sąd zamknął tę drogę na szereg lat.

Zaciekawił się, co Marinę miała do powiedzenia w tej materii, i włączył odtwarzanie (nie przerywając jednoczesnego nagrywania dalszej części audycji) programu Global Two (kanału określanego czasem jako rezerwat gadających głów, jako że analizy wydarzeń zajmowały tu zawsze sporo czasu antenowego). Senator Collins dopiero nabierał rozpędu.

— …niewątpliwie nadużywając przy tym swego autorytetu i wykorzystując moce swego zespołu do prac nad projektem, który nie podlega jego działowi…

— Ależ senatorze, czy nie ujawnia się pan jako zbytni legalista? O ile rozumiem, superwłókna zostały wytworzone właśnie dla celów konstrukcji budowlanych, szczególnie mostowych. A czy to nie jest jednak pewien rodzaj mostu? Słyszałam, że doktor Morgan posłużył się tą analogią, chociaż czasem nazywał tę konstrukcję również wieżą.

— Tefaz pani popada w legalizm, Maxine. Osobiście preferuję nazwę „kosmiczna winda". Co do superwłókien jest pani w błędzie. To kryształy będące wynikiem dwustu lat badań z zastosowaniem techniki kosmicznej. Fakt, że pierwszy sięgnął po nie dział budownictwa lądowego zarządzanej przeze mnie organizacji nie ma nic do *rzeczy,* chociaż przyznaję, iż naturalnie jestem dumny, że to

moi naukowcy zajęli się sprawą.

— Uważa pan, że cały projekt powinien zostać przekazany działowi konstrukcji kosmicznych?

— Jaki projekt? To tylko szkic, jeden z setek, które co miesiąc opracowuje się w TCC. O większości z nich nigdy się nawet nie dowiaduję i wcale nie chcę o nich wiedzieć. Przynajmniej do chwili, gdy dojrzeją na tyle, by można było zacząć podejmować wiążące decyzje.

— Które w tym przypadku nie zapadną?

— Żadną miarą. Moi eksperci od transportu kosmicznego jednoznacznie orzekli, że potrafią poradzić sobie ze wzrostem ruchu orbitalnego, przynajmniej w przewidywalnej przyszłości. — Jaki to okres?

— Najbliższe dwadzieścia lat.

— A potem? Budowa wieży potrwa dość długo, tak twierdzi doktor Morgan. Przypuśćmy, że nie uda sięjej ukończyć na czas?

— Wówczas wymyślimy coś innego. Mój personel zajmuje się wszystkimi wariantami i nie uważamy, by winda kosmiczna była właściwym rozwiązaniem.

— Niemniej sama idea takiego wyciągu jest sensowna?

— Wydaje się taka, ale żeby na to pytanie odpowiedzieć, potrzebne będą dalsze prace badawcze.

— Zatem jest pan niewątpliwie wdzięczny doktorowi Morganowi, że już teraz je rozpoczął.

— Bardzo szanuję doktora Morgana. To jeden z najlepszych inżynierów mojej firmy. O ile nie jeden z najlepszych na świecie.

— Mam wrażenie, senatorze, że nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Dobrze, zatem jestem wdzięczny doktorowi Morganowi za skierowanie naszej uwagi na ten problem. Ale nie aprobuję sposobu, w jaki to zrobił. Otwarcie mówiąc, pozbawił mnie jakiejkowiek swobody ruchów.

— W jaki sposób?

— Wychodząc poza nasze struktury, poza struktury jego pracodawcy, i wykazując się w ten sposób nielojalnością. Skutkiem jego manipulacji sprawa trafiła do Sądu Światowego, który odrzucił powództwo, a to wywołało dalsze, nieprzychylne komentarze. W tych okolicznościach nie mam innego wyboru, jak poprosić doktora Morgana, chociaż czynię to z najgłębszym żalem, o złożenie rezygnacji.

— Dziękuję, senatorze Collins. Jak zawsze, miło mi było z panem porozmawiać.

— Ty słodziutka kłamczucho — mruknął Rajasinghe, wyłączając odbiornik i odbierając wideofon, który już od kilku minut nachalnie

mrugał czerwonym światełkiem.

— Słyszałeś wszystko? — spytał profesor Sarath. — Tak zatem koniec z doktorem Vannevarem Morganem.

Rajasinghe przez kilka sekund przyglądał się obrazowi starego przyjaciela.

— Zawsze pospiesznie wysnuwasz wnioski, Paul. Założymy się?

CZĘŚĆ TRZECIA
Dzwon

Doprowadzony do rozpaczy bezowocnymi próbami zrozumienia wszechświata, mędrzec Devadasa ogłosił wzburzonym tonem:

WSZYSTKIE ZDANIA ZAWIERAJĄCE SŁOWO BÓG SĄ FAŁSZYWE.

Natychmiast jego najmniej ukochany uczeń, Somarisi, odparł:

— Zdanie, które właśnie wygłaszasz, zawiera słowo Bóg. Nie dostrzegam jednak, szlachetny mistrzu, w jaki sposób tak proste zdanie może zawierać fałsz.

Devadasa rozważył sprawę i minęła niejedna poya, aż z wyraźną satysfakcją stwierdził:

TYLKO ZDANIA NIE ZAWIERAJĄCE SŁOWA BÓG MOGĄ BYĆ PRAWDZIWE.

Ledwo minęła chwila dość długa, by głodna mangusta połknęła ziarno prosa, Somarisi znów się odezwał:

— Jeśli zawarte w tym zdaniu twierdzenie ma się odnosić i do owego zdania, o czcigodny, to nie może być ono prawdziwe, zawiera bowiem słowo Bóg. Ale jeśli nie jest prawdziwe… W tym miejscu urwał, gdyż Devadasa rozbił na jego głowie swą miseczkę żebraczą, przez co należy uważać go za prawdziwego wynalazcę filozofii zeń.

(Nie odnaleziony do tej pory fragment Caluvamsy)

22. Apostata

Późnym popołudniem, kiedy palące promienie słońca przestały zalewać blaskiem długie schody, czcigodny Parakarma ruszył w drogę. O zachodzie powinien dotrzeć do najwyżej położonego ze schronisk dla pielgrzymów, następnego dnia schodząc na sam dół, z powrotem do świata ludzi.

Maha Thero pożegnał go nie dając żadnych rad, nie próbował też odwodzić kolegi, a jeśli żałował, że ten odchodzi, to w żaden sposób tego po sobie nie pokazał. Powiedział jedynie: „Wszystko jest tak nietrwałe", złączył dłonie i udzielił błogosławieństwa.

Czcigodny Parakarma czyli doktor Choam Goldberg (niegdyś i być może znowu) niezbyt potrafił wyjaśnić, jakie właściwie motywy nim kierowały. Łatwo było powiedzieć „bo tak trzeba", trudniej ustalić, czemu trzeba i czemu właśnie tak.

Świątynia Sri Kandy dała mu spokój, spokój myśli. Ale to nie było dosyć. W głębi duszy był jednak naukowcem i trudno mu przychodziło zaakceptować właściwy regule zakonu fatalistyczny stosunek do boskich wyroków. Ostatecznie uznał, że taki bezwład gorszy jest od otwartego wyparcia się wiary.

O ile istnieje coś takiego, jak „gen rabiniczny", to doktor Goldberg go posiadał. Jak wielu przed nim, Goldberg-Parakarma poszukiwał Boga w matematyce i nie zraziła go nawet bomba rzucona na początku dwudziestego stulecia przez Kurta Gódela, odkrywcę istnienia twierdzenia o niezupełności systemów formalnych. Nie rozumiał, jak ktokolwiek może kontemplować wzór Eulera tyczący dynamicznej asymetrii, piękny skądinąd w swej prostocie:

$$e^{\Pi i} + 1 = 0$$

bez refleksji i zadumy nad kwestią, czy wszechświat nie jest tworem jakiejś wyższej inteligencji. Zyskawszy sławę i nazwisko dzięki ogłoszeniu nowej teorii kosmogonicznej, która aż dziesięć lat czekała na obalenie, Goldberg został powszechnie uznany za nowego Einsteina czy N'goyę. W epoce super wąskiej specjalizacji zdołał również przyczynić się do rozwoju aero — i hydrodynamiki uznawanych z dawna za dziedziny zamknięte, które nie kryją już żadnych tajemnic.

Potem, u szczytu kariery i możliwości twórczych, doznał nawrócenia religijnego. Trochę podobnie jak Pascal, chociaż nie

towarzyszyły temu aż tak silne stany chorobowe. Następne dziesięć lat spędził pod ochroną anonimowej żółtej szaty, w całości poświęcając myśli kwestiom doktryny i filozofii. Nie żałował tego czasu, nie miał nawet pewności, czy naprawdę odchodzi z zakonu. Może któregoś dnia znów pojawi się na tych schodach. Jednak na razie otrzymane w darze od Boga zdolności domagały się swoich praw, domagały się wykorzystania. Czekała go wielka praca, a w Sri Kandzie nie było narzędzi koniecznych do jej wykonania. Prawdą mówiąc, nie było ich nigdzie na Ziemi.

Postać Vannevara Morgana budziła w nim teraz niejaką niechęć. Mimowolnie inżynier rzucił tę pierwszą iskrę, cóż, na swój sposób on też był narzędziem Boga. Jednak świątynię należy chronić, i to za wszelką cenę. Była to osobista opinia Parakarmy, zupełnie niezależna od wszelkich wyroków losu i nauki godzenia się z nimi, wpajanej w zakonie.

Tak zatem, niby nowy Mojżesz niosący ze szczytu góry prawa mające zmienić życie człowieka, czcigodny Parakarma wracał do świata, który niegdyś porzucił. Szedł ślepy na piękno nieba i ziemi. To były cuda trywialne, nazbyt codzienne wobec jego wizji. Wizji całych armii równań matematycznych. O niczym innym nie myślał.

23. Kosmiczny buldożer

— Pański kłopot, doktorze Morgan — powiedział mężczyzna siedzący w wózku inwalidzkim — polega na tym, że wybrał pan niewłaściwą planetę.

— Obawiam się, że mniej więcej to samo można powiedzieć o panu — zaznaczył Morgan, spoglądając na cały system podtrzymywania życia towarzyszący gościowi.

Wiceprezydent (inwestycje) przedsiębiorstwa znanego jako Narodny Mars zachichotał ze zrozumieniem.

— Przyleciałem tylko na kilka tygodni, potem wracam na Księżyc, tam mają normalniejszą grawitację. Owszem, jakbym się uparł, to mógłbym nawet chodzić, ale niechętnie.

— Czy mogę zatem spytać, po co w ogóle zjawił się pan na Ziemi?

— Robię to jak najrzadziej, ale czasem trzeba. Wbrew powszechnemu przekonaniu, nie wszystko da się załatwić przez telefon. Pewien jestem, że pan o tym wie.

Morgan przytaknął, to była prawda. Przypomniał sobie, ile razy zapach dżungli, chłód kropel morskiej wody czy chropawość skały wywarły wpływ na kształt jego projektów. Zapewne któregoś dnia możliwym będzie przetworzenie i tych wrażeń na elektroniczne ciągi bitów, ale na razie wyniki prób pozostawiały wiele do życzenia, były też upiornie kosztowne. Morgan wolał unikać podobnych substytutów, dla niego istniała tylko jedna rzeczywistość. — Jeśli przyjechał pan tu specjalnie po to, by się ze mną spotkać, czuję się zaszczycony. Jednak jeśli chce mi pan zaproponować pracę na Marsie, to marnuje pan czas. Podoba mi się perspektywa zostania emerytem. Wreszcie będę mógł spotkać się z krewnymi i przyj aciółmi, których nie widziałem od lat. Nie kusi mnie nowa kariera.

— Trochę mnie to dziwi, ostatecznie ma pan dopiero pięćdziesiąt dwa lata. A co właściwie będzie pan robił?

— Zażywał spokoju. Mogę wybrać sobie jakiś projekt, by zajmować się nim przez resztę życia. Zawsze fascynowała mnie antyczna inżynieria, dokonania Rzymian, Greków, Inków, a nigdy nie miałem dość czasu, by dokładnie rzecz przestudiować. Proszono mnie też, bym przygotował dla Uniwersytetu Globalnego serię wykładów dotyczących zasad projektowania. Mam napisać książkę o konstrukcjach złożonych. Chcę rozwinąć pomysły tyczące zastosowania aktywnych elementów w korygowaniu ruchów wielkich mas, czyli zapobieganiu trzęsieniom ziemi, wichurom i tak dalej. Poza tym wciąż jestem konsultantem Centrum Tektonicznego. Przygotowuję też raport dla działu zarządzania TCC.

— Na czyją prośbę? Rozumiem, że nie na prośbę senatora

Collinsa?

— Nie — powiedział Morgan, uśmiechając się kwaśno. — Pomyślałem, że coś takiego może się przydać. Trochę też sobie ulżę w ten sposób.

— To na pewno. Ale nic z tego, co pan wymienił, nie jest działalnością prawdziwie twórczą. W końcu sprzykrzy się to panu, tak jak ten piękny, ale monotonny norweski krajobraz. Ile można patrzeć na drzewa i jeziora… Tak samo znuży pana pisanie i wygłaszanie wykładów. Jest pan człowiekiem, który nigdy nie czuje się do końca szczęśliwy, doktorze Morgan, jeśii nie może kształtować swego otoczenia.

Morgan nie odpowiedział. To nie była optymistyczna przepowiednia.

— Chyba się pan ze mną zgodzi. A co by pan powiedział na informację, że mój bank jest poważnie zainteresowany projektem windy kosmicznej?

— Podszedłbym do tej informacji raczej sceptycznie. Gdy z nimi rozmawiałem, uznali pomysł za ciekawy, ale nie zade — klarowali żadnego wkładu finansowego na tym etapie. Wszystkie dostępne fundusze przeznaczane są na rozwój Marsa. Stara śpiewka, pomożemy ci, gdy już nie będziesz potrzebował pomocy.

— Tak było rok temu. Mieli trochę czasu do namysłu. Chcemy zbudować windę kosmiczną, ale nie na Ziemi. Na Marsie. Interesuje to pana?

— Być może. Proszę mówić dalej.

— Na Marsie będzie to łatwiejsze. Ciążenie o dwie trzecie mniejsze, tak zatem mniejsza energochłonność. Orbita synchroniczna leży o wiele niżej, ponad połowę niżej. Tak zatem z miejsca znika spora część problemów technicznych. Nasi fachowcy oceniają, że marsjańska wieża kosztowałaby ledwie jedną dziesiątą tego, co wznoszona na Ziemi.

— To całkiem możliwe, chociaż musiałbym jeszcze wszystko policzyć.

— A to tylko początek. Mimo rzadkiej atmosfery, zdarzają się na Marsie naprawdę silne wichury, jednak szczyty gór pozostają ponad nimi. Pańska Sri Kanda ma pięć kilometrów, a nasza Mons Pavonis — dwadzieścia jeden kilometrów, na dodatek leży dokładnie na równiku! Co więcej, na Marsie nie ma mnichów wymachujących wieczystym prawem dzierżawy wierzchołka… Jest jeszcze jeden powód, dla którego taki wyciąg powinien powstać właśnie na Marsie. Deimos krąży ledwie trzy tysiące kilometrów powyżej orbity stacjonarnej, tak zatem kilka milionów megaton skały czeka już na wykorzystanie. Będzie z czego zrobić kotwicę.

— Stworzy to trochę problemów z synchronizacją orbit, ale

rozumiem, co pan chce powiedzieć. Chciałbym spotkać ekipę, która to przygotowała.

— W czasie rzeczywistym to się nie da. Są na Marsie. Będzie musiał pan tam polecieć.

— Kuszący pomysł, ale mam jeszcze kilka pytań.

— Słucham.

— Ziemi taka winda jest koniecznie potrzebna, bez wątpienia sam wie pan dobrze dlaczego. Wydaje mi się jednak, że Mars może poradzić sobie bez takiego urządzenia. Wasz ruch orbitalny to ledwie ułamek ziemskiego, mniejszy jest też jego przewidywany wzrost. Szczerze mówiąc, taka inwestycja nie ma dla mnie większego sensu. — Ciekaw byłem, kiedy pan o to spyta.

— Cóż, pytam teraz.

— Słyszał pan o projekcie Eos?

— Chyba nie.

— Eos to greckie określenie świtu. To plan odmłodzenia Marsa.

— A tak, o tym słyszałem. Zamierzacie stopić czapy polarne?

— Właśnie. Jeśli uda nam się wyzwolić zawartą tam wodę i dwutlenek węgla, zdarzy się kilka rzeczy na raz. Ciśnienie atmosferyczne wzrośnie na tyle, że ludzie będą mogli pracować poza budynkami bez skafandrów, z czasem powietrze powinno nadawać się nawet do oddychania. Pojawią się strumienie i rzeki, niewielkie morza, a przede wszystkim roślinność, zaczątek starannie zaplanowanej biosfery. Za kilka stuleci Mars zacznie przypominać ogrody Edenu. To jedyna planeta w Układzie Słonecznym, którą możemy przekształcić, korzystając z dostępnych dziś technologii. Wenus jeszcze długo będzie za gorąca.

— A co ma z tym wspólnego wyciąg?

— Musimy wynieść na orbitę kilka milionów ton sprzętu. Praktycznie jedyny sposób, by ogrzać Marsa, to wykorzystać zwierciadła skupiające promienie słoneczne. Każde będzie musiało mieć kilkaset kilometrów średnicy i potrzebne będą nieustannie, najpierw do podgrzania czap lodowych, potem by utrzymać stałą temperaturę.

— A nie da się wykorzystać materiału z kopalń na asteroidach?

— Po części to i owszem, ale najlepszym materiałem do budowy samych zwierciadeł jest sód, w przestrzeni raczej rzadki. My mamy go pod dostatkiem ze złóż soli w Tharsis, szczęśliwie dokładnie u stóp góry Pavonis.

— Ile to wszystko potrwa?

— Jeśli nie pojawią się żadne dodatkowe problemy, to pierwszy etap prac dobiegnie końca za pięćdziesiąt lat. Może akurat na pańskie setne urodziny. Wedle obecnych statystyk ma pan zatem trzydzieści pięć procent szans ujrzenia naszego dzieła.

Morgan roześmiał się.

— Podziwiam ludzi, którzy tak przykładają się do pracy badawczej. — Nie przetrwalibyśmy na Marsie, gdyby nie troska o szczegóły.

— Cóż, jestem pod wrażeniem, chociaż nie czuję się jeszcze przekonany. Na przykład finansowanie…

— To już moja działka, doktorze Morgan. Jestem bankierem. Pan inżynierem.

— Racja, ale zdaje się pan wiedzieć niejedno także o robocie inżyniera, ja zaś nie raz i nie dwa otarłem się o ekonomię. Zwykle były to mało sympatyczne spotkania. Zanim nawet rozważę na serio pomysł zaangażowania się w podobny projekt, będę chciał poznać dokładnie i budżet, i jego słabe strony…

— Otrzyma pan to.

— …a to jedynie na początek. Nie wiem, czy orientuje się pan, ale przed nami są jeszcze rozległe badania obejmujące kilka dziedzin… masowa produkcja superwłókien, problemy kontroli i stabilności systemu… Całą noc mógłbym tak wymieniać.

— To nie będzie konieczne. Nasi inżynierowie czytali wszystkie pańskie prace. Proponują eksperyment na małą skalę, który pozwoliłby rozwiązać wiele problemów technicznych i dowieść, że sama idea jest słuszna…

— Co do tego nie ma wątpliwości.

— Owszem, ale to zdumiewające, ile może uczynić mała demonstracja. I to byłoby zadanie dla pana. Zaprojektować maksymalnie pomniejszoną instalację, zwykły drut o nośności paru kilogramów, który opuści się z orbity synchronicznej Ziemi. Tak, Ziemi, bo jeśli rzecz zadziała tutaj, to tym łatwiej pójdzie na Marsie. Potem opuścimy jakiś ładunek, dowodząc przestarzałości rakiet. Taki eksperyment będzie względnie tani, ale dostarczy wielu danych i da niejaką wprawę. No i, z naszego punktu widzenia, pozwoli zaoszczędzić wielu lat dyskusji i sporów. Będziemy mogli zwrócić się do Rządu Ziemi, do Fundacji Układu Słonecznego i innych banków międzyplanetarnych, a wszystko z powoływaniem się na demonstrację.

— Naprawdę przemyśleliście sprawę. Kiedy chce pan uzyskać ode mnie odpowiedź?

— Najchętniej za jakieś pięć sekund. Ale, oczywiście, w takiej sprawie pośpiech nie jest wskazany. Ma pan tyle czasu, ile uzna za stosowne. W granicach rozsądku, oczywiście. — Dobrze zatem, proszę przekazać mi szkice projektu, analizy kosztów i wszystko, co tylko pan ma. Zapoznam się z nimi i najpóźniej za tydzień podejmę decyzję.

— Dziękuję. Oto mój numer. Zastanie mnie pan o każdej porze.

Morgan wsunął kartę bankiera do słota komputera i sprawdził,

czy informacja została zapisana. Zanim jeszcze oddał kawałek plastiku, podjął już decyzję.

O ile w rozumowaniu marsjańskich inżynierów nie było jakiegoś zasadniczego błędu (a był gotów sądzić, że wszystko jest w porządku), to emerytura miała dobiec szybkiego końca. Morgan już nie raz zauważał, że chociaż podejmowanie codziennych, trywialnych decyzji przychodziło mu z trudem, to sprawy życiowe rozstrzygał błyskawicznie. Zawsze wiedział wtedy, co czynić i rzadko się mylił.

Jednak na tym etapie nie należało angażować się jeszcze zbytnio w sprawę, tak profesjonalnie jak i emocjonalnie. Bankier wyjechał z pokoju, rozpoczynając tym samym długą drogę do portu kosmicznego na Morzu Spokoju (tranzytem przez Oslo i kosmodrom Gagarina), Morgan tymczasem chodził z kąta w kąt, nie mogąc skupić się na żadnej spośród planowanych na ten długi, podbiegunowy wieczór spraw. W jego głowie panował zamęt, przed oczami migały rozmaite wizje tak odmienionej nagle przyszłości.

Po kilku minutach krążenia przysiadł wreszcie przy biurku i zaczął spisywać w punktach kolejne kroki, zaczynając od najmniej istotnych i najłatwiejszych. Jednak nie wytrwał długo w skupieniu nad tak prostą, rutynową czynnością. Coś go niepokoiło, dobijało się nachalnie z głębin podświadomości, ale ilekroć spróbował uchwycić ową myśl, ta umykała niczym zapomniane chwilowo wyrażenie.

Z westchnieniem frustracji Morgan wstał od biurka i wyszedł na werandę biegnącą wzdłuż zachodniej ściany hotelu. Było bardzo chłodno, ale bezwietrznie i mróz nie kąsał zbyt dotkliwie, raczej mile odświeżał. Na niebie migotały roje gwiazd, żółty półksiężyc spływał coraz niżej ku swemu odbiciu w hebanowej wodzie czarnego i nieruchomego fiordu.

Trzydzieści lat temu stał w tym samym miejscu z dziewczyną, której wygląd już niemal zupełnie zatarł mu się w pamięci. Oboje świętowali właśnie zdanie egzaminu dyplomowego i w zasadzie nic więcej ich nie łączyło, żaden poważny romans, byli młodzi, cieszyli się nawzajem swoim towarzystwem i to im wystarczało. Jednak to drobne wspomnienie przywołało inny jeszcze obraz: fiord Trollshavn, najważniejszy moment jego życia. Czy dwudziestodwuletni student mógł przewidzieć, że wróci jeszcze po trzech dekadach do tego miło kojarzącego się miejsca?

Morgana ogarnęła lekka nostalgia, nieco rozczulił się nad sobą, przede wszystkim jednak rozbawił go ten przypływ osobliwych emocji. Nigdy, ani przez chwilę nie żałował, że rozstał się z Ingrid. Rozeszli się w przyjaźni i w głowach im nawet nie postało, by spróbować zawrzeć standardowy, jednoroczny kontrakt. Ona unieszczęśliwiła potem umiarkowanie trzech różnych mężczyzn, aż w końcu znalazła pracę w Komisji Księżycowej i Morgan stracił

dziewczynę z oczu. Może była w tej chwili gdzieś na tym lśniącym sierpie, niemal równie złocistym jak jej włosy.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o czas miniony. Morgan pomyślał o przyszłości. Gdzie Mars? Ze wstydem musiał przyznać, że nie wie nawet, czy czerwona planeta jest tej nocy widoczna na niebie. Przebiegając spojrzeniem po pasie ekliptyki, od Księżyca przez jasne światełko Wenusi jeszcze dalej, nie dostrzegł niczego mogącego przypominać Marsa. To ciekawe, on, który jeszcze nigdy nie oddalił się poza orbitę Księżyca, poleci już niedługo i na własne oczy ujrzy te cudowne karmazynowe wydmy, nad którymi od czasu do czasu przebiegają bystro dwa księżyce.

W tejże chwili marzenie prysło. Przez chwilę Morgan stał jak sparaliżowany, potem wycofał się do hotelu. Zapomniał zupełnie o urokach nocy.

W jego pokoju nie było komputera z pełnym wyposażeniem i Morgan musiał zadzwonić do recepcji by mu takowy udostępniono. Niestety, korzystała akurat z niego pewna starsza pani, mająca chyba kłopoty z poruszaniem się po sieci. Morganowi przyszło czekać tak długo, że w końcu bliski był załomotania w drzwi kabiny. Ostatecznie staruszka wyszła, wymamrotała coś tytułem przeprosin, i Morgan zasiadł przed skarbnicą całej wiedzy i sztuki gatunku ludzkiego. W czasach studiów zdarzyło się Morganowi wygrać kilka prostych konkursów polegających na „odkopywaniu" na czas różnych osobliwych informacji lub sporządzaniu wymyślnych list danych (jednym z najciekawszych pytań, na które zdołał znaleźć odpowiedź, było: „Jaki opad deszczu zanotowano w stolicy najmniejszego państwa świata w dniu, kiedy padł drugi z kolei rekord ilości obiegnięć wszystkich baz podczas rozgrywek uczelnianej ligi baseballa?"). Z latami coraz łatwiej operował systemem, a tym razem chciał mu zadać stosunkowo proste pytanie. Odpowiedź pojawiła się po trzydziestu sekundach i była nawet bardziej szczegółowa niż to konieczne.

Morgan przez minutę wpatrywał się w ekran, a potem ze zdumieniem potrząsnął głową.

— Jak oni mogli to przeoczyć! — mruknął. — I nic nie da się zrobić…

Uzyskawszy wydruk, Morgan zaniósł cieniutki arkusz papieru do pokoju i przestudiował dokładnie. Sprawa była tak oczywista, że przez chwilę sam zastanowił się, czy czegoś nie pomylił i czy nie zrobi z siebie głupca, gdy wypowie rzecz głośno. Ale nie ma żadnej furtki…

Spojrzał na zegarek: było już po północy. Ale z taką informacją nie należało czekać.

Ku uldze Morgana bankier nie wyłączył aparatu i odebrał błyskawicznie. Robił wrażenie zdumionego.

— Mam nadzieję, że pana nie obudziłem — powiedział Morgan,

niezbyt zresztą szczerze.

— Nie, właśnie mamy lądować w Gagarinie. W czym rzecz?

— Rzecz w obiekcie o masie około dziesięciu teraton poruszającym się z szybkością dwóch kilometrów na sekundę. Mam na myśli wewnętrzny księżyc, Fobosa. Niczym kosmiczny buldożer będzie co jedenaście godzin przebiegał w pobliżu wyciągu. Nie sprawdziłem jeszcze wszystkich możliwych orbit, ale nie da się uniknąć zderzenia. Raz na kilka dni.

Po drugiej stronie zapadła długa chwila ciszy.

— Powinienem to przewidzieć — powiedział w końcu bankier. — To tak oczywiste. Trzeba coś wymyślić. Może będziemy musieli przesunąć Fobosa.

— To niemożliwe. Zbyt wielka masa. — Zadzwonię na Marsa. W tej chwili opóźnienie wynosi dwanaście minut. Gdzieś za godzinę powinienem dostać odpowiedź.

Mam nadzieję, pomyślał Morgan. I lepiej, żeby to była pomyślna odpowiedź. O ile, oczywiście, naprawdę zależy mu na tej pracy.

24. Palec boży

Dendrobium macarthiae zakwitały zwykle wraz z nadejściem południowo-zachodnich wiatrów monsunowych, w tym roku jednak ożyły wcześniej. Podziwiając w swym pawilonie orchidei delikatne fioletoworóżowe płatki, Rajasinghe wspominał poprzedni monsun, kiedy to straszne oberwanie chmury uwięziło go w pawilonie na całe pół godziny. Przyszedł tu wtedy podziwiać pierwsze rozkwitłe kwiaty.

Spojrzał z lękiem na niebo, ale nic nie zapowiadało deszczu. Dzień był przepiękny i tylko wysokie pasma chmur lekko łagodziły blask słońca. Ale to było dziwne…

Rajasinghe nigdy jeszcze nie widział niczego podobnego. Niemal dokładnie nad jego głową smugi chmur zostały podziurawione jakby małymi, idealnie okrągłymi zawirowaniami cyklonów. Każdy z kręgów mógł mieć co najwyżej parę kilometrów średnicy. Rajasinghemu przypominało to wybijanie otworów w desce. Porzuciwszy orchidee wyszedł spod dachu, by lepiej przyjrzeć się zjawisku. Teraz dostrzegał już drobne trąby powietrzne sunące przez niebo i burzące smukłe szeregi chmur.

Można by pomyśleć, że oto Bóg opuścił swój palec z nieba i miesza biały puch. Nawet Rajasinghe, który świetnie wiedział na czym polega kontrola pogody, nie podejrzewał, aby możliwe było tak precyzyjne operowanie wiatrami. Wszelako odczuwał pewną skromną dumę, że czterdzieści lat temu przyczynił się do ustanowienia tej kontroli. Nakłonienie pozostałych jeszcze supermocarstw, by poświęciły na ten cel swe forty orbitalne nie było łatwe, ale ostatecznie Globalne Centrum Pogodowe dostało je wszystkie, przekuwając w ten sposób najpotężniejsze ze stworzonych kiedykolwiek mieczy na lemiesze. Obecnie te same działa laserowe, które niegdyś miały nieść zagładę rodzajowi ludzkiemu, niczym skalpele cięły płaty atmosfery lub też podgrzewały ten czy tamten region Ziemi. Operowały energią ledwie porównywalną z tym, czym dysponuje słaba burza, ale to drobny kamyk wyzwala przecież lawinę, jeden neutron wystarczy, by wywołać reakcję łańcuchową.

Wszelako Rajasinghe nie znał żadnych detali technicznych. Pamiętał jeszcze, że sieć posługuje się licznymi satelitami kontrolnymi i superkomputerem, modelującym nieustannie obraz całej ziemskiej atmosfery. Niczym dzikus po raz pierwszy widzący samolot, Rajasinghe gapił się w niebo, gdzie cyklony z wolna dryfowały ku zachodowi. W końcu zniknęły za wierzchołkami palm okalających Ogrody Rozkoszy.

Potem Rajasinghe raz jeszcze zadarł głowę i spojrzał w zenit nieba, gdzie w ludzką ręką uczynionych platformach niebieskich

czuwali niewidoczni inżynierowie i naukowcy.

— Mocna rzecz — powiedział. — Mam nadzieję, że wiecie, co robicie.

25. Orbitalna ruletka

— Powinienem o tym pomyśleć — powiedział zasmucony bankier. — Pewnie jest o tym mowa w którymś z dodatków, nigdy do nich nie zaglądam. Skoro przestudiował pan już całość, to chciałbym znać odpowiedź. Mocno mnie pan zaniepokoił.

— Sprawa jest tak oczywista, że powinienem wpaść na nią od razu — odparł Morgan.

I w końcu to uczyniłem, pomyślał uznając, że faktycznie może mieć zaufanie do swoich zdolności. Przypomniał sobie wszystkie symulacje komputerowe i liny rwące się jak gigantyczne struny skrzypiec pod wpływem wibracji biegnących falami z Ziemi w kosmos. Po raz setny przypłynął znów obraz tańczącego mostu. Tam były wszystkie odpowiedzi…

— Fobos będzie mijał wieżę co jedenaście godzin i dziesięć minut, szczęśliwie za każdym razem poruszaj ąc się w nieco innej płaszczyźnie, w przeciwnym razie niezmiennie dochodziłoby do kolizji. W większości przypadków chyba można przewidzieć, które cykle będą niebezpieczne, w razie potrzeby nawet z dokładnością do tysięcznej części sekundy. Wyciąg, jak każda struktura inżynierska, nie będzie strukturą sztywną. Będzie podlegał własnym cyklom wibracji, obliczonym zresztą równie dokładnie, jak orbity planet. Nasi inżynierowie proponują, aby „dostroić" wyciąg tak, aby jego normalne oscylacje, których i tak nie można uniknąć, usuwały konstrukcję z drogi Fobosa. Za każdym razem satelita mijałby wieżę o kilka kilometrów. Na drugim końcu kabla zaległa cisza.

— Może nie powinienem o tym wspominać — stwierdził w końcu Marsjanin — ale cała ta sprawa zjeżyła mi włosy na głowie.

Morgan roześmiał się.

— Prawdę mówiąc, nazwałbym to rozwiązanie odmianą rosyjskiej ruletki. Ale proszę pamiętać, że tutaj mamy do czynienia z przewidywalnymi sytuacjami. W każdej chwili możemy obliczyć precyzyjnie położenie i orbitę Fobosa, a operowanie ruchem wewnątrz wieży da nam pojęcie o jej cechach.

Morgan pomyślał, że to wcale nie będzie takie proste, ale przyznał, że jest możliwe. Nagle przyszła mu do głowy analogia tak prosta, że aż miał ochotę wybuchnąć śmiechem, ale powstrzymał się przez wzgląd na strapionego bankiera.

Raz jeszcze znalazł się na moście Tacoma. Wyobraził sobie taką sytuację: zgodnie z rozkładem rejsów pod mostem ma przepłynąć statek. I nagle okazuje się, że maszt statku jest o metr za wysoki.

Żaden problem. Tuż przed planowaną porą przepłynięcia statku kilka dużych ciężarówek winno w starannie wyliczonych odstępach

czasu przejechać szybko przez most. Powstałaby wtedy zgodna z wcześniejszymi wyliczeniami częstotliwości drgań łagodna fala unosząca kolejne fragmenty jezdni. Dzięki zgraniu owej fali z przybyciem statku, ten ostatni gładko przepłynąłby pod mostem, mając jeszcze kilka centymetrów w zapasie… W wielekroć większej skali Fobos mógł spokojnie minąć wieżę wznoszącą się z góry Pavonis na Marsie.

— Cieszę się, że jest pan tak pewien swego — powiedział bankier — ale zanim skorzystam kiedyś z tej wieży, na pewno sprawdzę aktualne położenie Fobosa.

— Jeśli taki pan ostrożny, to czeka pana kilka chwil zdumienia. Z pewnością pańskie bystrzaki, a wygląda mi, że to naprawdę zdolni i młodzi ludzie pozbawieni kompleksów starych inżynierów, wpadną na pomysł, aby rozreklamować chwile bliskiego przejścia Fobosa jako atrakcję turystyczną. Pomyślą, że dobrze byłoby sprzedawać bilety na takie widowisko, kiedy to księżyc przelatuje ledwo na wyciągnięcie ręki od wieży i to z szybkością paru tysięcy kilometrów na godzinę. Nie uważa pan, że byłoby co podziwiać? — Osobiście wolałbym tego nie oglądać, ale pewnie ma pan rację. Tak czy inaczej, oddycham z ulgą słysząc, że istnieje jakieś rozwiązanie. Miło mi również zauważyć, że docenia pan nasz personel. Czy to oznacza, że wkrótce podejmie pan decyzję?

— Już ją podjąłem — odparł Morgan. — Kiedy możemy zacząć?

26. Noc przed Vesakiem

Po dwudziestu siedmiu stuleciach byt to wciąż najważniejszy dzień w kalendarzu Taprobane. Wedle legendy właśnie w porze majowej pełni Księżyca Budda miał się po kolei narodzić, doznać objawienia i umrzeć. Wprawdzie dla większości mieszkańców wyspy Vesak nie znaczył obecnie więcej niż inne, grudniowe święto, to uznawano go wciąż za dzień tradycyjnej medytacji i uspokojenia.

Przez wiele lat Kontrola Monsunów pilnowała, aby deszcz nie padał w żadną z nocy Vesaku i udawało się jej to z tolerancją do jednej doby. Niemal od równie wielu wiosen Rajasinghe wybierał się już na dwa dni przed pełnią do Królewskiego Miasta. Była to jego doroczna pielgrzymka dla odrodzenia ducha. Uczestnictwa w samym świecie unikał, tego dnia Ranapura była zwykle nazbyt zatłoczona gośćmi, w tym i takimi, którzy bez wątpienia rozpoznaliby ambasadora, zakłócając jego samotność.

Tylko najbystrzejsze oko mogłoby zauważyć, że wznosząca się ponad kopulastymi dachami wielka i żółta tarcza. Księżyca nie była jeszcze idealnie kolista. Błyszczała tak silnie, że poza nią na bezchmurnym niebie widać było tylko kilka najjaśniejszych punkcików satelitów i gwiazd. Nie wyczuwało się nawet najlżejszego podmuchu wiatru.

Powiada się, że opuszczając tą drogą Ranapurę, Kalidasa dwakroć przystanął. Po raz pierwszy przy grobie Hanumana, ukochanego towarzysza dzieciństwa. Drugi raz przed kapliczką Umierającego Buddy. Rajasinghe często zastanawiał się, jaką pociechę znalazł przeklęty król, stając zapewne dokładnie w tym samym miejscu, bowiem stąd właśnie widok na wyciosaną w skale postać był najlepszy. Proporcje posągu wymierzono tak idealnie, że ktoś idący ku niemu nie wyobrażał sobie nawet, że sama poduszka, na której Budda składa głowę, grubsza jest ponad wzrost człowieka.

Rajasinghe widział spory kawałek świata, ale nie znalazł nigdzie miejsca równie uspokajającego. Czasem zdawało mu się, że wieczność całą mógłby tak siedzieć pod jasnym Księżycem, niepomny na wszelkie troski i trudy życia. Nigdy nie próbował zbyt głęboko dociekać, na czym polega magia kaplicy, ale kilku rzeczy się domyślał. Postać Buddy leżącego z zamkniętymi oczami, postać kogoś, kto zakończył szlachetny żywot, promieniowała spokojem. Łagodne linie jego szaty przyciągały wzrok i skłaniały do kontemplacji; zdawały się wypływać z samych trzewi skały, niczym zamarznięta magma. Falowały, podobnie jak fale morza narzucając pewien rytm, który wymykał się racjonalnemu oglądowi.

Bezczasowe chwile, wieczne trwanie z Buddą przy pełni… W

takie noce Raj asinghemu zdawało się, że wie, czym jest nirwana, stan możliwy do opisania jedynie drogą totalnego negowania wszystkiego innego. Można było zapomnieć, że w ogóle występują na świecie emocje gniewu, pożądania, chciwości, żądza władzy… Nawet poczucie odrębności istnienia zdawało się zanikać niczym mgła w promieniach porannego słońca.

Wszelako nic nie trwa wiecznie. W końcu Rajasinghe usłyszał znów brzęczenie owadów, dobiegające z dala szczekanie psów, poczuł zimno i twardość kamienia pod pośladkami. Spokój nie był długotrwałym stanem ducha. Rajasinghe wstał z westchnieniem i ruszył do samochodu zaparkowanego sto metrów od terenu świątyni.

Wsiadał właśnie, gdy zauważył biały obłok tak wyraźnie malujący się na tle nieba, jakby ktoś przyczepił łatę do firmamentu. Kształt wznosił się ponad drzewami na zachodzie. Takiej chmury jeszcze nie zdarzyło mu się widzieć: idealna elipsa o kontrastowo ostrych brzegach. Może to jakiś statek powietrzny… Ale gdzie stery, gdzie szum silników? Nagle naszło go najosobliwsze z możliwych przypuszczeń: może to mieszkańcy Gwiezdnego Ostrowia przybyli na Ziemię?

Ale to było absurdalne przypuszczenie. Nawet gdyby zdołali wyprzedzić własne sygnały radiowe, nie weszliby niepostrzeżenie do Układu Słonecznego, o wniknięciu w atmosferę Ziemi nie wspominając! Już wiele godzin temu cała ludzkość wiedziałaby o ich przybyciu.

Ku swemu zdumieniu, Rajasinghe odczuł niejakie rozczarowanie. Im bliżej było zjawisko, tym wyraźniej widział, że to jednak chmura, rozmyta nieco na brzegach, wszelako dziwnie szybka, jakby niesiona odrębnym zupełnie strumieniem wiatru, który pozostawał całkiem nieobecny na poziomie Ziemi.

Zatem to znowu sprawka specjalistów z Kontroli Monsunów, poddających próbie swą władzę nad wiatrami. Rajasinghe zastanowił się przez chwilę, jaki będzie ich następny pomysł.

27. Stacja Ashoka

Jak drobna wydawała się wyspa z wysokości trzydziestu sześciu tysięcy kilometrów! Widziana z orbity nad równikiem nie była większa niż tarcza Księżyca, a cały kraj jawił się jako cel zbyt mały, by weń trafić. A przecież punktem celowania był obszar rozmiarów ledwie kortu tenisowego.

Morgan wciąż jeszcze nie był do końca pewny, jakie motywy nim kierowały, gdy decydował się na wybór Sri Kandy. Dla celów demonstracji mógł równie dobrze wykorzystać stację Kinte wiszącą nad Kilimandżaro czy górą Kenya. Fakt, że stacja Kinte była najbardziej niestabilnym wielkim obiektem orbitalnym i wiele wysiłku kosztowało utrzymywanie jej nad Centralną Afryką, nie miał większego znaczenia dla kilkudniowego eksperymentu. Czas jakiś kusiło Morgana, by wycelować w Chimborazo, Amerykanie zaproponowali nawet, że za skromnym wynagrodzeniem przesuną stację Columbus na stosowną orbitę. Koniec końców jednak, mimo wszystko, inżynier powrócił do pierwotnego obiektu, Sri Kandy.

Szczęściem dla Morgana, w epoce powszechnej komputeryzacji na rozprawę w Sądzie Światowym trzeba było czekać tylko kilka tygodni. Świątynia, rzecz jasna, wyraziła protest, ale Morgan przekonywał, że krótki eksperyment naukowy przeprowadzony poza granicami klasztoru i nie powodujący hałasu, zanieczyszczenia środowiska ani żadnych innych niedogodności nie może być przedmiotem skargi. W razie udaremnienia prac zagrożone byłyby wszystkie wcześniejsze studia, niemożliwe byłoby też doświadczalne sprawdzenie poprawności kalkulacji. Dodatkowo zostałaby znacznie opóźniona realizacja projektu mającego dla Republiki Marsa kluczowe znaczenie.

Były to przekonujące argumenty i Morgan sądził, że przemawiają same za siebie. Sędziowie uznali podobnie, większością pięciu do dwóch. Wprawdzie oficjalnie nie mogło to mieć żadnego znaczenia, jednak wspomnienie o interesach Marsa było dobrym posunięciem. Republika Marsa występowała już jako strona w trzech poważnych sprawach i Sąd Światowy był zapewne nieco zmęczony ustalaniem precedensów prawa międzyplanetarnego.

Obdarzony analitycznym umysłem Morgan wiedział wszakże, że wybór nie był tak do końca podyktowany samą tylko logiką. Inżynier nie był skłonny spokojnie godzić się z porażką i taki gest sprawiał mu sporo satysfakcji. Owszem, w głębi duszy wstydził się takiego zagrania świątyni na nosie, było to zachowanie sztubackie, niegodne sławnego Morgana. Cóż, potrzebował jednak podbudowania wiary w siebie, w ostateczny sukces… Nie wiedząc jeszcze, jak tego dokonać, ogłaszał światu, a tym samym i upartym mnichom, groźne przesłanie: „Jeszcze

tu wrócę”.

Stacja Ashoka była głównym węzłem transportu, łączności oraz kontroli meteorologicznej i ekologicznej w rejonie Indii i Chin. Gdyby kiedykolwiek zawiodła, życie milionów ludzi znalazłoby się w niebezpieczeństwie. W razie dłuższej martwoty centrum miliardy istot czekałaby śmierć. Nic zatem dziwnego, że składało się ono z trzech niezależnych części: samej stacji i dwóch modułów zwanych Bhaba i Sarabhai wiszących w oddaleniu stu kilometrów. Gdyby nawet jakaś nieprawdopodobna zgoła katastrofa zniszczyła wszystkie trzy obiekty, ich funkcje mogły przejąć orbitujące na zachodzie stacje Kinte i Imhotep lub widoczna na wschodzie stacja Konfucjusz. Kosztem wielu ofiar ludzkość nauczyła się nie wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka.

Tutaj nie było turystów, urlopowiczów ani lecących tranzytem pasażerów. Ci nie docierali tak wysoko, załatwiając zwykle swoje sprawy w stacjach zawieszonych kilka tysięcy kilometrów niżej, wysokie orbity geostacjonarne zostawiając naukowcom i inżynierom. Jednak nawet spośród tych ostatnich żaden nie odwiedził nigdy jeszcze stacji Ashoka z tak niecodziennym zadaniem i niezwykłym wyposażeniem.

Kluczem do Operacji Babie Lato był obiekt unoszący się obecnie w jednym ze średnich doków stacji. Oczekiwał tylko na ostatni przegląd przed wystrzeleniem. Obiekt ów wyglądał nieszczególnie i nie nasuwał żadnych refleksji o wielu latach pracy i ciężkich milionach wydanych na jego stworzenie.

Był to stożek długi na cztery metry i szeroki u podstawy na dwa. Wydawał się wykonany z metalu i dopiero bliższe oględziny ujawniały, że ta gładka powierzchnia to ściśle nawinięta nić. I rzeczywiście, poza metalowym rdzeniem i plastikowymi płatami rozgradzającymi poszczególne odcinki przewodu, była to po prostu szpula superwytrzymałego włókna. Długiego na czterdzieści tysięcy kilometrów.

Stworzenie tego szarego stożka wymagało między innymi zastosowania dwóch całkiem już przestarzałych technologii. Trzysta lat wcześniej pojawiły się kable telegraficzne biegnące po dnach oceanów. Wielu ludzi straciło całe fortuny, nim wreszcie udało się opanować sztukę zwijania na pokładach statków całych tysięcy kilometrów kabla, nim nauczono się kłaść go na dnie między kontynentami, co rzeczywiście nie było łatwe wobec sztormów i innych niebezpieczeństw morskich. Potem, ledwie stulecie później, pojawiły się prymitywne pociski rakietowe sterowane za pomocą cienkich drutów rozwijających się ze szpuli z szybkością kilkuset kilometrów na godzinę. Morganowi potrzebny był zasięg wiele tysięcy razy większy od tego, którym dysponowały te spoczywające już od

dawna w muzeach wojskowych eksponaty. Jego pocisk miał też być pięćdziesiąt razy szybszy. Niemniej i tak był w lepszym położeniu. Tutaj środowiskiem niemal przez cały czas miała być próżnia. Ponadto cel nie powinien raczej wykonywać uników.

Do Morgana zbliżył się szef Operacji Babie Lato i zakaszlał z cicha dla zwrócenia uwagi.

— Mamy wciąż pewien drobny kłopot, doktorze — powiedział. — Samo opuszczenie nie budzi już wątpliwości, wszystkie testy i symulacje komputerowe przebiegły bez zakłóceń, jak sam pan zresztą widział. Martwię się, czy uda nam się wciągnąć nić z powrotem na stację. Morgan zamrugał, zaskoczony. O tym ostatnim prawie dotąd nie myślał. Zdawało mu się, że ponowne nawinięcie przewodu nie będzie trudniejsze, niż uprzednie jego opuszczenie. Potrzeba tylko sprawnego kołowrotu z możliwością płynnej regulacji obrotów, rzecz oczywista gdy ma się do czynienia z tak długą nicią o zmiennej grubości. Wiedział jednak, że w przestrzeni kosmicznej nie można opierać się jedynie na domysłach i że intuicja, szczególnie taka wyćwiczona w warunkach typowo ziemskich, może niebezpiecznie zawodzić na orbicie.

Przyjrzyjmy się temu… Gdy testy dobiegną końca, odcinek przyziemny zostanie odcięty, a stacja Ashoka zacznie nawijać nić. Oczywiście, gdy pociągnie się, nawet bardzo silnie, kabel o długości czterdziestu tysięcy kilometrów, z początku nic się nie stanie. Minie pół dnia, aż impuls dobiegnie do drugiego końca i system zostanie w całości wprawiony w ruch. Trzeba zatem tylko utrzymywać nić napiętą i… Och!

— Ktoś źle to obliczył — ciągnął inżynier. — Wychodzi na to, że gdy całość należycie się rozpędzi, otrzymamy pocisk o masie paru ładnych ton pędzący wprost na stację z szybkością tysiąca kilometrów na godzinę. Im tutaj wcale się to nie podoba.

— Nawet mnie to nie dziwi. Mają jakieś propozycje?

— Żeby zwolnić tempo zwijania i lepiej kontrolować napięcia. Gdyby jednak miało dojść do najgorszego, to usuną nas ze stacji, abyśmy zwijali cały ten interes możliwie daleko od nich, w próżni.

— To opóźni prace?

— Nie, opracowaliśmy już plan awaryjny pozwalający w razie konieczności wyprowadzić całe wyposażenie ze śluzy w ciągu pięciu minut.

— I da się to potem łatwo odzyskać?

— Oczywiście.

— Oby miał pan rację. W tym przypadku żyłka jest niemal równie droga, jak wędka. I jeszcze nam się przyda.

Ale gdzie?, spytał Morgan sam siebie, patrząc na powoli obracający się glob. Może lepiej będzie najpierw dokończyć projekt

marsjański, nawet kosztem kilku lat wygnania? Gdy wyciąg na górze Pavonis ruszy pełną parą, Ziemia będzie musiała pójść w ślady Marsa i w jakiś sposób, mniejsza o to jaki, ostatnie przeszkody zostaną pokonane.

A kiedy już zostanie pokonana największa z ziemskich przepaści, zblednie znacznie, po trzech stuleciach blasku, sława pana Gustava Effla.

28. Pierwsze opuszczenie

Widowisko na niebie miało rozpocząć się dopiero za ponad dwadzieścia minut, ale wszyscy poza dyżurnym personelem już teraz wyszli z baraku (gdzie mieściło się centrum kontrolne), by spojrzeć w górę. Nawet Morgan nie zdołał opanować ciekawości i też ruszył do drzwi.

W pobliżu kręcił się nieustannie najnowszy wybranek Marinę Duval, krzepki młodzieniec dobiegający lat trzydziestu i dźwigający na barkach zwykłe w tym fachu narzędzia — dwie kamery skierowane, jak było to w zwyczaju, prawa do przodu, lewa do tyłu. Nad nimi widniała niewielka kula rozmiarów grapefruita zawierająca sferyczną antenę, sprytne urządzenie analizujące sytuację z częstotliwością kilku tysięcy razy na sekundę i pilnujące nieustannie, by niezależnie od ruchliwości kamerzysty, utrzymywać kontakt z najbliższym satelitą telekomunikacyjnym. Na drugim końcu łącza znajdowała się siedząca wygodnie w studiu Maxine Duval. Słyszała i widziała wszystko oczami i uszami swego *alter ego,* nie będąc przy tym zmuszoną do oddychania mroźnym powietrzem. Tym razem postanowiła uniknąć trudów. Nie zawsze było to możliwe.

Morgan zgodził się na nieustanne towarzystwo kamerzysty z pewnym wahaniem. Wiedział, że chwila jest historyczna, wierzył Maxine, gdy mówiła: „Mój człowiek nie będzie zawadzał". Pamiętał też jednak, że nowatorski eksperyment może skończyć się niepowodzeniem, szczególnie w ostatniej fazie, podczas przechodzenia przez stukilometrową warstwę ziemskiej atmosfery. Z drugiej strony, Maxine można było zaufać, że jednakowo obiektywnie potraktuje tak triumf, jak i ewentualną porażkę.

Jak wszyscy wielcy dziennikarze, Maxine Duval potrafiła nie angażować się emocjonalnie w wydarzenia, które relacjonowała. Potrafiła ukazać po równi rozmaite punkty widzenia, nie omijając żadnego stanowiska ni faktu, który według niej mógł mieć istotne znaczenie. Nie tłumiła swoich odczuć, ale też nie pozwalała, by wpływały na jakość pracy. Owszem, podziwiała Morgana, zazdrościła mu jak wielu, którzy nie tworzyli dzieł równie namacalnych. Od czasu budowy Mostu Gibraltarskiego była ciekawa wszystkich następnych prac inżyniera, a on jej nie rozczarowywał. Jednak, chociaż życzyła Morganowi szczęścia, tak naprawdę niezbyt lubiła go jako człowieka. Uważała, że tak jednoznaczne pobudki działania i dyktat wygórowanych ambicji czynią go wprawdzie wielką postacią, ale umniejszają go w skali czysto ludzkich wartości. Mimowolnie porównywała Morgana z osobą jego zastępcy, Warrena Kingsleya. Był on człowiekiem miłym, spokojnym („To o wiele lepszy inżynier niż

ja” — powiedział jej kiedyś sam Morgan i prawie wcale nie był to żart). Jednak nikt nigdy nie usłyszy o Warrenie, który zawsze pozostanie w cieniu swego wielkiego szefa. Niemniej Warrenowi zdawało się to odpowiadać.

To właśnie Kingsley wyjaśnił cierpliwie Maxine szczegóły operacji i to tak, że pod koniec wykładu dziennikarka stwierdziła ze zdumieniem, że wszystko rozumie. W pierwszej chwili sprawa wydawała się całkiem prosta — trzeba tylko opuścić drut z nieruchomo zawieszonego satelity prosto na równik. Jednak astrodynamika to dziedzina pełna paradoksów. Próbujesz zwolnić, a przyspieszasz. Najkrótsza droga wymaga największego zużycia paliwa. Celujesz w jedną stronę, lecisz w drugą… A jeszcze wpływ pola grawitacyjnego. Sytuacja miała komplikować się z czasem. Nikt nie próbował dotąd sterować sondą kosmiczną za pomocą drutu o długości czterdziestu tysięcy kilometrów. Niemniej na razie wszystko szło idealnie, drut dotarł już do granic atmosfery. Za kilka minut kontroler na Sri Kandzie przejmie sterowanie, by sprowadzić sondę na Ziemię. Nic dziwnego, że Morgan wyglądał na spiętego. — Van — powiedziała Maxine cicho, korzystając z prywatnego połączenia. — Przestań obgryzać paznokcie. Wyglądasz jak dzieciak.

Morgan zdumiał się najpierw, potem odetchnął z ulgą.

— Dzięki za ostrzeżenie — mruknął. — Nie cierpię tracić w oczach opinii publicznej.

Spojrzał lekkim zezem na wyjęty z ust kikut kciuka i zastanowił się, ile jeszcze potrwa, zanim umilknie chichot związany z faktem, że setki razy ostrzegając innych, w końcu sam zdołał zaciąć się paskudnie podczas demonstracji możliwości nici. Diabelski wynalazek wymknął się spod kontroli twórcy! W zasadzie nie bolało, przyjemność jednak żadna. Później zajmie się tym jeszcze, ale teraz nie ma czasu, by marnować cały tydzień w module regeneracji organów. Ostatecznie chodziło tylko o dwa centymetry kciuka.

— Wysokość dwa pięć zero — dobiegł go spokojny, bezosobowy głos z baraku kontrolnego. — Szybkość sondy jeden jeden sześć zero metrów na sekundę. Napięcie drutu dziewięćdziesiąt procent nominalnego. Otwarcie spadochronu za dwie minuty.

Chwila odprężenia dobiegła końca. Zupełnie jak bokser, pomyślała, znów mimowolnie, Maxine Duval obserwując tajemniczego, ale i groźnego przeciwnika.

— Jak z wiatrem? — warknął inżynier.

— Nie do wiary — odezwał się inny głos, tym razem daleki od beznamiętności. — Kontrola Monsunów nadała przed chwilą ostrzeżenie burzowe.

— Nie czas na żarty.

— Ja nie żartuję. Właśnie to sprawdzam.

— Ale obiecywali, że nie będzie niczego powyżej trzydziestu kilometrów na godzinę!

— Właśnie podnieśli granicę do sześćdziesięciu… poprawka, osiemdziesięciu. Coś im nie wyszło…

— Ja bym powiedziała raczej… — mruknęła do siebie Duval. — Wdrap się na sufit, schowaj w ścianie, tylko nie wchodź im teraz w drogę. I nie przegap niczego — poinstruowała swoje oczy i uszy, i zostawiając kamerzystę, by sam uporał się z tymi nieco jednak sprzecznymi poleceniami, przełączyła się na kanał informacyjny. W ciągu trzydziestu sekund ustaliła, która stacja meteorologiczna jest odpowiedzialna za pogodę nad Taproba — ne. To, że stacja nie przyjmowała połączeń z ogólnej sieci, było odkryciem niemiłym, ale całkiem zrozumiałym.

Nakazała personelowi, by uporał się jakoś z tą przeszkodą i wróciła do obrazu góry. Ze zdumieniem stwierdziła, że w ciągu paru minut jej nieobecności sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

Niebo pociemniało, a mikrofony wyłapywały słaby jeszcze ryk nadciągającej wichury. Maxine Duval wiedziała, że na morzu takie nagłe zmiany pogody są rzeczą zwyczajną i sama nie raz korzystała z niespodziewanych podmuchów wiatru podczas wyścigów regatowych. Ale tym razem burza była niepożądana. Maxine współczuła Morganowi, którego marzenia i nadzieje mogły rozwiać się za sprawą jednego nie zaplanowanego podmuchu powietrza.

— Wysokość dwa zero zero. Szybkość sondy jeden jeden pięć zero metrów na sekundę. Napięcie dziewięćdziesiąt pięć procent nominalnego.

Zatem napięcie narastało, i to na wiele sposobów. Na tym etapie nie można już było przerwać eksperymentu, pozostało ciągnąć sprawę dalej i mieć nadzieję, że jednak się uda. Duval zapragnęła porozmawiać z Morganem, ale była świadoma, że lepiej będzie mu teraz nie przeszkadzać.

— Wysokość jeden dziewięć zero. Szybkość jeden jeden zero zero. Napięcie sto procent. Otwarcie pierwszego spadochronu. Teraz!

Sonda była już skazana, znalazła się w objęciach ziemskiej atmosfery. Pozostała jeszcze reszta paliwa miała posłużyć do skierowania obiektu prosto w sieć rozciągniętą na zboczu góry. Już teraz silny wiatr gwizdał między kablami podtrzymującymi całą konstrukcję.

Morgan wybiegł nagle z baraku i spojrzał w niebo, potem odwrócił wzrok wprost do kamery.

— Cokolwiek jeszcze się stanie, Maxine — powiedział wolno i z namysłem — mamy już dziewięćdziesiąt pięć procent sukcesu. Nie, dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Pokonaliśmy trzydzieści sześć tysięcy kilometrów i zostało nam już ledwie dwieście.

Duval nie odpowiedziała. Wiedziała, że te słowa nie były przeznaczone dla niej, ale dla osoby zasiadającej w fotelu na kółkach tuż przed barakiem. Typ pojazdu zdradzał kim był pasażer. Tylko goście spoza Ziemi mogli jeszcze potrzebować podobnego wyposażenia. Medycyna radziła sobie ze wszystkimi rodzajami niedowładów czy okaleczeń, ale wobec trwałego przystosowania do niższej grawitacji była bezradna.

Ileż to sprzecznych interesów i wpływów krzyżowało się teraz na szczycie góry! Po pierwsze, same siły przyrody. W dalszej kolejności należało pamiętać o banku Narodny Mars, Autonomicznej Republice Północnoafrykańskiej, samym Vannevarze Morganie (który sam z siebie żadnymi mocami nie był obdarzony). No i o tych nader łagodnych mnichach w omiatanej wichurą pustelni.

Maxine Duval przekazała szeptem dalsze instrukcje kamerzyście i obraz uciekł wzwyż, ukazując wierzchołek góry i białe mury świątyni. Tu i ówdzie powiewały w oknach i na blankach pomarańczowe szaty. Tak jak oczekiwała, mnisi też wpatrywali się w niebo.

Powiększyła obraz, aż ujrzała twarze poszczególnych zakonników. Chociaż nigdy nie spotkała Mahy Therego (uprzejmie odmówił prośbie o wywiad), pewna była, że zdoła go rozpoznać. Jednak jego nie było. Może schronił się w *sanctum sanctorum,* skupiając wolę na jakimś ćwiczeniu ducha.

Maxine Duval nie podejrzewała, aby główny antagonista Morgana był tak naiwny, by poprzestać na modlitwie. Jeśli jednak rzeczywiście modlił się o cudownie sprowadzoną burzę, to został wysłuchany. Bogowie góry obudzili się z długiego snu.

29. Podejście

Postęp technologiczny oznacza większą wrażliwość na nieprzewidziane bodźce. Im bardziej człowiek opanowuje (sic!) sily natury, tym częściej pada ofiarą sztucznie wywołanych katastrof. Historia najnowsza tylko tę tezę potwierdza, wystarczy przypomnieć zatonięcie Miasta Morskiego (2127), zawalenie się kopuły Tycho B (2098), zerwanie się arabskiej góry lodowej z holu (2062) i stopienie się reaktora Thor (2009). Możemy być pewni, że ta lista wydłuży się jeszcze w przyszłości. Najstraszniejsze wszakże skutki takich zdarzeń będą miały nie technologiczny, ale psychologiczny wymiar. W przeszłości wyposażony w bombę czy karabin szaleniec mógł zabić kilku lub kilkunastu ludzi, dzisiaj obłąkany inżynier bez trudu mógłby zgładzić całe miasto. Przypadek, kiedy to Druga Kolonia Kosmiczna O'Neilla o włos uniknęła takiego właśnie losu, został dobrze i bogato udokumentowany. Podobnych incydentów można uniknąć, przynajmniej w teorii, poprzez uważną kontrolę wszystkich systemów bezpieczeństwa, które okazują się przy tej okazji nader często nie mieć z zapewnianiem bezpieczeństwa nic wspólnego, o ich niezawodności nie wspominając.

Najciekawsze jednak, chociaż szczęśliwie i najrzadsze, są takie wypadki, w których jednostka rozporządza mocami i władzą umożliwiającą jej samodzielne dokonanie wielkich zniszczeń. Zwykle nikt nie zauważa takiego szalonego geniusza i jego możliwości, aż jest już za późno. Ktoś taki (określenie „szalony geniusz" wydaje mi się najwłaściwszym) może

wpłynąć destrukcyjnie na losy świata, jak miało to miejsce w przypadku A. Hitlera (1889–1945). Zwykle zakłopotane ich istnieniem elity wolą milczeć, co powoduje, że stopień aktywności i zamiary podobnych osobników rzadko stają się znane opinii publicznej.

Klasycznym przykładem takiej właśnie sytuacji jest historia opisana w opublikowanych niedawno, kontrowersyjnych pamiętnikach Maxine Duval. Niemniej wciąż jeszcze niektóre aspekty wspomnianej tam sprawy pozostają niejasne.

(Cywilizacja i malkontenci, J. K. Golicyn, Praga, 2175)

— Wysokość jeden pięć zero, szybkość dziewięćdziesiąt pięć, powtarzam, dziewięćdziesiąt pięć. Osłona cieplna odrzucona.

Zatem sonda weszła bezpiecznie w atmosferę i wyhamowała do stosownej szybkości. Było jednak za wcześnie na wiwaty. Do powierzchni Ziemi pozostało jeszcze sto pięćdziesiąt kilometrów, a na dole szalała utrudniająca wszystko burza. Sonda miała jeszcze trochę paliwa, ale jej swoboda manewru była mocno ograniczona. Jeśli operator chybi z góry, nie będzie już drugiego podejścia.

— Wysokość jeden dwa zero. Na razie brak zjawisk atmosferycznych.

Niewielka sonda opuszczała się z nieba niczym pająk zjeżdżający na pajęczynie. Mam nadzieję, pomyślała Duval, że starczy im drutu. Gdyby skończył się ledwie parę kilometrów od Ziemi, śmiechom nie byłoby końca. Podobne nieszczęście zdarzyło się już trzysta lat temu podczas układania kabla oceanicznego.

— Wysokość osiem zero. Szybkość podejścia w normie. Napięcie sto procent. Jest wiatr.

Górne warstwy atmosfery dały znać o sobie, chociaż na razie wpływ ten mogły wyczuć tylko czułe instrumenty na pokładzie sondy.

Ustawiony obok ciężarówki z wyposażeniem zdalnie sterowany teleskop śledził automatycznie niewidoczną jeszcze sondę. Morgan ruszył ku przyrządowi, kamerzysta niczym cień potruchtał za nim. — Widać coś? — wyszeptała po kilku sekundach Duval. Morgan niecierpliwie potrząsnął głową i dalej wpatrywał się w okular.

— Wysokość sześć zero. Zbacza w lewo. Napięcie sto pięć procent. Poprawka, sto dziesięć.

Wciąż w granicach marginesu bezpieczeństwa, pomyślała Duval, chociaż sonda była dopiero u granic stratosfery. Morgan powinien już ją widzieć…

— Wysokość pięć pięć. Daję dwusekundowy impuls korekcyjny.

— Jest! — krzyknął Morgan. — Widzę płomień rakiety!

— Wysokość pięć zero. Napięcie sto pięć procent. Wciąż schodzi z kursu.

Nie do wiary, ale wyglądało na to, że za sprawą trudności na ostatnich pięćdziesięciu kilometrach sonda nie przebędzie szczęśliwie drogi mierzącej trzydzieści sześć tysięcy kilometrów. Ale też ile normalnych samolotów czy statków kosmicznych uległo katastrofie na ostatnich metrach szlaku?

— Wysokość cztery pięć. Mocny wiatr boczny. Znów schodzi z kursu. Trzysekundowy impuls.

— Zgubiłem ją — mruknął zdegustowany Morgan. — Chmury.

— Wysokość cztery zero. Mocny dryf Napięcie podskoczyło do stu pięćdziesięciu, powtarzam, sto pięćdziesiąt procent.

Zupełnie niedobrze. Duval wiedziała, że wytrzymałość drutu sięgała dwustu procent. Jedno szarpnięcie i będzie po wszystkim.

— Wysokość trzy pięć. Wiatr się nasila. Jednosekundowy impuls. Paliwo na ukończeniu. Napięcie waha się, w szczytach do stu siedemdziesięciu.

Jeszcze trzydzieści procent, pomyślała Duval, i nawet ten superdrut nie wytrzyma. Tak jak każdy inny materiał poddany zbyt silnym napięciom.

— Odległość trzy zero. Coraz silniejsze turbulencje. Schodzi mocno w lewo. Nie można obliczyć poprawki, zbyt chaotyczne zakłócenia.

— Mam! — krzyknął Morgan. — Wyszła zza chmury!

— Odległość dwa pięć. Brak paliwa na dalsze korekty kursu. Chybimy około trzech kilometrów.

— Mniejsza z tym! — odkrzyknął Morgan. — Ląduj, gdzie się da! — Jak tylko się da. Odległość dwa zero. Siła wiatru rośnie. Brak stabilizacji. Ładunek zaczyna się obracać.

— Zwolnij hamulec! Odłącz drut!

— Już zrobione — odparł wciąż upiornie spokojny głos. Duval gotowa byłaby sądzić, że to maszyna wygłasza te wszystkie kwestie, ale wiedziała, że Morgan wypożyczył na tę okazję najlepszego kontrolera ruchu z jednej ze stacji kosmicznych. — Awaria przyłączenia. Ładunek obraca się, obecnie pięć obrotów na sekundę. Drut zapewne splątany. Napięcie jeden osiem zero procent. Jeden dziewięć zero. Dwa zero zero. Odległość jeden pięć. Napięcie dwa jeden zero. Dwa dwa zero. Dwa trzy zero.

Wiele już nie wytrzyma, pomyślała Duval. Tylko dwanaście

kilometrów do celu, a ten cholerny drut oplatał wirującą sondę.

— Napięcie zero, powtarzam, zero.

Drut się zerwał i pewnie cofał się teraz powoli ku gwiazdom. Bez wątpienia fachowcy na stacji Ashoka zwiną go jak trzeba, ale Duval liznęła dość teorii by wiedzieć, że będzie to długa i skomplikowana operacja. A mały ładunek spadnie gdzieś na pola czy dżungle Taprobane. Niemniej, jak powiedział Morgan, eksperyment skończył się sukcesem — na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Następnym razem, gdy nie będzie wiatru…

— Jest! — krzyknął ktoś.

Pomiędzy dwoma galeonami chmur zapłonęła nagle jasna gwiazda. Wyglądała jak spadający meteor. O ironio, teraz właśnie zapaliła się flara mająca wskazywać kontroli naziemnej położenie obiektu w ostatniej fazie opuszczania. Cóż, też się przyda. Pomoże zlokalizować szczątki.

Kamerzysta przesuwał obiektyw w ślad za gwiazdą, aż ta minęła górę i zniknęła na wschodzie. Duval oceniła zejście z kursu na mniej niż pięć kilometrów.

— Wracaj do doktora Morgana — poleciła Maxine. — Chcę z nim zamienić słowo.

Zamierzała wyrazić nieco zachwytu, dość głośno, by usłyszał to Marsjanin na wózku, oraz nadzieję, że następnym razem wszystko pójdzie dobrze. Wciąż układała jeszcze w myślach to krótkie wystąpienie, gdy nagle zupełnie co innego zaprzątnęło jej uwagę. Zapis obrazu następnych trzydziestu sekund odtwarzała w późniejszych dniach tyle razy, aż znała go na pamięć. Nawet wtedy jednak nie miała pewności, czy zrozumiała właściwie sens oglądanych zdarzeń.

30. Legiony Kalidasy

Vannevar Morgan przywykł do opóźnień a nawet do niepowodzeń, ale miał nadzieję, że to dzisiejsze okaże się jedynie pomniejszą przeszkodą. Spoglądając na znikający za masywem góry ognisty kształt o wiele bardziej niepokoił się, czy Narodny Mars nie uzna przypadkiem, że właśnie wyrzucił w błoto parę milionów dolarów. Uważny obserwator w wózku na kółkach był raczej niekomunikatywny, zupełnie jakby ziemskie ciążenie paraliżowało mu również mięśnie języka. Jednak tym razem to Marsjanin przemówił pierwszy, nie czekając na kwestię inżyniera.

— Jedno pytanie, panie Morgan. Wiem, że tej wichury miało nie być, a jednak się zdarzyła. A co się stanie, jeśli taki wiatr nadejdzie już po zbudowaniu wieży?

Morgan pospiesznie rozważył sprawę. Na takie pytanie trudno było odpowiedzieć na poczekaniu, zresztą Morgan wciąż jeszcze nie mógł ochłonąć z zaskoczenia.

— W najgorszym razie moglibyśmy wstrzymać na krótko ruch, możliwe byłyby chwilowe odkształcenia struktury… Żaden z wiatrów, jakie zdarzają się na tej wysokości, nie jest w stanie zagrozić samej wieży. Nawet ten cienki drut wytrzymałby, gdybyśmy tylko zdołali go zakotwiczyć.

Miał nadzieję, że to poprawny wniosek. Za kilka minut Warren Kingsley orzeknie, czy rzeczywiście.

— Dziękuję, to właśnie chciałem usłyszeć — odparł z zadowoleniem Marsjanin, a Morganowi wyraźnie ulżyło, niemniej postanowił dokończyć wykładu. — Na górze Pavonis taki problem, rzecz jasna, w ogóle nie powstanie. Powietrze jest tam sto razy mniej…

Takiego dźwięku jeszcze w życiu nie słyszał, ale pewien był, że nigdy go też nie zapomni. Szum wiatru był niczym wobec tego przyzywającego gromu, który z miejsca skojarzył się Morganowi z innym zakątkiem, odległym o połowę świata. Znów stał pod kopułą świątyni Hagja Sofia i spoglądał z podziwem na dzieło człowieka, który zmarł szesnaście stuleci temu. A w uszach dźwięczało mu granie potężnego dzwonu, który wzywał wiernych do modlitwy.

Wspomnienie Istambułu rozwiało się. Znów był na górze, zmieszany i niepomiernie zdumiony.

Jak to powiedział ten mnich? Że nie chciany podarunek Kalidasy ożywał tylko podczas klęsk i katastrof? Ale przecież nic się nie stało, przebieg zdarzeń powinien tylko ucieszyć mnichów. Przez chwilę Morgan pomyślał, że może sonda wyrżnęła w klasztor, ale przecież był to obiekt zbyt mały, by poczynić poważne zniszczenia, poza tym spadł

w odległości kilku kilometrów. Nawet nie tyle spadł, ile wylądował.

Dzwon świątynny wciąż toczył pojedynek z wichurą. Pomarańczowe szaty zniknęły bez śladu. Morgan nie mógł dojrzeć ani jednego mnicha.

Coś musnęło mu delikatnie policzek. Inżynier odruchowo odtrącił to coś. Dobiegający z góry huk nie pozwalał nawet zebrać myśli. Kolejne uderzenia odbijały się echem pod czaszką. Może najlepiej będzie pójść po prostu do świątyni i spytać uprzejmie czcigodnego Thero, co jest grane?

Kolejne jedwabiste dotknięcie… Tym razem Morgan dojrzał kątem oka przebłysk żółci. Wykazując się świetnym refleksem machnął ręką i złapał owo coś.

Zmięty owad przylgnął ciasno do wnętrza dłoni, drżąc w ostatnich sekundach swojego efemerycznego bytowania. Znany Morganowi wszechświat w jednej chwili zawirowali rozsypał się w proch. Oto niespodziewana klęska zamieniła się w jeszcze bardziej nieoczekiwane zwycięstwo. Ale poczucie triumfu nie przyszło, czuł tylko zmieszanie i bezgraniczne zdumienie.

Przypomniał sobie legendę o złocistych motylach. Niesione burzą setki, tysiące owadów trafiły aż na wierzchołek góry. Legiony Kalidasy dotarły w końcu do celu i dopełniły zemsty.

31. Exodus

— Co się stało? — spytał szejk Abdullah. Sam chciałbym wiedzieć, pomyślał Morgan, głośno jednak powiedział:

— Mamy górę, panie prezydencie. To niewiarygodne, jak legenda sprzed dwóch tysięcy lat… — Pokręcił głową, wciąż zdumiony.

— Jeśli dość wielu ludzi uwierzy w legendę, to staje się ona prawdą.

— Zapewne. Ale tu stało się coś więcej. Taki zbieg okoliczności wciąż wydaje mi się nieprawdopodobny.

— Lepiej nie nadużywać tego słowa. Coś panu opowiem. Mój drogi przyjaciel, wielki naukowiec, który już nie żyje, zwykł drażnić się ze mną mówiąc, że ponieważ polityka to sztuka dokonywania rzeczy możliwych, przyciąga jedynie pośledniejsze umysłowości. Bowiem te najlepsze, jak mawiał, interesują się tylko rzeczami niemożliwymi. A wiesz, co mu odpowiadałem?

— Nie — odparł Morgan uprzejmie, chociaż czegoś się domyślał.

— Że to wielkie szczęście, że jest nas aż tylu, bowiem ktoś musi troszczyć się o codzienność tego świata… Tak czy inaczej, niemożliwe jednak miało miejsce, stało się i należy przyjąć ten fakt do wiadomości. Z wdzięcznością.

Przyjmuję, jak najbardziej, pomyślał z wahaniem Morgan. Ale coś jest nie tak z tym światem, jeśli kilka martwych motyli może przeważyć w sprawie wieży o masie miliarda ton. I jeszcze ta szczególna rola, którą odegrał czcigodny Parakarma, rola wybitnie ironiczna. Biedak musiał uznać, że oto stał się igraszką w dłoniach złośliwych bogów. Kontrola Monsunów okazała pełną skruchę i Morgan przyjął ich przeprosiny, gotów zresztą szczerze wybaczyć te i przyszłe grzechy. Wytłumaczenie, że genialny doktor Choam Goldberg do tego stopnia zrewolucjonizował mikrometeorologię, że nikt poza nim samym nie rozumie już, o co w tym wszystkim chodzi, uznał za wystarczające. Szczególnie gdy zameldowano, że znakomity naukowiec przeżywa obecnie poważny kryzys nerwowy, którego nabawił się skutkiem niepowodzenia podczas jednego z osobliwych eksperymentów. Obiecano też, że podobny incydent nigdy się już nie powtórzy. Morgan wyraził zatem jeszcze nadzieję, że szanowny doktor Goldberg rychło przyjdzie do siebie, zaś wyczulony na biurokratyczne subtelności nos inżyniera podpowiedział, iż w takiej sytuacji Kontrola Monsunów może okazać się w najbliższej przyszłości naturalnym sprzymierzeńcem. Szef tej szanownej placówki odetchnął ostatecznie z ulgą, takoż podziękował raz jeszcze i zaczął zastanawiać się zapewne, czemu właściwie Morgan okazał mu tyle wielkoduszności.

— Spytam z ciekawości — odezwał się szejk — gdzie wynoszą się

mnisi? Mogę udzielić im gościny. Nasza kultura zawsze dobrze traktowała innowierców.

— Pojęcia nie mam. Ambasador Rajasinghe też nie wie. Ale gdy o to spytałem, odparł, że krzywda im się nie stanie. To, że żyją oszczędnie, nie znaczy jeszcze, że są biedni.

— Hmm. Może moglibyśmy skorzystać z ich funduszy Ile razy się widzimy, tym bardziej rosną koszty całej imprezy.

— Niedokładnie tak, panie prezydencie. Ostatni kosztorys jest bogatszy jedynie o szacunek jednej operacji w głębokiej próżni. Narodny Mars zgodził się ją sfinansować. Trzeba zlokalizować jakiś asteroid węglowy i skierować go na orbitę Ziemi. W takich operacjachmają już spore doświadczenie, a gdy to zrobią, rozwiążą jeden z naszych najważniejszych problemów.

— A co z węglem dla ich własnej wieży?

— Mają nieograniczony dostęp do zasobów Deimosa, a ten krąży dokładnie tam, gdzie trzeba. Narodny zaczął już prace przy lokalizacji stanowisk wydobywczych, chociaż zasadnicza część zadania i tak będzie musiała odbywać się poza satelitą.

— A mogę spytać czemu?

— Przez grawitację. Nawet Deimos ma te swoje kilka centymetrów na sekundę do kwadratu. Superwłókna mogą powstawać jedynie przy zerowej grawitacji. W przeciwnym razie nie uzyska się idealnej sieci krystalicznej o dostatecznie długich łańcuchach.

— Dziękuję, Van. Mam nadzieję, że nie ryzykuję niczym pytając jeszcze, czemu zmieniłeś pierwotny projekt? Oryginalny pomysł czterech rur całkiem mi się podobał. Dwie do ruchu na dół, dwie do góry. Taki system przypominał mi metro i łatwo trafiał do wyobraźni. Nawet jeśli miał sterczeć pionowo.

Nie po raz pierwszy (i zapewne nie ostatni) Morgana zdumiała doskonała pamięć starszego pana i jego zdolność do rozpracowywania szczegółów. W rozmowie z nim należało zachowywać ostrożność. Chociaż mogło się zdawać, że pyta tylko z czystej ciekawości, była to ciekawość zwodnicza, ciekawość człowieka, który uzyskał tak wysoką pozycję, iż nie musiał już troszczyć się o pozory. Szejk nigdy nie puszczał niczego mimo uszu.

— Obawiam się, że z początku nazbyt zapatrzyliśmy się w ziemskie wzorce. Zupełnie jak ci pierwsi projektanci samochodów, którzy budowali po prostu powozy bez koni. Obecnie myślimy o pustej w środku wieży na bazie kwadratu, każda z płaszczyzn będzie jakby drogą. Szerokość każdego z boków na orbicie wyniesie czterdzieści metrów, przy Ziemi zmaleje do dwudziestu.

— Zupełnie jak stalag… stalak…

— Stalaktyt. Właśnie, że mi to nie przyszło do głowy! Z inżynieryjnego punktu widzenia dobrą analogią byłaby Wieża Eiffla,

tyle tylko, że odwrócona o sto osiemdziesiąt stopni i rozciągnięta sto tysięcy razy.

— Aż tyle?

— Mniej więcej.

— Cóż, mam nadzieję, że żadne prawo nie zakazuje wieży zwisać z nieba.

— Druga będzie budowana z dołu, czyli z orbity synchronicznej, gdzie pojawi się masa kotwicząca całą strukturę i chroniąca ją wobec nieuniknionych napięć. — A stacja środkowa? Mam nadzieję, że tego nie zmieniliście.

— Jest, wciąż w tym samym miejscu, na wysokości dwudziestu pięciu tysięcy kilometrów.

— I dobrze. Wiem wprawdzie, że nigdy się tam nie wybiorę, ale lubię myśleć o tym jako o… — mruknął coś po arabsku. — Wiesz, jest jeszcze jedna legenda, o trumnie Mahometa zawieszonej miedzy niebem a Ziemią. Zupełnie jak stacja środkowa.

— Urządzimy tam przyjęcie na pana cześć, panie prezydencie. To będzie inauguracja linii.

— Nawet jeśli dotrzymacie terminu, a muszę przyznać, że Most Gibraltarski opóźnił się tylko o rok, to będę miał wtedy dziewięćdziesiąt osiem lat Wątpię, czy zdobędę się na podróż.

Aleja owszem, pomyślał Vannevar Morgan. Teraz już wiem, że bogowie mi sprzyjają. Są czy ich nie ma, tacy czy inni, ale sprzyjają.

CZĘŚĆ CZWARTA
Wieża

32. Kosmiczny ekspres

— Tylko nie mów teraz — poprosił Warren Kingsley — że to coś nigdy nie poleci.

— Kusiło mnie, by to właśnie powiedzieć — zachichotał Morgan, przyglądając się makiecie. — To naprawdę przypomina postawiony pionowo wagon kolejowy.

— Właśnie o taki efekt nam chodziło — odparł Kingsley. — Kupujesz bilet na dworcu, oddajesz bagaż, siadasz w rozkładanym fotelu i podziwiasz widoki. Lub też idziesz do restauracyjnego i przez następne pięć godzin konsekwentnie zalewasz robaka, aż wyniosą cię na stacji środkowej. A swoją drogą, co myślisz o pomyśle dekoratorów, by wystylizować całość na dziewiętnastowieczny pullman?

— Taki sobie. Wagony pullmanowskie nie miały okrągłej podłogi i jeździły ustawione w poziomie.

— No to im powiedz. Upierają się, żeby dodać jeszcze gazowe oświetlenie.

— Jeśli chcą uzyskać atmosferę z epoki, to mam coś lepszego. W Muzeum Sztuki w Sydney widziałem kiedyś osobliwy wahadłowiec z okrągłym pokładem obserwacyjnym. Dokładnie jak trzeba.

— Pamiętasz, jak się nazywał?

— Och, niech pomyślę. Coś jakby *Gwiezdne Wojny 2000*. Pewien jestem, że bez trudu go odszukacie.

— Powiem dekoratorom, niech się rozejrzą. A teraz proszę do środka. Chcesz kask? — Nie — mruknął Morgan. Bycie niższym o kilka centymetrów od większości ludzi dawało przynajmniej tę przewagę, że trudniej było zahaczyć głową o przeszkodę.

Z chłopięcą niemal radością weszli do wnętrza makiety. Znali wszystkie jej projekty, widzieli symulacje komputerowe, ale oto było wreszcie coś namacalnego. Owszem, makieta nigdy nie uniesie się nawet o cal nad ziemię, ale pewnego dnia identyczne zewnętrznie kapsuły ruszą ponad chmury, by w ciągu pięciu godzin dotrzeć do stacji środkowej, dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów od Ziemi. I to przy kosztach elektryczności wynoszących ledwie jednego dolara na pasażera.

Nawet teraz wciąż jeszcze trudno było ogarnąć pełne znaczenie nadchodzącej rewolucji. Po raz pierwszy przestrzeń kosmiczna stanie się równie dostępna, jak każdy punkt na powierzchni Ziemi. Za kilka dziesięcioleci weekend na Księżycu stanie się rzeczą osiągalną dla każdego, łatwiej też będzie dostać się na Marsa. Trudno określić, gdzie przebiegną nowe granice możliwości.

Morgan boleśnie wrócił na Ziemię, potykając się o niedbale

ułożony dywan.

— Przepraszam — powiedział przewodnik — ale to jeszcze jeden genialny pomysł działu dekoratorskiego. Zieleń ma przypominać ludziom Ziemię. Sufit ma być niebieski, na dolnych kondygnacjach seledynek, ciemny granat na górnych. Oświetlenie pośrednie, z blaskiem rozproszonym, by dobrze było widać gwiazdy.

Morgan pokręcił głową.

— Ciekawy pomysł, ale to nie zadziała. Przy świetle dość silnym, by móc czytać, gwiazdy znikną i tak. Potrzebny będzie jeden kompletnie zaciemniony przedział.

— Część baru ma być zaciemniona. Możesz zamówić drinka i zaciągnąć kotarę za plecami.

StaK na najniższym poziomie kapsuły, w okrągłym pomieszczeniu o średnicy ośmiu metrów, wysokim na trzy metry. Wszędzie wkoło widniały pudła, cylindry i tablice kontrolne noszące takie napisy, jak: REZERWA TLENU, AKUMULATORY, POCHŁANIACZ CO2, APTECZKA, TERMOSTAT. Wszystko to była, rzecz jasna, prowizorka zrobiona tak, byle tylko rzucać się w oczy. — Ktoś mógłby pomyśleć, że budujemy statek kosmiczny — powiedział Morgan. — A na marginesie, jaki czas przetrwania gwarantuje ten pojazd?

— Póki starczy mocy, przynajmniej tydzień i to nawet przy pełnym obciążeniu piętnastoma pasażerami. Ale to i tak przesada, zespoły ratownicze z Ziemi czy ze stacji środkowej mogą dotrzeć do kapsuły góra w trzy godziny.

— Chyba że dojdzie do większej katastrofy, jak zniszczenie wieży czy samych ciągów.

— Gdyby do tego doszło, to chyba nie byłoby kogo ratować. Jeśli jednak kapsuła utknie z jakiegoś powodu na szlaku, a pasażerowie nie oszaleją i nie pożrą od razu wszystkich awaryjnych racji żywnościowych w tabletkach (wyjątkowe świństwo), to głównym ich kłopotem będzie nuda.

Drugi poziom był całkiem pusty, brak było nawet tymczasowego wyposażenia. Ktoś wymalował na zakrzywionej plastikowej ścianie spory prostokąt i napisał w środku: ŚLUZA?

— To będzie przedział bagażowy, chociaż wciąż nie wiemy, czy powinien być taki duży. Jeśli nie, to pomieści się tu jeszcze paru pasażerów. Teraz na górę, tam jest o wiele ciekawiej…

Na trzecim poziomie stało kilka foteli lotniczych, każdy inny. W dwóch siedziały całkiem realistycznie wykonane manekiny, męski i żeński. Oba wyglądały na mocno znudzone.

— W zasadzie wybraliśmy już ten model — powiedział Kingsley, wskazując na komfortowy rozkładany fotel z małym stoliczkiem. — Najpierw jednak musimy wykonać wszystkie testy.

Morgan uderzył pięścią w poduchę fotela.

— A czy ktoś próbował już przesiedzieć w nim pięć godzin?

— Tak, pewien stukilowy ochotnik. Nie nabawił się odleżyn. Jeśli ktoś będzie narzekał, to usłyszy opowieść o pionierskich dniach awiacji, kiedy pięć godzin trwała sama podróż przez Pacyfik. Poza tym oferujemy przecież przez większość drogi komfortowe warunki bezgrawitacyjne.

Następny poziom był niemal identyczny, tylko w fotelach nikt nie siedział. Minęli go i dotarli wyżej, gdzie skupiła się najwyraźniej większość atrakcji.

Bar wyglądał jakby był czynny, i rzeczywiście, działał nawet automat do kawy. Ponad nim, na starannie pozłoconej płycie widniało coś, co aż zaparło Morganowi dech w piersiach. W górnym lewym rogu dominował Księżyc w pełni, a ku niemu pędził pociąg złożony z lokomotywy i czterech wagonów. Z okien pierwszej klasy wyglądali pasażerowie w wiktoriańskich strój ach.

— Gdzie to zdobyłeś? — spytał Morgan zdumiony i zachwycony zarazem.

— Chyba tablica z podpisem znów czemuś odleciała — powiedział Kingsley tonem przeprosin i zajrzał za kontuar. — O, jest!

Wręczył Morganowi plastikową kartę z wykonanym starym krojem czcionki napisem:

ARMATNIE POCIĄGI NA KSIĘŻYC
rycina pochodząca z książki
Z ZIEMI NA KSIĘŻYC
w 97 godzin i 2O minut
autorstwa Juliusza Veme'a
(wydanie z roku 1881)

— Wstyd się przyznać, ale nigdy tego nie czytałem — powiedział Morgan, obejrzawszy plakietkę. — A szkoda, bo oszczędziłoby mi to wielu kłopotów. Ale ciekawe, jak on wyobrażał to sobie bez szyn…

— Pomysłów pana Juliusza nie należy traktować zbyt dosłownie. Ten obrazek też miał być tylko przenośnią albo żartem ilustratora.

— Dobra, przekaż dekoratorom moje gratulacje. To jeden z najlepszych ich pomysłów.

Zostawiając w spokoju marzenia przodków, Morgan i Kingsley zajęli się przyszłością. Wielki ekran zastępujący na razie okno ukazywał obraz w dole. Morgan odnotował z satysfakcją, że nie był to byle jaki obraz Ziemi, ale obraz właściwy, czyli cały Półwysep Dekanu oraz ośnieżone szczyty Himalajów. Samej Taprobane nie było widać, jako że powinna znajdować się bezpośrednio pod podłogą.

— Wiesz — powiedział nagle inżynier — to będzie zupełnie tak,

jak z mostem. Ludzie będą chcieli się przejechać po to tylko, by ujrzeć Ziemię z góry. Stacja środkowa stanie się największą w dziejach atrakcją turystyczną. — Spojrzał na lazurowy sufit. — Warto zaglądać na ostatni poziom? — Chyba nie. Górna śluza powietrzna jest gotowa, ale nie zdecydowaliśmy jeszcze, gdzie umieścić system podtrzymywania życia i elektronikę trakcji.

— Są z tym jakieś problemy?

— Od kiedy mamy te nowe magnesy, to żadnych. Czy w górę, czy w dół, gwarantujemy pełne bezpieczeństwo aż do szybkości ośmiu tysięcy kilometrów na godzinę, czyli pięćdziesiąt procent ponad maksymalną projektowaną prędkość podróży.

Morgan odetchnął w duchu. Była to jedyna dziedzina, w której zupełnie nie czuł się kompetentny i musiał całkowicie polegać na opinii innych. Od początku było jasne, że przy takich szybkościach sprawdzać się będzie jedynie napęd magnetyczny, bowiem najmniejszy fizyczny kontakt z nośnikiem musiałby spowodować katastrofę. Cztery zaś pary ciągów wiodących umieszczone na czterech ścianach wieży miały być odległe jedynie o centymetry od potężnych magnesów kapsuł, trzeba było zatem zaprojektować wszystkie systemy trakcyjne jako wysokoenergetyczne, zdolne do momentalnego korygowania jakichkolwiek zboczeń kapsuły.

Schodząc za Kingsleyem po spiralnych schodkach biegnących przez całą wysokość kapsuły, Morgan poczuł nagle, że nachodzą go ponure myśli. Starzeję się, mruknął pod nosem. Owszem, mógłbym spokojnie wdrapać się na szósty poziom, ale dobrze, że nie musiałem.

Ale mam przecież dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat, a jeśli wszystko dobrze pójdzie, to pierwsi pasażerowie pojadą do stacji środkowej już za pięć lat. Potem jeszcze trzy lata testów, kalibracja i dostrojenie systemu. Dla wszelkiej pewności powiedzmy, że całość ruszy za dziesięć lat…

Wprawdzie było ciepło, ale nagle dostał dreszczy. Po raz pierwszy dotarło do Vannevara Morgana, że czas triumfu nadszedł za późno. Bezwiednie przycisnął dłoń do miejsca na piersi, gdzie pod koszulą krył się cienki metalowy dysk.

33. CZUWA

— Dlaczego zwlekał pan z tym aż tak długo? — spytał doktor Sen tonem wymówki.

— Tak wyszło — odparł Morgan, przesuwając zdrowym kciukiem po szwie koszuli. — Ciągle jest coś do zrobienia. Zresztą myślałem, że zadyszka jest wynikiem rozrzedzonego powietrza.

— To też miało swoje znaczenie. Lepiej niech pan podda badaniom cały swój personel w górach. Jak mógł pan ignorować tak oczywiste sygnały?

Pojęcia nie mam, pomyślał Morgan z niejakim zakłopotaniem.

— Ci wszyscy mnisi, niektórzy mają ponad osiemdziesiątkę! Wyglądali na tak zdrowych, że pomyślałem…

— Mnisi mieszkają tam od łat, zaadaptowali się. A pan jeździł sobie w górę i w dół, czasem kilka razy dziennie…

— Góra dwa razy dziennie…

— Od poziomu morza do połowy wysokości ścisłej pokrywy atmosferycznej. I to w kilka minut: W zasadzie nie jest jeszcze tak źle. I nic się nie stanie, jeśli posłucha pan moich rad. Moich i CZUWA.

— CZUWA?

— Czujnika wieńcowego.

— Ach, jeden z tych genialnych wynalazków…

— Właśnie, jeden z tych genialnych wynalazków. Uratował już około dziesięciu milionów istnień ludzkich. Głównie wyso — kich urzędników, różne znane osoby publiczne, szczególnie zapracowanych naukowców, wziętych inżynierów i tym podobnych kretynów. Czasem zastanawiam się, czy warto było się w ogóle dla nich fatygować. Może to natura usiłuje nam coś powiedzieć w ten sposób, tylko my nie słuchamy.

— Nie zapominaj o przysiędze Hipokratesa, Bili — skrzywił się Morgan. — Musisz przyznać, że zawsze pilnie cię słuchałem. Od dziesięciu lat utrzymuję tę samą wagę.

— Hmmm… Przyznaję, że nie jesteś najgorszym z moich pacjentów — powiedział nieco udobruchany doktor i wyszukał w biurku mały projektor holo. — Popatrz sobie, to standardowe modele. Możesz wybrać dowolny kolor, pod warunkiem że będzie to kolor Czerwonego Krzyża.

Morgan przyjrzał się obrazkom z niesmakiem.

— I gdzie ja mam to nosić? A może to trzeba wszczepić?

— Nie trzeba, przynajmniej na razie. Może za pięć lat, ale też niekoniecznie. Na początek proponuję ten model, nosi się go bezpośrednio pod mostkiem i nie trzeba zdalnego sterowania. Szybko przestaniesz zauważać, że coś tam jest. Jak długo wszystko będzie w

porządku, słowem się nie odezwie.

— A gdyby?

— Słuchaj.

Doktor wcisnął jeden z przycisków na biurku.

— Proponuję, aby pan usiadł i odpoczął z dziesięć minut — odezwał się całkiem spokojny sopran. — Dobrze będzie położyć sięnagodzinę — dodał po chwili i znów umilkł na kilka sekund. — Gdy tylko poczuje się pan trochę lepiej, proszę skontaktować się z doktorem Senem. — Znów przerwa. — Proszę natychmiast wziąć jedną z czerwonych tabletek. Wezwałam już pogotowie. Proszę leżeć spokojnie. Wszystko będzie w porządku.

Morgan miał ochotę zakryć uszy, bowiem nagle rozległ się przenikliwy gwizd.

— TU ALARM CZUJNIKA WIEŃCOWEGO. WZYWAM KAŻDEGO KTOKOLWIEK MNIE SŁYSZY. TU ALARM CZUJNIKA WIEŃCOWEGO. KTOKOLWIEK…

— Chyba wiesz, jak to działa — powiedział doktor, wyłączając wyjca. — Oczywiście cały tekst może zostać przeprogramowany, zależnie od osoby. Może też zmienić głos, na przykład na głos jakiejś znanej osobistości. — To bardzo miłe. Kiedy będziesz miał jedno takie dla mnie?

— Może za trzy dni. A, jeszcze jedno. Te zestawy, które nosi się na piersi, bywają przydatne i w innych sytuacjach.

— Jakich niby?

— Jeden z moich pacjentów jest wziętym tenisistą. Mówi, że ile razy rozpina koszulę na korcie, to widok małego czerwonego pudełka przymocowanego do piersi kompletnie rozprasza przeciwnika…

34. Zawrót głowy

Był kiedyś taki czas, że powinnością każdego cywilizowanego człowieka, czasem bagatelizowaną, czasem nader istotną, było nieustanne aktualizowanie swoich danych we wszystkich kartotekach. Ostatecznie wprowadzenie kodów uniwersalnych uczyniło takie zabiegi niepotrzebnymi, jako że każdy człowiek otrzymywał ten sam numer na całe życie i można go było zawsze bez trudu w kilka sekund zlokalizować. Nawet jeśli ktoś nie znał numeru osoby poszukiwanej, program wyszukujący potrzebował tylko kilku danych, jak data urodzenia, zawód i jeszcze paru, by delikwenta wytropić (chociaż i tak nadal bywały problemy z nazwiskami takimi jak Smith, Singh czy Mohammed…). Rozwój światowej sieci informatycznej zmienił jeszcze jedno. Gdy chciało się przyjaciołom czy krewnym przesyłać co roku życzenia, wystarczało zaprogramować rzecz w domowym komputerze, a ten pilnował tego przez całe lata. We właściwym dniu stosowne życzenia trafiały do odpowiedniej osoby (o ile, rzecz jasna, nie popełniono jakiegoś oczywistego błędu w programowaniu, a to zdarzało się dość często). Nawet wtedy jednak, gdy adresat dokładnie wiedział, iż widniejące na ekranie ciepłe słowa zawdzięcza psikusowi elektroniki, bowiem ludzki nadawca od lat się nie odzywał, to i tak zwykle każdemu było miło.

Wszelako te same nowinki techniczne, które wyeliminowały jedne obowiązki, stworzyły nowe powinności, których przód — kowie nie znali. Jedną z nich, być może najważniejszą, był tak zwany Osobisty Profil Zainteresowań.

Większość ludzi uaktualniała listę OPZ w dzień Nowego Roku, inni w urodziny. Lista Morgana zawierała pięćdziesiąt haseł, ale i tak słyszał o ludziach, którzy wpisywali z setkę punktów. Chyba musieli potem spędzać całe godziny, próbując uporać się z napływającym potokiem informacji, aż w końcu upodabniali się do tych niepoprawnych maniaków, którzy z całym przekonaniem umieszczali wciąż w swoich komputerach hasła typu:

Jaja, dinozaury; wyklucie jaj dinozaurów
Kolo; kwadratura koła
Atlantyda; wynurzenie się Atlantydy
Chrystus; drugie nadejście Chrystusa
Potwór z Loch Ness; pojmanie potwora z lach Ness

No i, rzecz jasna:

Świat; koniec świata

Egotyzm czy wymogi profesji sprawiały zwykle, że pierwszym hasłem na każdej liście było imię i nazwisko jej autora i subskrybenta informacji. Morgan nie był pod tym względem wyjątkiem, ale ciąg dalszy był nieco mniej standardowy:

Wieża; orbitalna wieża
Wieża; kosmiczna wieża
Wieża; (geo)synchroniczna wieża
Wyciąg; kosmiczny wyciąg
Wyciąg; orbitalny wyciąg
Wyciąg; (geo)synchroniczny wyciąg

Hasła te pokrywały się w zasadzie z terminologią stosowaną przez media i gwarantowały przechwycenie przynajmniej dziewięćdziesięciu procent informacji dotyczących projektu. W większości były to teksty tak trywialne, że nie było sensu w ogóle ich czytać, tym łatwiej jednak było wyłowić materiał naprawdę interesujący. Przecierając jeszcze oczy i chowając łóżko do ściany skromnego apartamentu, Morgan zauważył migające światełko „przeglądu prasy" na konsoli komputera. Wcisnął jednocześnie dwa przyciski, jeden opatrzony napisem KAWA, drugi z napisem ODCZYT.

ZESTRZELENIE WIEŻY ORBITALNEJ

głosił nagłówek.

— Odtwarzać dalej? — spytał komputer.

— Jasne — mruknął Morgan, trzeźwiejąc błyskawicznie.

W ciągu następnych kilku sekund, kiedy czytał tekst, jego nastrój zmienił się z niedowierzania w oburzenie, a potem w niepokój. Przesłał cały nabój Warrenowi Kingsleyowi z dopiskiem: „Oddzwoń, gdy tylko będziesz mógł", wyłączył maszynkę, i wciąż jeszcze wzburzony zasiadł do śniadania.

Oblicze Kingsleya pojawiło się na ekranie niecałe pięć minut później.

— Cóż, Van — powiedział z ironiczną rezygnacją — winniśmy i tak uważać się za szczęściarzy. Potrzebował aż pięciu lat, by znaleźć

coś na nas.

— Ależ to największa niedorzeczność, jaką kiedykolwiek słyszałem! Zignorujemy go chyba? Jeśli odpowiemy, tylko przysporzymy mu popularności. A tego właśnie pragnie.

Kingsley przytaknął.

— Chyba najlepiej będzie milczeć. Przynajmniej na razie. Nasza reakcja powinna nastąpić później i być nieproporcjonalnie gwałtowna wobec zarzutów. Przy okazji zdobędziemy kilka punktów.

— O czym myślisz?

Kingsley spoważniał nagle i jakby nieco się speszył.

— To kwestia nie tylko inżynierii, ale także i psychologii. Przemyśl to sobie. Zobaczymy się w biurze.

Obraz zniknął. Morgan uspokoił się już znacznie. Przywykł do krytyki i wiedział, jak sobie z tym radzić, czasem nawet bawiła go walka na argumenty, pod warunkiem że były to argumenty merytoryczne. Rzadko przegrywał w takim pojedynku, a i wtedy nie wpadał w desperację. Jednak Donald Duck nie był normalnym przeciwnikiem. Donald Duck było pseudonimem, ale doktor Donald Bicker-staff zdradzał pewne podobieństwo do tej mitycznej postaci z dwudziestowiecznych kreskówek. Z Kaczorem Donaldem łączyła go przede wszystkim podobnie żarliwa skłonność do negacji wszelkiej rzeczy. Jego stopień naukowy (zdobyty legalnie, chociaż bez fanfar) dotyczył czystej matematyki. Głównymi atutami doktora były głos i niezachwiana wiara w słuszność wszystkich sądów, które ochoczo ferował. Specjalizował się w robieniu dobrego wrażenia, przy świętym przekonaniu, że zna się absolutnie na wszystkim. W swej własnej dziedzinie był rzeczywiście dobry, Morgan z przyjemnością wspominał jego wykłady w Royal Institution. Niemal tydzień wystarczył, aby inżynier bliski był zrozumienia szczególnych własności liczb ponadskończonych…

Niestety, Bickerstaff nie uznawał żadnych ograniczeń. Miał wprawdzie szerokie grono wielbicieli, łowiących każde jego słowo, jednak krąg krytyków był o wiele szerszy. W dawnych czasach nazwano by go zapewne „naukowcem” lub „pop-naukowcem”. Lepiej wychowani krytycy twierdzili jedynie, że oto mamy przykład doktora, który otrzymał wykształcenie przerastające znacznie jego inteligencję i zdolność pojmowania, inni nie bawili się w Wersal i wprost nazywali go idiotą. Jaka szkoda, pomyślał Morgan, że nie da się zamknąć tego typa w jednym pokoju z Goldbergiem/Parakarmą, może wówczas unicestwiliby się nawzajem jak elektron i pozytron, geniusz jednego kontra fundamentalistyczna głupota drugiego winny dać zero. Była to ta sama niewzruszona i odporna na wszystko głupota, wobec której, jak lamentował niegdyś Goethe, nawet bogowie pozostawali bezradni, nie mogąc głupców zadowolić. Ponieważ jednak obecnie nie było pod

ręką żadnego boga, Morgan miał świadomość, że przyjdzie mu stawić czoło imbecylowi osobiście. Owszem, miał lepsze rzeczy do roboty, ale liczył na ostateczny komiczny efekt, który powinien uwolnić go od maniaka. Znalazł też pewien inspirujący precedens.

Na ścianie zajmowanego akurat pokoju hotelowego (czwartego już „tymczasowego domu" od prawie dekady) powiesił kilka obrazków. Najciekawszy z nich był fotografią tak wyblakłą, iż niektórzy nie dowierzali, że przedstawia ona prawdziwy obiekt. Był na niej piękny i wspaniale odrestaurowany paro — wiec, przodek wszystkich statków ery techniki. Tuż obok stał doktor Vannevar Morgan. Zdjęcie wykonano w doku, do którego statek wrócił cudownym zrządzeniem losu w sto dwadzieścia piec lat od chwili wodowania. Inżynier spoglądał na wolutę pomalowanego dziobu, zaś kilka metrów dalej, przyglądając się tajemniczo Morganowi, stał Isambard Kingdom Brunel — z dłońmi w kieszeniach, cygarem w ustach, w poplamionym i wymiętym garniturze na grzbiecie.

Wszystkie elementy tej fotografii były prawdziwe. Morgan naprawdę stanął niegdyś obok kadłuba parowca *Great Britain.* Było to pewnego słonecznego dnia, kiedy w rok po ukończeniu Mostu Gibraltarskiego odwiedził Bristol. Brunel też tam był, ale w roku 1857, oczekiwał wtedy wciąż na zwodowanie swego ostatniego i najsłynniejszego morskiego lewiatana, którego niepowodzenie miało złamać mu karierę i skrócić życie.

Morgan dostał to zdjęcie w dniu swoich pięćdziesiątych urodzin i od tamtej pory było jednym z jego najcenniejszych skarbów. Koledzy, którzy dobrze wiedzieli o podziwie Morgana dla tamtego, dziewiętnastowiecznego inżyniera, zdecydowali się na sympatyczny żart, jednak czasem Vannevar zastanawiał się, czy nie trafili w sedno sprawy dokładniej niż zamierzali. Przecież *Great Eastern* pożarł swego twórcę. Wieża mogła uczynić to samo z Morganem.

Brunel był dosłownie otoczony Kaczorami Donaldami wszelkiej maści. Najgłośniejszym z nich był niejaki doktor Dionizius Lardner, który ponad wszelką wątpliwość udowodnił, że żaden parowiec nigdy nie pokona Oceanu Atlantyckiego. Każdy inżynier może obalić krytykę zasadzającą się na pomyłkach czy błędnych obliczeniach, jednak sprawa podniesiona przez Kaczora Donalda była zbyt ulotna, by odeprzeć ją tym sposobem. Morgan nagle zrozumiał, że jego ulubiony bohater musiał trzy wieki temu borykać się dokładnie z tym samym.

Sięgnął do podręcznego księgozbioru bezcennych tomów i wydobył pozycję czytaną zapewne o wiele więcej razy niż jakakolwiek inna — klasyczną już biografię Rolta: *Isambard Kingdom Brunel.* Kartkując podniszczone stronice szybko znalazł inkryminowany fragment.

Brunel zamierzył budowę długiego na prawie trzy kilometry

tunelu kolejowego, co uznano za pomysł „potworny, niezwykły, niebezpieczny i niepraktyczny". To niemożliwe, powiadali krytykanci, by jakikolwiek człowiek zdołał przebyć takie styksowe otchłanie. „Nikt nie zapragnie świadomie odciąć się od światła dnia wiedząc jakie masy ziemi mogą zgnieść go w razie wypadku… Huk stwarzany przez dwa mijające się pociągi starga nerwy… Nikt, kto raz przejechał tunel, nie zapuści się weń po raz wtóry…"

Wszystko to było dziwnie znajome. Motto wszelkich Lardnerów i Bickerstaffów zdawało się brzmieć: „Nigdy nie ma pierwszego razu".

I owszem, czasami mieli rację, co było zgodne z teorią prawdopodobieństwa. Zresztą, Kaczor Donald wywodził swoje racje tak rzeczowo… Zaczął od skromnego, ale i fałszywego stwierdzenia, że w żadnym przypadku nie zamierza krytykować technicznej strony pomysłu wyciągu kosmicznego, chce tylko zwrócić uwagę na mogące powstać przy tej okazji kwestie psychologiczne. Można je określić jednym terminem: zawrót głowy. Normalny człowiek ma lęk wysokości, tylko akrobaci i alpiniści potrafią opanować ten naturalny odruch. Najwyższe istniejące na ziemi struktury mierzą niecałe pięć kilometrów wysokości, a i tak niewielu ludzi gotowych byłoby wjechać na szczyt słupów Mostu Gibraltarskiego.

Tego wszystkiego nijak nie można porównać z projektem wieży orbitalnej. „Każdemu zdarzyło się kiedyś — dowodził Bickerstaff — stanąć u stóp wysokościowca, zadrzeć głowę w górę i patrzeć na fasadę tak długo, aż zdawało się, że budowla chwieje się i zaraz runie. A teraz proszę wyobrazić sobie gmach przebijający chmury i wznoszący się w czerń pustki kosmicznej, poza jonosferę, poza orbity wielkich stacji kosmicznych, aż na istotny ułamek drogi do Księżyca! Bez wątpienia, jest to triumf myśli inżynierskiej, ale równocześnie jest to zmora z najczarniejszych snów. Podejrzewam, że niektórzy gotowi będą popaść w obłęd ledwie ujrzawszy tę budowlę. A ilu szaleństwo dopadnie po drodze? Prosto w górę, ku pustce, a pierwszy przystanek dopiero po dwudziestu pięciu tysiącach kilometrów, na stacji środkowej…

Stwierdzenie, że ludzie z powodzeniem latają w kosmos na pokładach rakiet, nie jest żadną odpowiedzią. Wtedy wszystko wygląda zupełnie inaczej i przypomina raczej zwykły lot atmosferyczny. Normalny człowiek nie doznaje zawrotu głowy nawet w otwartej gondoli balonu płynącego kilka kilometrów nad Ziemią. Ale postawcie go na skraju wysokiego urwiska i popatrzcie, jak wtedy zareaguje!

Przyczyna tej różnicy jest prosta. W samolocie nie istnieje fizyczna więź między obserwatorem a Ziemią. Nie ma też więzi psychicznej, obserwator wie, że nie stoi na solidnym gruncie, że Ziemia jest daleko w dole. Upadek go nie przeraża, bowiem patrzy na

pomniejszony krajobraz. Nie śmiałby tak spoglądać stojąc na dachu wysokościowca. Tego jednego elementu komfortu psychicznego kosmiczny wyciąg nie dostarczy. Bezradny pasażer sunący wzdłuż ściany gigantycznej wieży będzie cały czas świadom swej więzi z Ziemią. Czy istnieje jakakolwiek pewność, że ktokolwiek zdoła przebyć cały i zdrowy taką podróż, o ile wcześniej nie nafaszeruje się go środkami uspokajającymi czy otępiającymi, czy wręcz nie poda mu się narkozy? Wzywam doktora Morgana, by odpowiedział na to pytanie".

Doktor Morgan zastanawiał się jeszcze nad odpowiedzią (mało uprzejmych wyrazów przychodziło mu przy tym do głowy), gdy znów zapaliło się światełko komputera. Gdy przyjął połączenie, ujrzał Maxine Duval.

— No i co, Van? — spytała bez wstępów. — Co zamierzasz zrobić?

— Kusi mnie, by mu odpowiedzieć, ale nie zamierzam kłócić się z idiotą. A swoją drogą nie sądzisz, że mógł zostać podpuszczony przez jakąś firmę przewozów orbitalnych?

— Moi ludzie już to sprawdzają, dam ci znać, gdyby coś znaleźli. Osobiście mam wrażenie, że to jego własny pomysł. Tekst nosi wszelkie znamiona jego typowego bełkotu. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Jeszcze nie zdecydowałem. Na razie próbuję strawić śniadanie. A co byś proponowała?

— To proste. Przeprowadź małą demonstrację. Kiedy możesz to zorganizować?

— Jak dobrze pójdzie, to już za pięć lat.

— Nie wygłupiaj się. Pierwsze kable są już na miejscu…

— Jeszcze nie kable, to ledwie taśmy…

— Mniejsza z tym. Jaki mają udźwig?

— Och, na ziemskim końcu ledwie pięćset ton. — I starczy. Zaproponuj Kaczorowi przejażdżkę.

— Nie mogę zagwarantować mu pełnego bezpieczeństwa.

— A gdybym to ja chciała się przejechać?

— Nie mówisz poważnie!

— Tak wczesnym świtem nie stać mnie na żarty. Tak czy tak, pora na nowy materiał o wieży. Ta makieta kapsuły jest zaiste wspaniała, ale nie chce ruszyć z miejsca. Moi widzowie pragną akcji, ja też. Ostatnim razem pokazałeś mi szkice takich małych samochodzików, którymi inżynierowie będą jeździć po kablu, to znaczy po taśmie. Jak je nazwaliście?

— Pająki.

— Brrr. O to chodziło. Bardzo mi się spodobały. Oto coś, co nigdy dotąd nie było możliwe. Dzięki nowoczesnej technologii można usiąść

wygodnie i ruszyć windą przez niebo a potem poza atmosferę i obejrzeć sobie Ziemię w dole. Żaden statek kosmiczny nie dostarczy takich wrażeń. Chcę jako pierwsza opisać, jak to jest. I podciąć w ten sposób skrzydełka Kaczorkowi.

Morgan odczekał całe pięć sekund, podczas których patrząc Maxine prosto w oczy nabierał przekonania, że dziewczyna w rzeczy samej mówi całkiem poważnie.

— Rozumiem — odparł zmęczonym głosem — że jesteś tylko dziennikarką starającą się ze wszystkich sił utrzymać pozycję i zdobyć nazwisko, przez co gotowa jesteś wykorzystać taką okazję. Nie chcę być odpowiedzialny za nagłe zakończenie tak obiecującej kariery. Zdecydowanie odmawiani.

Posunięta nieco w leciech dziennikarka wycedziła kilka słów nie przystojących ani damie, ani nawet dżentelmenowi, przynajmniej w rozmowie prowadzonej za pośrednictwem ogólnodostępnej sieci.

— Zanim uduszę cię tym twoim superwłóknem, Van, możesz mi jeszcze powiedzieć, czemu właściwie nie?

— Gdyby coś poszło nie tak, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

— Daruj sobie te krokodyle łzy. Oczywiście, mój wypadek byłby prawdziwą tragedią, głównie zresztą dla twojego projektu. Ale ruszę dopiero po ukończeniu wszystkich koniecznych testów, gdy rzecz będzie w stu procentach bezpieczna.

— Nadal nazbyt wygląda mi to na kaskaderkę. — Ludzie z epoki wiktoriańskiej, czy elżbietańskiej, nie pamiętam, mówili w takich razach: dobra, i co z tego?

— Słuchaj Maxine, właśnie podali, że Nowa Zelandia zatonęła, mogą potrzebować cię w studiu. Ale dziękuję za szczodrą propozycję.

— Doktorze Vannevarze Morgan. Wiem dokładnie, czemu mi pan odmawia. To pan chce być tym pierwszym.

— Jak mówili za królowej Wiktorii: i co z tego?

— *Touche*. Ale ostrzegam cię, Van, gdy tylko uruchomicie pierwszego pająka, znów się odezwę.

Morgan pokręcił głową.

— Przykro mi, Maxine. W żadnym razie…

35. Gwiezdny Szybowiec osiemdziesiąt lat później

Wyjątek z pozycji *Bóg i Gwiezdny Ostrów*
(Mandala Press, Moskwa, 2149)

Dokładnie osiemdziesiąt lat temu automatyczny próbnik międzygwiezdny znany jako Gwiezdny Szybowiec wniknął do Systemu Słonecznego i nawiązał krótki acz historyczny kontakt z rasą ludzką. Po raz pierwszy utwierdziliśmy się w tym, co zawsze podejrzewaliśmy: nie jesteśmy jedyną inteligentną rasą we wszechświecie, są wśród gwiazd cywilizacje i starsze, i zapewne o wiele mądrzejsze od nas.

Po tym spotkaniu nic nie mogło zostać takim samym. A jednak, paradoksalnie, niewiele się zmieniło, ludzie nadal tak samo zajmują się swoimi sprawami, jak zawsze od wieków. Jak często nachodzi nas refleksja, że mieszkańcy Gwiezdnego Ostrowia wiedzą już od dwudziestu ośmiu lat o naszym istnieniu i że prawie na pewno przez przestrzeń biegnie już adresowany do nas sygnał, który odbierzemy za niecałe dwadzieścia cztery lata? A może nawet, jak sugerują niektórzy, oni sami osobiście lecą już do nas?

Człowiek posiada niezwykłą zdolność (szczęśliwie ją posiada) przywykania do najdziwniejszych nawet możliwych perspektyw przyszłości. Rzymski rolnik uprawiający swe poletko u stóp Wezuwiusza nie zwracał uwagi na dymiącą górę. Połowę dwudziestego wieku przeżyliśmy w cieniu bomby wodorowej, połowę wieku dwudziestego pierwszego w niemiłym towarzystwie wirusa golgoty. Nauczyliśmy się trwać w obliczu ciągłego zagrożenia lub też nadziei. Na przykład nadziei na kontakt z Gwiezdnym Ostrowem. Szybowiec przekazal nam obrazy z wielu dziwnych światów, pokazał wiele ras, nie ujawnił jednak niemal niczego na temat zaawansowanej technologii, tym samym jego wpływ na techniczny aspekt naszego życia był minimalny. Czy uczynił tak przypadkiem, czy też była to świadoma decyzja? Wciąż pojawia się wiele pytań, które chcielibyśmy zadać Gwiezdnemu Szybowcowi, ale pojawiają się one za późno. Albo za wcześnie.

Z drugiej strony, chętnie podejmował dysputy na tematy filozoficzne i teologiczne, przez co wywarł spore piętno na rozwoju tych dziedzin. Wprawdzie nigdy nie powiedział tego

wprostjednak to jemu zawdzięczamy znany powszechnie aforyzm: „Wiara w Boga jest wynikiem sposobu rozmnażania się ssaków”.

Ale czy to prawda? W ciągu dalszym dzieła wykażę, że tak naprawdę cala ta kwestia ma się nijak do pytania o istnienie Boga…

Swami Krisnamurthi (doktor Choam Goldberg)

36. Okrutne niebo

Taśma była o wiele lepiej widoczna w nocy, niż za dnia. Po zachodzie słońca, kiedy zapalały się na niej światła ostrzegawcze, przypominała cienką świetlistą wstęgę, wznoszącą się ku nieskończoności i niknącą w jakimś punkcie nieba na tle rozmigotanych gwiazd.

Już teraz można ją było uznać za największe dziwo tego świata. Aż do chwili, gdy Morgan pojawił się na miejscu osobiście i zaostrzył znacznie rygory, na teren budowy docierały niezliczone rzesze „pielgrzymów" (jak ktoś ich ironicznie ochrzcił) składających hołd ostatniemu cudowi Świętej Góry.

Wszyscy goście zachowywali się w ten sam sposób. Najpierw podchodzili, aby dotknąć nieśmiało szerokiej napięć centymetrów taśmy, z osobliwym szacunkiem traktując materię opuszkami palców. Potem próbowali przyciskać uszy do gładkiej i chłodnej wstęgi, jakby mieli nadzieję usłyszeć muzykę sfer niebieskich. Niektórzy nawet twierdzili, że dobiegło ich jakieś głębokie, basowe buczenie na skraju słyszalnego pasma, ale wszystko to były złudzenia. Nawet najwyższe częstotliwości drgań superdługjej wstęgi pozostawały daleko poniżej skali możliwości ludzkiego ucha. Inni jeszcze odchodzili, kręcąc głowami i powtarzając: „Nigdy mnie nie zmusicie, bym pojechałpo czymś takim!" Jednak historia pamiętała wielu podobnych ludzi, to samo powiadających o rakietach i wahadłowcach, a wcześniej o aeroplanach, samochodach, pociągach z parową lokomotywą… Takim sceptykom odpowiadano zwykle: „Nie ma się czego bać, to dopiero pierwsza z czterech taśm, które ściągną właściwą strukturę na Ziemię. Podróż gotową wieżą nie będzie się niczym różnić od jazdy windą w wysokim budynku. Tyle tylko, że będzie to podróż nieco dłuższa i o wiele wygodniejsza".

Wycieczka Maxine Duval miała jednak być znacznie krótsza, trudno też byłoby nazwać ją szczególnie komfortową. Niemniej raz skapitulowawszy, Morgan uczynił wszystko, co w jego mocy, aby była to przejażdżka bezpieczna.

„Pająk", prototyp pojazdu kontrolnego, był na oko bardzo kruchy i przypominał zmotoryzowane krzesło bosmańskie. Odbył już kilka jazd na wysokość dwudziestu kilometrów, dwukrotnie dźwigając podobny ładunek. Natrafiono oczywiście na kilka usterek, tak zwanych „chorób wieku dziecięcego", ale żadna z nich nie była poważna i ostatnie pięć rejsów przeszło bez żadnych kłopotów. A co mogłoby pójść nie tak? Gdyby zabrakło mocy — rzecz niemal nie do pomyślenia przy tak prostym, bateryjnym systemie zasilania — siła ciążenia sprowadziłaby Maxine na dół, a automatyczne hamulce

ograniczyłyby tempo zjazdu. Groźne byłoby jedynie zacięcie się całej maszynerii, zatrzymujące pająka i pasażera w górnych warstwach atmosfery. Jednak Morgan znalazł sposób i na to.

— Tylko piętnaście kilometrów? — zaprotestowała Maxine. — Szybowce latają wyżej!

— Ale wyżej człowiek potrzebuje czegoś więcej niż maska tlenowa. Oczywiście, zawsze możesz poczekać z rok, aż będziemy mieli stosowne skafandry z systemem podtrzymania życia…

— A czemu nie mogłabym nałożyć zwykłego skafandra kosmicznego?

Z sobie wiadomych powodów Morgan nie ustąpił jednak ani o krok. Na wszelki wypadek zadbał też, aby u stóp Sri Kandy znalazł się niewielki latający dźwig z odrzutowym napędem. Jego piloci mieli już sporą wprawę w przeprowadzaniu precyzyjnych operacji i jakby co, bez trudu ściągnęliby Maxine nawet z dwudziestego kilometra.

Wszelako nie było żadnego sposobu, by pomóc komuś zawieszonemu dwa razy wyżej. Na czterdziestym kilometrze rozciągały się obszary niczyje — za nisko na rakiety, za wysoko dla balonów. W teorii rakieta mogłaby, oczywiście, zawisnąć obok taśmy i trwać kilka minut w jednym miejscu, aż do całkowitego spalenia paliwa. Niemniej problemy z nawigacją i manewrem połączenia się z pająkiem nastręczałyby tyle trudności, że Morgan wolał nawet nie myśleć o takiej ewentualności. W życiu podobna eskapada nie miała prawa się udać i pozostawało mieć nadzieję, że żaden producent filmów katastroficznych nie wpadnie na pomysł, aby nakręcić taką antyagitkę. Morgan wolałby obejść się bez niestosownej reklamy.

Maxine Duval wyglądała jak turystka gotowa ruszyć na podbój Antarktydy. W lśniącym, pokrytym metalową folią i ogrzewanym skafandrze podeszła do czekającego w otoczeniu techników pająka. Dokładnie sprawdziła czas. Słońce wzeszło godzinę wcześniej i ukośnie padające promienie powinny pomóc w podziwianiu krajobrazu Taprobane. Jej kamerzysta, młodszy i lepiej umięśniony niż ten poprzedni, nagrywał materiał do późniejszego wykorzystania.

Reporterka przećwiczyła uprzednio wszystko „na sucho”, jak zwykle zresztą. Nie szukając po omacku zapięć, sprawnie przypasała się do konstrukcji i włączyła zasilanie. Odetchnęła głęboko mieszanką z maski i sprawdziła jeszcze wszystkie łącza kamer i mikrofonów. Potem, niczym pilot myśliwski z archiwalnego filmu, uniosła oba kciuki w górę i powoli przyspieszając rozpoczęła wycieczkę.

Zgromadzeni w dole inżynierowie zaklaskali. Był to gest nieco ironiczny; większość z nich odbyła już przynajmniej krótkie przejażdżki na wysokość kilku kilometrów.

— Zapłon! — krzyknął ktoś. — *Pojechali!*

Szybko niczym brązowa klatka na ptaki (były takie w czasach

królowej Wiktorii) pająk wznosił się coraz wyżej.

To chyba podobne do lotu balonem, pomyślała Maxine. Gładko, cicho, bez wstrząsów i wysiłku. Nie, cisza nie była zupełna. Słychać było powarkiwanie motorków napędzających ściskające taśmę rolki. Brakowało jednak kołysania i wibracji, których oczekiwała. Niezwykła taśma, chociaż wątła na oko, była sztywna niczym stalowa sztaba, a żyroskopy wehikułu nie pozwalały na jakiekolwiek odchylenia. Zamknąwszy oczy, Maxine z łatwością mogłaby sobie wyobrazić, że wieża została już ukończona, a ona jest zwykłą pasażerką w kapsule. Nie pora jednak na zaciskanie powiek, tyle jest do zobaczenia… I do usłyszenia. To dziwne, jak daleko niesie dźwięk na tej wysokości. Wciąż dobiegały ją odgłosy rozmów w dole.

Pomachała Vannevarowi Morganowi i poszukała spojrzeniem Warrena Kingsleya. Ku swemu zdumieniu nie znalazła go. Pomógł jej usadowić się w pająku, ale teraz zniknął. Potem przypomniała sobie wzmiankę, że najlepszy aktualnie inżynier od podobnych konstrukcji cierpi sam na lęk wysokości… To chyba nie był złośliwy żart. Ostatecznie każdy ma swoje tajemnice, albo przynajmniej lęki. Maxine nie lubiła, na ten przykład, pająków. Że też musieli tak nazwać ten wehikuł… Ale w potrzebie potrafiła doń wsiąść. Za to nigdy nie poważyła się dotknąć stworzenia, które często spotykała, nurkując w ciepłych morzach: nieśmiałej i niegroźnej ośmiornicy.

Teraz widziała już całą górę, chociaż patrząc wprost z przestrzeni trudno było ocenić właściwie jej wysokość. Dwie nitki zabytkowych schodów wijące się na zboczach mogły równie dobrze oznaczać biegnące po płaskim terenie drogi. Zdawały się być puste na całej długości. Właśnie, w jednym miejscu drogę blokowało zwalone drzewo, jakby natura po trzech tysiącach lat oznajmiała, że zamierza odzyskać swoją własność.

Nie ruszając kamery numer jeden, która skierowana była ku dołowi, Maxine wzięła kamerę numer dwa i objęła nią rozległy krajobraz. Na ekranie pojawiły się pola i lasy, odległe domy Ranapury i ciemne wody wewnętrznego morza. A w końcu Yakkagala…

Przybliżyła obraz Skały Demona, a pojawiły się zarysy zdobiących wierzchołek ruin. Lustrzany Mur i Galeria Księżniczek pogrążone były w cieniu, zresztą z tej odległości i tak niewiele byłoby widać. Jednak Ogrody Rozkoszy jawiły się całkiem wyraźnie.

A co to za białe wachlarze pośród roślinności? Maxine dopiero po chwili pojęła, że patrzy na jeszcze jeden element wyzwania rzuconego bogom przez króla Kalidasę — tak zwane Fontanny Raju. Ciekawe, co pomyślałby ów zazdrosny marzyciel, widząc ją teraz, gdy bez najmniejszego wysiłku wznosi się ku niebiosom.

Niemal od roku nie miała okazji rozmawiać z ambasadorem Rajasinghe. Wiedziona nagłym impulsem zadzwoniła teraz do jego

willi. — Cześć, Johan. Podoba ci się Yakkagala z góry?

— Więc w końcu namówiłaś Morgana. Jak tam jest?

— Wspaniale. Inaczej nie da się tego określić. Niesamowite przeżycie. Jechałam, płynęłam i leciałam już wszystkim chyba, co ludzie wynaleźli, ale tym razem jest inaczej.

Cwalem po niebie okrutnym bez szwanku pogonisz…

— Że jak?

— To pewien angielski poeta, wczesny dwudziesty wiek:

Mało mnie wzrusza, czy most przerzucisz nad oceanem, lubo cwałem po niebie okrutnym bez szwanku pogonisz…

— Mnie to wzrusza i czuję się bezpieczna. Widzę już całą wyspę, a nawet wybrzeże Indii. Jak wysoko jestem, Van?

— Dochodzisz do dwunastego kilometra. Maska dobrze przylega?

— Żadnych kłopotów. Mam nadzieję, że nie tłumi mojego głosu?

— Nie obawiaj się, nadal jest jedyny w swoim rodzaju. Jeszcze trzy kilometry.

— Ile mieszanki zostało mi w butlach?

— Dość. A jeśli spróbujesz pojechać poza piętnasty kilometr, to ściągnę cię na dół zdalnym sterowaniem.

— Ani mi się śni. A swoją drogą, gratuluję. To wspaniała platforma obserwacyjna. Możesz mieć rychło kolejkę klientów.

— Już o tym myśleliśmy, ci od satelitów łączności i meteo już robią zakłady. Możemy założyć im czujniki i przekaźniki na dowolnej wysokości. Dołożą się do opłat za dzierżawę terenu.

— Widzę cię! — krzyknął nagle Rajasinghe. — Właśnie złapałem odblask w teleskopie! A teraz machasz ręką… Nie czujesz się tam samotna?

Na chwilę zapadła dziwna cisza.

— Nie tak bardzo, jak musiał się kiedyś czuć Jurij Gagarin — odparła w końcu Maxine, prawie szeptem. — A on był sto kilometrów wyżej. Van, wzbogaciłeś świat o coś zupełnie nowego. Może to niebo jest wciąż okrutne, ale okiełznałeś je. Z góry współczuję tym, którzy nigdy nie zdobędą się na taką jazdę.

37. Diament o wadze miliarda ton

Przez ostatnie siedem lat udało się dokonać całkiem sporo, ale pracy nie ubywało. Poruszono całe góry (a w każdym razie asteroidy). Ziemia wzbogaciła się o drugi naturalny księżyc krążący tuż powyżej granicy orbity synchronicznej. Mierzył ledwie trzy kilometry średnicy i z każdym dniem był coraz mniejszy, gdy wydzierano z niego węgiel i inne pierwiastki. Reszta, czyli żelazne jądro, gruz i odpadki poprodukcyjne, miały utworzyć przeciwwagę utrzymującą stosowne napięcie całej struktury. Swoisty kamień na sznurku, okrążający planetę w tym samym, dwudziestoczterogodzinnym rytmie.

Pięćdziesiąt kilometrów na wschód od stacji Ashoka unosił się wielki kompleks przemysłowy pracujący w stanie nieważkości, przetwarzający wszakże całe megatony surowców w superwłókno. Ponieważ ostateczny produkt w ponad dziewięćdziesięciu procentach składał się z węgla, a dokładnie z jego krystalicznej, wybitnie uporządkowanej postaci, wieża rychło zyskała sobie przydomek „diamentu o wadze miliarda ton". Stowarzyszenie Jubilerów z Amsterdamu ogłosiło wówczas kwaśnym tonem, że (a) superwłókno nie jest w żadnym przypadku diamentem, ale (b) gdyby nim było, wówczas wieża miałaby wagę równą pięć razy dziesięć do piętnastej potęgi karatów.

Karaty czy tony, uzyskanie tak gigantycznej ilości materiału wystawiło na najwyższą próbę zasoby kolonii kosmicznych i umiejętności techników orbitalnych. Zautomatyzowane kopa — lnie, zakłady przetwórcze i bezgrawitacyjne montownie były szczytowym osiągnięciem geniuszu inżynieryjnego rasy ludzkiej, doświadczenia zdobywanego w bólach przez dwieście lat ery kosmicznej. Wkrótce wszystkie elementy wieży były gotowe pod postacią kilku zestandaryzowanych modułów zgromadzonych w wielkie, swobodnie dryfujące sterty. Praca miliona ludzkich twórców w zasadzie dobiegła końca, reszta należała do nielicznych operatorów robotów.

Potem wieża zaczęła rosnąć od razu w dwóch przeciwnych kierunkach, ku Ziemi i ku kosmicznemu zakotwiczeniu. Proces przebiegał w ten sposób, aby środek masy pozostawał zawsze w tym samym miejscu. Do powierzchni planety dolna sekcja wieży zbliżyć się miała w momencie, gdy drugi koniec dotknie zakotwiczenia na wysokiej orbicie.

Po zakończeniu wszystkich prac, zakłady konstrukcyjne miały w całości zostać wystrzelone w kierunku orbity Marsa. Takie właśnie rozwiązanie przewidywał kontrakt, chociaż ziemscy politycy i finansiści coraz głośniej zgrzytali zębami widząc, że projekt doczekał się jednak realizacji.

Mars postawił twarde warunki. Wprawdzie musiał czekać jeszcze pięć lat, zanim inwestycja zacznie przynosić jakiekolwiek dochody, ale jeszcze przez dziesięć lat miał mieć monopol na podobne konstrukcje. Morgan podejrzewał, że wyciąg na górze Pavonis będzie jedynie pierwszym z kilku. Mars był jakby stworzony do budowy takich wież kosmicznych i jego energiczni mieszkańcy z pewnością nie przegapią takiej sposobności. Jeśli uczynią swą planetę centrum handlu w Układzie Słonecznym, to tym lepiej. Morgan miał co innego na głowie, wciąż zdarzały się problemy, szereg spraw domagało się jeszcze rozwiązania.

Sama wieża, mimo gigantycznych rozmiarów, miała być tylko konstrukcją nośną dla wielu znacznie bardziej złożonych struktur. Wzdłuż każdego z czterech boków miało biec trzydzieści sześć tysięcy kilometrów lin trakcyjnych, zasilanych nadprzewodzącymi kablami podłączonymi do masywnych generatorów uzyskujących elektryczność na drodze fuzji. Potrzebna była też jeszcze naprawdę niezawodna sieć komputerowa kontrolująca cały skomplikowany system.

Górna stacja, gdzie pasażerowie i ładunek mieli opuszczać pokłady statków kosmicznych i przesiadać się do kapsuł wyciągu, była sama w sobie wielkim dziełem inżynierskim. Podobnie zresztą jak i stacja środkowa oraz terminal ziemski, wycinany już laserami we wnętrzu Świętej Góry. Jakby mało było roboty, równolegle prowadzono też Operację Miotła.

Przez dwieście lat gromadziły się na ziemskiej orbicie całe rzesze satelitów o różnej masie i kształtach. Były tam i zgubione nity, i śrubokręty, i wielotonowe zawalidrogi. Wszystkie poruszały się na poziomie wieży i istniało poważne ryzyko, a nawet pewność, że w jakiejś chwili w nią uderzą. W trzech czwartych był to zwykły złom kosmiczny, z dawna zapomniany. Teraz trzeba było zlokalizować każdą drobinę i usunąć ją z orbity.

Szczęśliwie, było to zadanie jakby stworzone dla fortów orbitalnych wyposażonych w radary zaprojektowane niegdyś do śledzenia nadlatujących niespodziewanie pocisków i wyłapywania ich na maksymalnym parametrze. Bez trudu wyszukiwały pozostałości po wczesnych latach ery kosmicznej, niszcząc laserami co mniejsze okruchy, większe przenosząc na wyższe, niegroźne orbity. Niektóre satelity, szczególnie te o dużej wartości historycznej, ściągnięto z powrotem na Ziemię. Nie obeszło się przy tym bez kilku zaskoczeń. Odnaleziono na przykład trzech chińskich astronautów zaginionych kiedyś podczas'wykonywania jakiejś tajnej misji, trafiono też na kilka satelitów szpiegowskich będących ucieleśnieniem internacjonalizmu: ich podzespoły pochodziły z tylu krajów świata, że niemożliwym było nawet ustalenie, kto właściwie je wystrzelił. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie, każdy z tych ptaszków liczył przecież co najmniej sto lat.

Cała mnogość czynnych satelitów i stacji, które z oczywistych powodów musiały krążyć w pobliżu Ziemi, została dokładnie sprawdzona, ich orbity przeliczono i w razie potrzeby skorygowano. Nic jednak nie można było zaradzić w sprawie rzadkich, niespodziewanych gości mogących w każdej chwili nadciągnąć z dalszych okolic Układu Słonecznego. Jak wszystkie twory ludzkich rąk, wieża także miała być wystawiona na uderzenia meteorytów. Należało oczekiwać, że kilka razy dziennie sejsmometry wyciągu będą rejestrować uderzenia miligramowych mas, raz lub dwa razy do roku mogło dojść do poważniejszych zniszczeń. Wcześniej czy później, w którymś z kolei stuleciu, prawdopodobne było większe zderzenie, zdolne wyłączyć na jakiś czas przynajmniej jeden ciąg komunikacyjny. W najgorszym razie należało oczekiwać przecięcia całej struktury.

Szansa zajścia tej ostatniej możliwości była równie wielka, jak perspektywa upadku dużego meteoru na Londyn czy Tokio (miasta o niemal identycznej powierzchni). Jednak mieszkańcy tych centrów nie zarywali nocy z niepokoju, że coś tak dużego zleci z nieba. Podobnie nie przejmował się tym Vannevar Morgan. Cokolwiek jeszcze miało się zdarzyć, nikt już nie wątpił, że oto nadszedł czas na realizację idei wieży kosmicznej.

CZĘŚĆ PIĄTA
Podniesienie

38. Bezgłośne sztormy

(Wyjątek z wystąpienia profesora Martina Sessui podczas uroczystości przyznania mu Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki w dniu 16 grudnia 2154 roku)

Między niebem i Ziemią rozciąga się niewidoczny obszar, o którym nie śniło się nawet dawnym filozofom. Sny te nie nawiedzały ich dokładnie do 12 grudnia 1901 roku, kiedy to po raz pierwszy owa sfera zaczęła wywierać wpływ na ludzkie sprawy.

Tego dnia Gugliebno Marconi nadał przez Atlantyk alfabetem Morse'a trzy litery „S". Wielu ekspertów uważało to za niemożliwe uznając, że fale elektromagnetyczne mogą poruszać się tylko po liniach prostych i nigdy nie pokonają krzywizny globu. Transmisja Marconiego zwiastowała nie tylko początek światowej telekomunikacji, ale dowiodła ponadto, że w wysokich warstwach atmosfery istnieje naelektryzowane zwierciadło zdolne odbijać fale radiowe z powrotem ku Ziemi.

Zwierciadło to, nazwane z początku warstwą Kennelly'ego-Heaviside'a, opisano rychło jako bardzo złożone i składające się przynajmniej z trzech głównych „pokładów", różniących się znacznie pułapem i aktywnością. Górną granicę tej sfery stanowią pasy radiacji Van Allena, których odkrycie należało dopierwszych triumfów wczesnej ery kosmicznej.

Rozległy ten obszar, zaczynający się na wysokości około pięćdziesięciu kilometrów i rozciągający się na kilka promieni Ziemi, obecnie znany jest pod nazwą jonosfery. Przez ponad dwa stulecia badano ją przy pomocy rakiet, satelitów i fal radiowych. Chciałbym złożyć hołd moim prekursorom w tej dziedzinie, amerykańskim uczonym Tuvemu i Breitowi, Anglikowi Appletonowi i Norwegowi Stormerowi, a szczególnie temu, kto w roku 1970 zdobył tę samą nagrodę, którą ja mam zaszczyt dzisiaj przyjmować, mojemu rodakowi Hannesowi Alfvenowi…

Jonosfera jest przedsionkiem Słońca, nawet dzisiaj nie potrójmy do końca przewidywać jej zachowań. W dniach, kiedy łączność radiowa opierała się na falach długich, uratowała wiele istnień ludzkich, ale jeszcze więcej zginęło, gdy ich rozpaczliwe sygnały o pomoc przepadły bez śladu między zjonizowanymi warstwami.

Przez niecałe stulecie, zanim pojawiły się satelity telekomunikacyjne, jonosfera była bezcennym, ale i kapryśnym sługą. Zjawisko naturalne, którego istnienia nikt uprzednio nie przewidywał, oddało trzem pokoleniom nieoszacowane usługi.

Ludzka uwaga skupiła się wszakże najonosferze raz tylko, a i to na krótko. A przecież — gdyby jej nie było — nigdy nie zaistnielibyśmy na tej planecie! W tym znaczeniu owa warstwa miała kluczowe znaczenie dla ludzkości jeszcze w erze przedtechnologicznej, miała znaczenie dla pierwszych małpoludów i dla pierwszych żywych organizmów na Ziemi. Jonosfera jest bowiem częścią tej tarczy, która osłania nas przed śmiercionośnym promieniowaniem Słońca, przed promieniowaniem rentgenowskim i ultrafioletem. Gdyby docierały one do poziomu morza, zapewne powstałoby tu jakieś życie, ale z pewnością nie przypominałoby ono nas…

Jonosfera, podobnie jak i niższe warstwy atmosfery, znajduje się pod nieustannym wpływem Słońca i też podlega zjawiskom pogodowym. Podczas występowania zaburzeń na Słońcu jest omiatana wielkimi jak planeta wichrami naładowanych cząstek, skręca się i zwija w polu magnetycznym Ziemi. W takich chwilach przestaje być niewidoczna, tworząc zorze, jedno z piękniejszych zjawisk natury rozświetlających polarne noce.

Jeszcze dziś nie pojmujemy w pełni wszystkich procesów zachodzących wjonosferze. Jednym ze źródeł kłopotów jest to, że wszystkie nasze rakiety i satelity badawcze pędzą z szybkością tysięcy kilometrów na godzinę i nie ma sposobu, by je zatrzymać dla dokonania precyzyjnych pomiarów! Teraz jednak, po raz pierwszy w historii, proponowana do realizacji koncepcja wieży orbitalnej daje nam szansę umieszczenia w górze nieruchomego zestawu czujników do obserwacji jonosfery. Możliwe też, że sama wieża zmieni właściwości jonosfery, chociaż z pewnością nie doprowadzi do prorokowanego przez doktora Bickerstaffa krótkiego spięcia!

Czemu jednak mamy poświęcać tyle wysilku na badanie tego obszaru, skoro nie jest on już istotny z punktu widzenia telekomunikacji? Stwierdzić trzeba, że jonosfera jest czymś więcej niż tylko osobliwością, ciekawostką naukową czy obiektem do podziwiania, jak w przypadku zorzy polarnej. Jej zachowanie pozostaje ściśle związane z fazami aktywności Słońca, a nasza dzienna gwiazda wciąż i niezmiennie jest władczynią naszego losu. Wiemy już, że

nasze Sionce nie przypomina stabilnej, dobrze wychowanej gwiazdy, jak wierzyli w to nasi przodkowie. Podlega krótkotrwałym i długotrwałym fluktuacjom i cyklom aktywności. W chwili obecnej wychodzi wciąż z tak zwanego „*minimum* Maundera", które rozciągało się na lata 1645–715. Wrezultacie tego procesu mamy dziś klimat łagodniejszy niż kiedykolwiek od wczesnego Średniowiecza. Ale ile lat jeszcze to potrwa? I co istotniejsze, kiedy zacznie się nieunikniony, kolejny cykl i jaki wpływ wywrze ta zmiana na klimat Ziemi, pogodę i wszelkie możliwe aspekty ludzkiej cywilizacji, nie tylko na naszej planecie, ale i na pozostałych? Wszystkie one są dziećmi Słońca…

Najbardziej śmiałe spośród spekulacji sugerują, że Słońce wchodzi obecnie w okres niestabilności, skutkiem której na Ziemi może dojść do nowej epoki lodowcowej, przy czym zmarzlina obejmie teren większy, niż kiedykolwiek dotąd. Jeśli tak będzie, to potrzebujemy każdego skrawka informacji, by należycie przygotować się na tak ciężki czas. Nawet sto lat to za małe wyprzedzenie, jeśli ostrzeżenie ma być skuteczne.

Jonosfera była pomocna w naszej ewolucji, umożliwiła rewolucję telekomunikacyjną i wciąż określa naszą przyszłość. Oto czemu nadal musimy badać ten rozległy, niespokojny obszar elektrycznych burz i słonecznych wiatrów, tajemnicze morze bezgłośnych sztormów…

39. Zranione Słońce

Ostatnim razem, gdy Morgan widział swego siostrzeńca, ten był ledwie dzieckiem. Teraz Dev był już początkującym nastolatkiem. Jeśli ich spotkania nadal będą tak rzadkie, przy kolejnym pojawi się jako dorosły mężczyzna.

Inżynier nie czuł się szczególnie winny osłabieniu więzów z rodziną; na całym świecie przywiązywano do nich przez ostatnie dwa stulecia coraz mniejszą wagę. Z siostrą nie łączyło go praktycznie nic prócz przypadkowego, genetycznego podobieństwa. Wprawdzie posyłali sobie pozdrowienia i rozmawiali kilka razy do roku, pozostając w życzliwych stosunkach, ale Morgan nie potrafił powiedzieć, kiedy właściwie ostatni raz się spotkali.

Jednak gdy powitał w końcu tego ciekawego świata, inteligentnego chłopaka (ani trochę nie speszonego, jak się zdawało, widokiem sławnego wujka), odczuł coś na kształt słodko-gorzkiego smutku i zadumy. Sam nie miał syna, by przejął nazwisko rodowe; już dawno temu wybrał między pracą a życiem, a takie wybory nie uznawały kompromisów. Trzykrotnie, nie licząc epizodu z Ingrid, mógł odmienić swe życie, ale zawsze przypadek lub ambicja odwodziły go od takiego zamiaru.

Od początku doskonale zdawał sobie sprawę z konsekwencji takiej a nie innej decyzji i w pełni je akceptował. Zresztą, teraz było już za późno na próżne żale i udawanie pokrzywdzonego przez los. Każdy głupiec potrafił zmieszać swoje geny z cudzymi i większość ludzi z powodzeniem robiła to nadal. Jemu zaś historia dała niepowtarzalną szansę, mało który człowiek w dziejach gatunku dokonał aż tyle. A przecież Morgan wciąż pozostawał aktywny.

Przez ostatnie trzy godziny Dev zobaczył więcej ze stacji naziemnej, niż którykolwiek z oficjalnie odwiedzających teren budowy VIPów. Wszedł do wnętrza góry na poziomie ziemi przez niemal całkowicie ukończony obszar stacji południowej. Zapoznał się z szybką odprawą pasażerów i bagażu, centrum kontrolnym i halą operacyjną, gdzie kapsuły przybywające na Ziemię szlakami zachodnim i wschodnim miały być przesuwane na wyciągi północny i południowy, służące ruchowi do góry. Podziwiał pięciokilometrowy szyb, niczym gigantyczne działo wycelowane w gwiazdy (jak nazwali go liczni odwiedzający już to miejsce reporterzy), mający służyć rozpędzaniu i wyhamowywaniu kapsuł. Chłopak zadawał przy tym tyle pytań, że jego trzej przewodnicy poczuli się w końcu solidnie wyczerpani i z ulgą przekazali gościa wujowi.

— Już jesteśmy, Van — powiedział Warren Kingsley, gdy superszybką windą wjechali ostatecznie na splantowany wierzchołek

góry. — Jeszcze trochę, a życie mi przez niego zbrzydnie. Przejmij pociechę, póki pora.

— Nie wiedziałem, że tak bardzo interesujesz się inżynierią, Dev. Chłopak spojrzał nań ze zdumieniem i lekkim wyrzutem.

— A nie pamiętasz, wujku, tego meccamaxa, numer 12, którego dałeś mi na dziesiąte urodziny?

— Jasne, jasne. Żartowałem. — Tak naprawdę nie zapomniał o podarowaniu tamtego zestawu konstrukcyjnego, po prostu rzecz chwilowo wyleciała mu z pamięci. — Nie jest ci zimno? — W odróżnieniu od porządnie otulonych dorosłych, chłopak miał na sobie jedynie lekki płaszcz z termostatem.

— Nie, w porządku. Co to za odrzutowiec? Kiedy zamierzasz otworzyć szyb? Mogę dotknąć taśmy?

— Sam widzisz — zachichotał Kingsley.

— Odpowiadam na pytanie pierwsze: to osobista maszyna szejka Abdullaha, jego syn, Feisal, przybył nas odwiedzić. Po drugie, z usunięciem pokrywy zaślepiającej szyb poczekamy, aż wieża sięgnie góry i wniknie do środka, na razie potrzebujemy platformy roboczej i ochrony przed deszczem. Po trzecie, jak chcesz, to możesz dotknąć taśmy… ale nie biegnij! Na tej wysokości to wielce niewskazane!

— W wieku dwunastu lat nie trzeba się tym tak przejmować! — zawołał Kingsley do nagle zwalniającego kroku chłopca. Nie spiesząc się, obaj dołączyli do miejsca zakotwiczenia wschodniej ściany wieży.

Jak tysiące ludzi przed nim, chłopak wpatrywał się w jasnoszarą taśmę wyłaniającą się pionowo z ziemi i biegnącą ku niebu. Podnosił głowę coraz bardziej, aż wyżej już nie mógł. Morgan i Kingsley nie poszli w jego ślady, chociaż nawet po tylu latach pokusa wciąż była silna. Powstrzymali się też przed ostrzeganiem Deva, chociaż wielu widzów tak się zapamiętywało w obserwacji taśmy, aż tracili równowagę i lecieli na plecy. Potem nie byli zwykle w stanie pozbierać się i odejść bez pomocy.

Chłopak był widać odporny na podobne sensacje, bowiem przez prawie minutę wpatrywał się w zenit, jakby miał nadzieję dojrzeć te tysiące ludzi i miliony ton budulca zawieszone tuż ponad błękitem nieba. Potem skrzywił się, zamknął oczy, potrząsnął głową i spojrzał na własne stopy, jakby chciał się upewnić, że wciąż stoi na Ziemi.

Ostrożnie wyciągnął rękę i musnął wąską wstęgę łączącą planetę z nowym księżycem.

— A co by się stało, gdyby pękła?

To było pytanie z brodą. Odpowiedź zaskakiwała większość ludzi.

— Prawie nic. W tej chwili nie jest praktycznie wcale obciążona ani napięta. Gdybyś ją przeciął, zwisłaby tylko, łopocząc na wietrze.

Kingsley skrzywił się z niechęcią. Obaj wiedzieli, rzecz jasna, że to znaczne uproszczenie. W tej chwili każda z czterech taśm napinała

się z siłą około stu ton, ale w porównaniu z docelowym obciążeniem (to znaczy obciążeniem po dokończeniu wieży i jej uruchomieniu) było to faktycznie prawie nic. Niemniej nie miało sensu mieszać chłopcu w głowie tyloma szczegółami.

Dev przemyślał to sobie, a potem skubnął taśmę, jakby miał nadzieję wydobyć z niej dźwięk. Usłyszał jednak tylko głuche „klik", które nie wzbudziło rezonansu.

— Gdybyś potraktował ją młotem kowalskim — powiedział Morgan — i wrócił posłuchać za godzinę, to usłyszałbyś echo wracające od stacji środkowej. — Ale już nie teraz — dodał Kingsley. — Zbyt duże tłumienie na szlaku.

— Nie czepiaj się, Warren. Teraz chodźmy zobaczyć coś naprawdę interesującego.

Przeszli na środek metalowego dysku, który wieńczył górę i niby pokrywa na rondelku zaślepiał wylot szybu. Tutaj, w równej odległości od wszystkich czterech taśm, wznosiła się mała klatka geodezyjna wyglądająca na jeszcze większą prowizorkę niż metalowe podłoże. Kryła teleskop osobliwego projektu, bo skierowany pionowo w górę i wyraźnie niezdolny do przyjęcia jakiegokolwiek innego położenia.

— Najlepiej widać właśnie tuż przed zachodem Słońca, wtedy podstawa wieży jest dobrze oświetlona.

— A jeśli chodzi o Słońce — dodał Kingsley — to popatrz tylko. Widoczność jest nawet lepsza niż wczoraj. — W jego głosie pobrzmiewał niejaki podziw, gdy wskazywał na świetlistą elipsę słonecznej tarczy tonącej w mgiełce na zachodzie. Przytłumiony wieczorną porą blask nie raził już oczu.

Tylu plam na Słońcu nie obserwowano od ponad stulecia, niektóre rozciągały się na prawie połowę tarczy, upodabniając dzienną gwiazdę do istoty chorej na złośliwą chorobę. Ktoś inny mógłby sądzić, że oto Słońce pożera swoje dzieci, planety układu, ale nawet Jowisz nie byłby zdolny uczynić w atmosferze gwiazdy tak dużej wyrwy. Największe plamy liczyły ćwierć miliona kilometrów średnicy i mogłyby pochłonąć setkę globów wielkości Ziemi.

— Dziś w nocy szykuje się kolejny spektakl zorzy. Profesor Sessui i jego wesołki zapewne wszystko dobrze obliczyli.

— A teraz zobaczmy, jak sobie radzą w górze — powiedział Morgan, poprawiając nieco okular teleskopu. — Popatrz, Dev.

Chłopak zerknął w przyrząd.

— Widzę cztery zbiegające się taśmy, które znikają gdzieś w górze — odparł po chwili.

— I nic pośrodku? Znów chwila milczenia.

— Nie. Ani śladu wieży.

— Racja, jest jeszcze sześćset kilometrów nad nami, a teleskop

nastawiony jest na najmniejsze powiększenie. Zaraz polecimy w górę. Zapnij pasy. Dev zaśmiał się, słysząc ten staromodny zwrot, który niejednokrotnie słyszał na filmach historycznych. W pierwszej chwili nie zauważył żadnej różnicy, tyle tylko, że obraz taśm nieco się wyostrzył. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że pędząc wzdłuż osi takiej struktury po prostu musi zawsze widzieć to samo, czyli cztery zbiegające się linie.

Potem, całkiem nagle, pojawił się obraz wieży. Zaskakujący, chociaż przecież spodziewany. Drobna jasna plamka zmaterializowała się pośrodku pola widzenia i rosła coraz większa, dając po raz pierwszy odczuć wielką prędkość zbliżania. Kilka sekund później można już było dostrzec mały krąg, aż złudzenie ustąpiło i oczy i mózg doszły do zgodnego wniosku, że to kwadrat. Dev patrzył wprost na podstawę wieży pełznącej wzdłuż taśm ku Ziemi z szybkością kilku kilometrów dziennie. Same taśmy zniknęły, były zbyt małe, by widzieć je z tej odległości. Jednak umieszczony magicznym sposobem na niebie kwadrat rósł nieustannie, chociaż jego obraz był skutkiem olbrzymiego powiększenia nieco rozmyty.

— Co widzisz? — spytał Morgan.

— Mały jasny kwadrat.

— Dobrze. To spód wieży, jeszcze w pełnym blasku Słońca. W nocy widać go nawet gołym okiem, przynajmniej przez godzinę, aż znajdzie się w cieniu Ziemi. A czy dostrzegasz coś więcej?

— Nieee — odparł chłopak po dłuższej przerwie.

— A powinieneś. W najniższej sekcji wieży przebywa obecnie grupa naukowców. Chcą umieścić tam kilka przyrządów badawczych. Przyjechali ze stacji środkowej. Jeśli przyjrzysz się dokładnie, znajdziesz ich transporter. Jest na południowym szlaku, to znaczy po prawej stronie. Szukaj jasnego punktu, mniej więcej na ćwierci wielkości podstawy wieży.

— Przykro mi, wujku, ale nie mogę go znaleźć. Sam popatrz.

— Może widoczność się pogorszyła… Czasem wieża znika zupełnie, chociaż pogoda jest wciąż wspaniała…

Zanim jednak Morgan zdołał zająć miejsce Deva przy okularze, jego osobisty sygnalizator pisnął dwukrotnie a przenikliwie.

Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia budowy wieży ogłoszono czterogwiazdkowy alarm.

40. Koniec jazdy

Nic dziwnego, że zwano to „Koleją Transsyberyjską". Nawet prosty zjazd w dół od stacji środkowej do podstawy wieży trwał pięćdziesiąt godzin.

Pewnego dnia taka podróż zajmie ledwie pięć godzin, ale ten dzień miał nadejść dopiero za dwa lata, kiedy szlaki otrzymają zasilanie i uaktywnione zostaną pola magnetyczne. Obecnie przemieszczające się wzdłuż wieży pojazdy inspekcji i bieżącej obsługi korzystały ze zwykłych rolek osadzonych we wnętrzu prowadnic. Nawet gdyby ograniczona pojemność akumulatorów pozwalała na rozwinięcie szybkości większej, niż pięćset kilometrów na godzinę, nie byłoby to bezpieczne.

Wszyscy byli jednak zbyt zapracowani, by mieć czas na nudę. Profesor Sessui wraz z trzema studentami obserwował niebo, sprawdzał instrumenty i wciąż wyszukiwali sobie nowe zajęcia. Operator kapsuły, inżynier, oraz jeden steward, którzy wystarczali za cały personel pokładowy, też mieli ręce pełne roboty. To nie był rutynowy kurs. Od czasu rozpoczęcia budowy nikt jeszcze nie zaglądał do „piwnicy", obecnie odległej o dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów od stacji środkowej i tylko sześćset od Ziemi. Aż do tej chwili nie było takiej potrzeby, ostatnio jednak kilka czujników zameldowało o szeregu dysfunkcji. Nic groźnego zapewne, podstawę bowiem tworzyła komora ciśnieniowa o powierzchni ledwie piętnastu metrów kwadrato — wych. Było to jedno z licznych schronień awaryjnych rozmieszczonych w równych odstępach w strukturze całej wieży.

Profesor Sessui wykorzystał wszystkie swoje wpływy (a były one znaczne), aby uzyskać dostęp do tego unikalnego miejsca obserwacyjnego, poruszającego się obecnie przez jonosferę ku Ziemi z szybkością ledwie dwóch kilometrów dziennie. Dowodził, że jest sprawą nader istotną, aby zainstalować tam zespół aparatury zanim jeszcze nadejdzie kolejny szczyt aktywności plam słonecznych.

Aktywność gwiazdy już teraz osiągnęła niespotykany poziom i młodzi asystenci Sessuiego z trudem koncentrowali się na przyrządach; nazbyt rozpraszał ich widoczny za iluminatorami niebieski spektakl. Tak północna, jak i południowa półkula spowite były z wolna falującymi, zmiennymi woalami i strumieniami zielonkawego światła, które musiały budzić podziw, chociaż i tak były tylko dalekim echem fajerwerków właściwych obecnie okolicom biegunowym. Rzadko zdarzało się, aby zorza polarna zawędrowała tak daleko ku równikowi, zwykle ledwo raz na pokolenie widywano ją w pobliżu zwrotników.

Sessui zapędził studentów z powrotem do pracy argumentując, że

będą mieli masę czasu na podziwianie widoków w drodze powrotnej na stację środkową. Jednak nawet i profesor stawał czasem na kilka minut przed iluminatorem zafascynowany tym pożarem nieba.

Ktoś nazwał ich projekt badawczy „Wyprawa na Ziemię", co w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach było prawdą. W miarę jak kapsuła pełzła po ścianie wieży z mizerną szybkością pięciuset metrów na godzinę, bliskość Ziemi dawała znać o sobie. Z wolna narastało ciążenie, począwszy od wynoszącego ledwie połowę grawitacji księżycowej przyciągania właściwego stacji środkowej, po niemal pełne przyspieszenie ziemskie. Dla doświadczonego na kosmicznych szlakach podróżnika musiało to być zaiste dziwne doświadczenie: czuć przyciąganie planety zanim jeszcze weszło się w jej atmosferę. Toż to prawie rewolucja…

Nie licząc narzekań na wyżywienie (steward znosił je ze stoickim spokojem), nic nie zakłócało podróży. Sto kilometrów przed „piwnicą" zaciągnięto hamulce i prędkość spadła o połowę. Na pięćdziesiątym kilometrze ponowiono manewr. Jeden ze studentów rzucił wtedy uwagę: — Głupio byłoby wypaść z torów…

Operator kapsuły (sam nalegał, by nazywać go pilotem) od warknął, że to niemożliwe, bowiem prowadnice kończą się na kilka metrów przed samym dnem wieży, ponadto istnieje cały system buforów, a to na wypadek, gdyby wszystkie cztery niezależne zespoły hamulców zawiodły. Wszyscy zgodzili się natychmiast, że żart był nie na miejscu, świadczył o braku wyczucia sytuacji i o złym smaku.

41. Meteor

Wielkie sztuczne jezioro znane od dwóch tysięcy lat jako Morze Paravany trwało spokojnie omiatane kamiennym spojrzeniem swego twórcy. Mało kto odwiedzał obecnie samotny posąg ojca Kalidasy, ale jego dzieło, jeśli nie sława, okazało się trwalsze od dokonań syna i lepiej też służyło krajowi, żywiącipojąc ponad sto pokoleń ludzkich i niezliczone rzesze ptaków, bawołów, małp i polujących na nie drapieżników. Do tych ostatnich należał nieźle wypasiony lampart o wspaniałej lśniącej sierści, który zaspokajał właśnie pragnienie tuż przy brzegu. Wielkie koty stały się ostatnio aż nazbyt powszednim widokiem, szczególnie że ani trochę nie obawiały się myśliwych. Nigdy jednak nie atakowały ludzi, chyba że zostały rozdrażnione lub zapędzone w ślepy zaułek.

Pewien swego bezpieczeństwa, lampart popijał spokojnie wodę, cienie wydłużały się, a wraz z nimi ze wschodu nadciągał zmierzch. Nagle kot zastrzygł uszami okazując niepokój, chociaż żaden człowiek nie wyczułby najmniejszej zmiany na ziemi, w wodzie czy na niebie. Nic nie mąciło wieczornego uspokojenia.

Dopiero po chwili, dokładnie z zenitu nieba, dobiegł stłumiony gwizd przechodzący z wolna w łoskot przeplatany głuchym wyciem. Odgłos nie przypominał zupełnie huku powodowanego przez powracający wahadłowiec. Gdzieś wysoko błysnęło nagle słońce odbijające się w wypolerowanej, metalowej powie — rzchni. Obiekt był coraz większy i zostawiał za sobą smugę dymu, aż w końcu eksplodował, siejąc szczątkami na wszystkie strony. Niektóre odłamki płonęły. W ciągu kilku sekund poprzedzających katastrofę bystre oko lamparta zdołałoby dostrzec spadający cylindryczny obiekt. Ale kotowaty nie czekał na finał i już chwilę wcześniej zniknął w dżungli.

Nagły grzmot wstrząsnął Morzem Paravany. Gejzer mułu i wody wystrzelił na sto metrów pióropuszem o wiele znaczniejszym niż fontanny z Yakkagali i niemal równie wysokim, jak sama skała. Przez chwilę zawisł na tle nieba, aż uległ przyciąganiu i opadł w spienione wody jeziora.

W jednej chwili zaroiło się nad brzegami od spłoszonego ptactwa wodnego oraz niemal równie licznych nietoperzy. Te ostatnie przypominały przeniesione jakimś cudem do współczesnych czasów pterodaktyle, jednak żywiły się głównie owocami i normalnie pokazywały się dopiero po zmroku. Teraz jednako przerażone ptaki i ssaki kotłowały się na niebie.

Ostatnie echa upadku wygasły w zwartej dżungli i cisza wróciła nad jezioro. Chwilę jeszcze trwało, nim zniknęły wzburzone fale i znów tylko lekkie zmarszczki goniły się z wiatrem pod czujnym acz

martwym spojrzeniem Paravany Wielkiego.

42. Śmierć na orbicie

Powiada się, że każda wielka budowa pochłania przynajmniej jedno ludzkie życie. Na pirsach Mostu Gibraltarskiego wyrzeźbiono czternaście nazwisk. Jednak dzięki bezwzględnie egzekwowanym wymogom bezpieczeństwa ofiary wieży były stosunkowo nieliczne. Zdarzył się nawet jeden rok, kiedy nie doszło do żadnego śmiertelnego wypadku.

Był też i taki rok, kiedy zdarzyły się aż cztery wypadki, z czego dwa szczególnie przykre. Nadzorca montażu ze stacji kosmicznej zapomniał pewnego razu, że chociaż pracuje w stanie nieważkości, to jednak nie znajduje się na orbicie. Dotychczasowe doświadczenie go zgubiło. Spadał ponad piętnaście tysięcy kilometrów, aż spłonął jak meteor wchodząc w atmosferę. Niestety, radio miał włączone aż do końca…

To był rzeczywiście zły rok dla wieży. Druga tragedia przyćmiła poprzednią i trafiła na pierwsze strony dzienników. Pani inżynier pracująca na przeciwmasie, daleko poza orbitą synchroniczną, nie zapięła należycie klamry przy pasie bezpieczeństwa i niczym wyrzucony z procy kamień poleciała w kosmos. Nic jej nie groziło, była za wysoko, by spaść na Ziemię i za nisko, by wejść na orbitę ucieczki. Nieszczęśliwym zrządzeniem losu powietrza miała tylko na dwie godziny. Nie dało się w tak krótkim czasie zmontować ekipy ratowniczej, zatem pomimo gwałtownej reakcji opinii publicznej, nie uczyniono niczego. Ofiara zachowała spokój i wykazała pełne zrozumienie. Przekazała pożegnania i mając powietrza już tylko na trzydzieści minut, rozhermetyzowała skafander. Ciało odzyskano kilka dni później, kiedy nieubłagane prawa mechaniki niebieskiej sprowadziły je z powrotem do perigeum elipsoidalnej orbity.

Wspomnienie tych tragedii przemknęło przez myśli Morgana, gdy szybką windą podążał do centrali. Ponury Warren Kingsley i Dev deptali mu po piętach. Wszyscy w jednej chwili zupełnie zapomnieli o siostrzeńcu inżyniera. Ta katastrofa różniła się od poprzednich, towarzyszyła jej eksplozja u podstawy wieży. Nie było wątpliwości, że transporter spadł na Ziemię. To akurat wiedziano na długo przedtem, nim nadszedł raport o „olbrzymim deszczu meteorytów" gdzieś nad centralną Taprobane.

Z dalszymi spekulacjami trzeba było poczekać do chwili uzyskania konkretniejszych informacji. Niestety, biorąc pod uwagę zniszczenia, pełnego przebiegu zdarzeń zapewne nigdy nie uda się odtworzyć. Morgan wiedział, że wypadki w kosmosie powodowane są zwykle przez cały splot okoliczności, z osobna całkiem niegroźnych. Żadne środki bezpieczeństwa nie gwarantowały stuprocentowej

skuteczności, co więcej, czasem przesadna troska inżynierów też mogła doprowadzić do tragedii. Morgan nie przejmował się obecnie zawodnością systemu, o wiele bardziej niepokoił go los ewentualnych ofiar. Martwym nie można już w żaden sposób pomóc, co najwyżej pozostaje zrobić wszystko, aby podobny wypadek już się nie powtórzył. Myśl o ewentualnym zagrożeniu całości ukończonej już niemal wieży była zbyt upiorna, by się nią zajmować.

Winda zatrzymała się i Morgan wszedł do centrali, by przeżyć drugie tego wieczoru zaskoczenie.

43. Niezawodny system

Pięć kilometrów od stacji końcowej operator-pilot Rupert Chang ponownie zmniejszył szybkość. Po raz pierwszy pasażerowie mogli rozróżnić jakiekolwiek szczegóły ściany wieży, dotąd migającej za oknami pod postacią nieskończonej smugi. Dwie równoległe prowadnice zbiegały się ku górze w nieskończoności perspektywy (dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów czy nieskończoność — w ludzkiej skali to niemal to samo). W dole jednak koniec szlaku był już widoczny. Ścięta podstawa wieży rysowała się wyraźnie na tle zieleni wyspy Taprobane, celu ponad rocznej jeszcze, powolnej wędrówki. Na tablicy kontrolnej zapaliły się znów światełka zwiastujące alarm. Chang przyjrzał im się ze zdumieniem, zmarszczył czoło i nacisnął guzik przeładowania systemu. Diody mignęły i zgasły.

Pierwszy raz zapłonęły dwieście kilometrów wyżej. Po krótkiej konsultacji ze stacją środkową sprawdził wówczas wszystkie systemy, niczego nie znajdując. Zresztą, gdyby alarmy uznać za prawdziwe, to los wszystkich pasażerów kapsuły byłby już przypieczętowany. Wedle komputera praktycznie wszystko odmawiało posłuszeństwa.

Profesot Sessui stwierdził głośno, że w takim razie awarii musiał ulec system czujników, co wszyscy uznali za dobrą monetę i odetchnęli z ulgą. Wehikuł nie poruszał się już w próżni, dla którego to środowiska został zaprojektowany, otaczała ich jonosfera mogąca zakłócać pracę instrumentów kontrolnych. — Ktoś powinien to przewidzieć — mruknął Chang, ale mając przed sobą już tylko godzinę jazdy, nie przejął się zbytnio. Zawsze mógł wyłączyć komputer, a samemu zająć się odczytami. Stacja środkowa zaaprobowała tę decyzję, zresztą i tak nie było żadnej alternatywy.

Najbardziej interesował pilota stan akumulatorów. Najbliższe gniazdo ładowania było dwieście kilometrów wyżej. Gdyby nie zdołali się tam dostać, oznaczałoby to poważne kłopoty. Ale Chang nie widział powodów do niepokoju. Podczas hamowania silniki kapsuły zamieniły się w prądnice, odzyskując dziewięćdziesiąt procent energii i ładując akumulatory, które były już pełne i nadmiar energii, całe setki kilowatów, musiał być usuwany w przestrzeń za pomocą sporych płetw chłodzących na rufie wehikułu. Koledzy Changa nie raz porównywali te płetwy do stateczników, a całą kapsułę do dawnej bomby lotniczej. Teraz, pod koniec podróży, musiały pewnie jarzyć się czerwono, co trochę niepokoiło Changa, chociaż wiedział, że poza tym są zupełnie zimne. Energii nie można po prostu unicestwić, musi gdzieś się podziać, a czasem zdarza się, że płynie nie tam gdzie trzeba.

Gdy światełko zwiastujące pożar w przedziale akumulatorów zapaliło się po raz trzeci, Chang bez chwili wahania znów przeładował

system. Prawdziwy pożar uruchomiłby automatycznie gaśnice, a te milczały. Zresztą, ich niepotrzebne odpalenie byłoby równie groźne. Jednak coraz więcej rzeczy na pokładzie funkcjonowało nie tak, przede wszystkim odmawiał posłuszeństwa system ładowania akumulatorów. Gdy tylko podróż dobiegnie końca i będzie można wyłączyć zasilanie, przyjdzie osobiście pofatygować się do przedziału silnikowego i po prostu rzucić okiem na maszynerię.

Został jeszcze kilometr, gdy odezwał się osobisty czujnik pilota. Nos zarejestrował woń spalenizny, na dodatek gdzieś spod tablicy kontrolnej zaczął się sączyć wąski strumyczek dymu. Jakie szczęście, że draństwo poczekało do końca jazdy! — pomyślał Chang, próbując jednocześnie na chłodno analizować sytuację.

Podsumował szybko ilość wytworzonej podczas zjazdu energii i doszedł do wniosku, że zawiodły najpewniej systemy bezpieczeństwa i akumulatory zostały przeładowane. Czujniki wysiadały jeden po drugim, zwodzone dodatkowo wpływem jonosfery. Złośliwość przedmiotów martwych znów dała znać o sobie.

Chang włączył gaśnice w przedziale akumulatorów i przynajmniej to jedno zadziałało, usłyszał bowiem przytłumiony ryk dobiegający zza grodzi. Dziesięć sekund później rozhermetyzował przedział z nadzieją, że większość nagromadzonego ciepła uleci w próżnię. To także się udało. Po raz pierwszy Chang odetchnął z ulgą, słysząc charakterystyczne wycie powietrza uciekającego z pojazdu kosmicznego. Oby nigdy więcej nie musiał tego wysłuchiwać…

Ostateczne podejście do „piwnicy” wolał przeprowadzić ręcznie, nie polegając na automatyce. Szczęśliwie ten manewr ćwiczył już nie raz i pilnie obserwując wieżę, zdołał zatrzymać się obok śluzy. Błąd nie przekroczył centymetra. Błyskawicznie uszczelnił połączenie i zaraz zaczęto pospiesznie przerzucać sprzęt i wyposażenie…

Oraz profesora Sessuiego. To ostatnie wymagało połączonych wysiłków pilota, stewarda i inżyniera pokładowego, bowiem naukowiec próbował wrócić do kapsuły po resztę instrumentów. Jak najszybciej zatrzaśnięto śluzę z drugiej strony. Kilka sekund później puściła grodź przedziału silnikowego.

Od tej chwili rozbitkowie mogli tylko czekać. Do dyspozycji mieli piętnaście metrów kwadratowych komory wyposażonej skromniej, niż przeciętna cela więzienna. Pozostawało mieć nadzieję, że ogień sam się wypalił. Szczęśliwie tylko Chang i inżynier znali wszystkie dane tyczące akumulatorów. W pełni załadowane gromadziły tyle energii, co spora klasyczna bomba. I ta bomba tykała teraz przy ścianie wieży.

Dziesięć minut po pospiesznej ewakuacji usłyszeli przytłumiony odgłos eksplozji. Wieża zawibrowała lekko, potem rozległ się chrzęst dartego metalu. Nie było to głośne, ale serca rozbitków zamarły na chwilę. Oto tracili jedyny środek transportu, a od najbliższego

bezpieczniejszego schronienia dzieliło ich dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów. Na zewnątrz doszło do jeszcze jednej eksplozji, tym razem trwającej nieco dłużej, i ostatecznie zaległa cisza. Najpewniej wehikuł odpadł od ściany. Wciąż oszołomieni, rozbitkowie zaczęli sprawdzać swoje zasoby. Powoli docierało do nich, że całe to cudowne ocalenie może być jedynie krótkim przedłużeniem konania.

44. Podniebna jaskinia

Głęboko we wnętrzu góry, w Ziemskim Centrum Operacyjnym, Morgan wraz z załogą inżynierską przyglądali się pomniejszonemu do jednej dziesiątej hologramowi najniższej partii wieży. Obraz był dopracowany do najmniejszego szczegółu, cztery cienkie nitki taśm mknęły tuż nad podłogą i trudno było sobie wyobrazić, że w rzeczywistości ciągnęły się jeszcze sześćset kilometrów, aż do trzewi góry.

— Dajcie nam przekrój i podnieście „piwnicę" do poziomu oczu — zarządził Morgan.

Wieża zaczęła nagle przypominać na wpół przejrzyste widmo. Wewnątrz była pusta, jeśli nie liczyć kabli zasilających. Nazwa „piwnica" pasowała całkiem dobrze, chociaż podstawa wieży była jeszcze tak wysoko. Pomieszczenie było hermetyczne, ale niewielkie.

— Wejścia?

Dwie sekcje zaczęły jarzyć się trochę jaśniej, jedna na pomocnej, druga na południowej ścianie, dokładnie między prowadnicami dla pojazdów. Dwie śluzy były maksymalnie oddalone od siebie, zgodnie ze zwykle stosowanymi w próżni zasadami bezpieczeństwa.

— Musieli wejść południową śluzą — wyjaśnił dyżurny. — Nie wiemy, czy eksplozja ich nie zniszczyła.

Jakby co, są jeszcze trzy inne wejścia, pomyślał Morgan. Najbardziej interesowało go dolne, dodane do projektu niemal w ostatniej chwili. Zresztą pierwotnie samej „piwnicy" też miało nie być. Uznano, że budowanie komory ratunkowej w sekcji, która ostatecznie i tak schowa się w ziemi, mija się z celem. Decyzję zmieniono dopiero po głębokim namyśle.

— Pokażcie mi spód — nakazał Morgan.

Wieża przechyliła się i legła poziomo, z dnem skierowanym ku Morganowi. Widział teraz całą podstawę o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych, albo i dach — zależnie od punktu widzenia.

Przy północnej i południowej krawędzi widniały wejścia do dwóch niezależnych śluz. Pozostawało tylko do nich dotrzeć. Sześćset kilometrów w górę.

— Systemy podtrzymania życia?

Śluzy poszarzały, pojaśniała za to mała szafka ustawiona pośrodku komory.

— Z tym będzie kłopot, panie doktorze — powiedział ponuro dyżurny. — Ten system służy tylko utrzymaniu właściwego ciśnienia. Brakuje filtrów powietrza, nie ma też zasilania. Skoro stracili transporter, to nie wiem, jak zdołają przetrwać noc. Temperatura już spada, od zachodu słońca ubyło dziesięć stopni.

Morgan wzdrygnął się, jakby chłód próżni dobrał mu się do skóry. Euforia, która towarzyszyła odkryciu obecności rozbitków w komorze, uleciała bez śladu. Nawet jeśli mają dość tlenu na kilka dni, to i tak zamarzną przed świtem.

— Chcę rozmawiać z profesorem Sessui.

— Bezpośrednio nie możemy, „piwnica" ma połączenie tylko ze stacją środkową. Ale da się zrobić.

W sumie rzecz nie była taka łatwa, jednak ostatecznie pilot Chang pojawił się na linii.

— Przepraszam — powiedział — ale profesor jest zajęty. Morgan odezwał się dopiero po chwili, wolno cedząc każde słowo:

— Powiedz mu, że doktor Vannevar Morgan chce z nim rozmawiać.

— Dobrze, doktorze, ale to chyba nic nie da. Rozstawia ze studentami jakąś aparaturę. Tylko tyle zdołali wynieść. Spektroskopy czy inne takie… Właśnie wycelowali je w okno…

Morgan ledwie panował nad sobą. Już miał obrzucić całe towarzystwo na górze wyzwiskami, gdy Chang go uprzedził. — Nie zna pan profesora. Ja jestem z nim od tygodnia. Można powiedzieć, że jest trochę… monotematyczny. Dopiero we trzech powstrzymaliśmy go przed powrotem do kabiny po więcej tych gratów. A parę chwil temu powiedział mi, że skoro i tak musimy wszyscy umrzeć, to chociaż upewni się, że ten jeden instrument na coś się przyda.

Z głosu Changa można było wywnioskować, że odczuwa on pewien podziw dla osoby kłopotliwego pasażera. Zresztą, logicznie rzecz biorąc, profesor miał rację. Postanowił uratować ile się da, by nie zniweczyć tych lat pracy, których ukoronowaniem miała być ta pechowa ekspedycja.

— Niech tam — mruknął w końcu Morgan, ustępując wobec siły wyższej. — Skoro nie mogę z nim rozmawiać, to może pan powie mi dokładnie, co się stało. Jak na razie mamy tylko relacje z drugiej ręki.

W końcu dotarło do inżyniera, że Chang może udzielić o wiele konkretniej szych informacji niż profesor. Chociaż upieranie się operatora-pilota przy tytułowaniu go przede wszystkim pilotem budziło często kpiny ze strony prawdziwych astronautów, był on wysoko wykwalifikowanym technikiem z dobrym przygotowaniem w dziedzinie mechaniki i urządzeń elektrycznych.

— Niewiele jest do opowiedzenia. Wszystko trwało tak krótko, że niczego nie zdołaliśmy uratować. Tylko ten cholerny spektrometr… Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że uda się nam zwiać przez śluzę. Ubrania zaczynały się już na nas tlić. I to by było na tyle. Jeden ze studentów złapał swoją torbę z notatkami. Wyobraża pan sobie? Torbę pełną papierowych notatek! Zwykły papier, i to łatwopalny, zupełnie wbrew przepisom. Chociaż, gdybyśmy mieli dość tlenu, to

zrobilibyśmy z nich ognisko…

Słuchając tego głosu i spoglądając na przejrzyste holo wieży Morganowi zdało się w pewnej chwili, że dostrzega wewnątrz konstrukcji małe na parenaście centymetrów figurki ludzi krzątających się po komorze. Starczy wyciągnąć rękę i przenieść ich do bezpiecznego wnętrza góry…

— Obok zimna najwięcej kłopotów mamy z powietrzem. Nie wiem, ile czasu minie, aż stężenie dwutlenku węgla narośnie poza dopuszczalną granicę. Ktoś mógłby obliczyć, kiedy zaczniemy mdleć. Ale tak czy inaczej, nie przesadzałbym z op — tymizmem. — Chang ściszył głos prawie do konspiracyjnego szeptu. Wyraźnie nie chciał być słyszany przez pozostałych w komorze. — Profesor i studenci tego nie wiedzą, ale eksplozja zniszczyła południową śluzę i mamy przeciek. Słyszałem ciągły syk przy uszczelce, ale nie wiem, na ile to poważne. — Ton wrócił do normalnego. — No i tak to wygląda. Będziemy czekać na wiadomości od was.

A co my możemy im powiedzieć?, pomyślał Morgan. Chyba tylko: „Żegnajcie”.

Umiejętność nie tracenia głowy w sytuacjach kryzysowych była zdolnością, którą Morgan gotów był podziwiać, ale której nikomu nie zazdrościł. Janos Bartok, szef działu bezpieczeństwa w stacji środkowej, przejął dowodzenie akcją ratunkową. Obecni we wnętrzu góry, chociaż odlegli ledwie o sześćset kilometrów od rozbitków, mogli tylko słuchać wymiany zdań i podrzucać dobre rady. Równocześnie musieli zaspokajać ciekawość coraz liczniej zgłaszających się dziennikarzy.

Oczywiście Maxine Duval była jedną z pierwszych osób, które skontaktowały się z górą w kilka minut po katastrofie. Jak zwykle wiedziała też, o co pytać.

— Czy ci ze stacji środkowej dotrą do nich na czas? Morgan zawahał się. Odpowiedź była oczywista i negatywna.

Jednak niemądrze i okrutnie byłoby już teraz zabijać wszelką nadzieję. Poza tym szczęście zdawało się sprzyjać rozbitkom…

— Nie chciałbym budzić przedwczesnych nadziei, ale może w ogóle obejdziemy się bez stacji środkowej. Na dziesiątym tysiącu jest inna załoga, ich transporter może dotrzeć do podstawy za dwadzieścia godzin.

— To czemu jeszcze nie ruszył?

— Szef bezpieczeństwa niedługo o tym zdecyduje. Ale to może być daremny wysiłek. Obawiamy się, że powietrza starczy im tylko na połowę tego czasu. Na razie jednak większy kłopot mamy z temperaturą.

— To znaczy?

— Tam jest noc, a oni nie mają żadnego ogrzewania. Nie puszczaj

tego jeszcze na antenę, Maxine, ale może być i tak, że nie zdążą się udusić, bo wcześniej zamarzną. Zapadła dłuższa chwila ciszy, potem Maxine odezwała się głosem trochę innym niż zwykle.

— Może głupio myślę, ale gdyby tak wykorzystać podczerwone lasery stacji meteo…

— Dzięki, Maxine… To ja jestem głupi. Ledwie minutę temu, gdy rozmawiałem ze stacją…

Bartok był dość uprzejmy, by przyjąć zgłoszenie Morgana, ale sposób, w jaki się przywitał, nie pozostawiał żadnych wątpliwości, co właściwie szef bezpieczeństwa sądzi o pakujących nos w nie swoje sprawy amatorach.

— Przepraszam, że zająłem czas — mruknął Morgan i przełączył się z powrotem na linię Maxine. — Czasem fachowcy wiedzą, co robią — powiedział jej z ponurą dumą. — W każdym razie nasz człowiek zna swoją robotę. Już dziesięć minut temu skontaktował się z Kontrolą Monsunów. Właśnie obliczają moc promienia. Nie chcą przedobrzyć z tym grzaniem.

— Zatem miałam rację — miauknęła Maxine. — To powinien być twój pomysł. O czym jeszcze zapomniałeś?

Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Morgan nawet nie zaczął jej szukać. Wiedział, jak pracuje umysł Maxine i domyślił się treści następnego pytania. Miał rację.

— A nie możecie wykorzystać pająków?

— Nawet najnowsze modele mają ograniczony zasięg. Mocy starcza im tylko na trzysta kilometrów. Zaprojektowano je do inspekcji niższych partii wieży, kiedy ta znajdzie się już w obrębie atmosfery.

— No to dodajcie więcej akumulatorów.

— W parę godzin? Ale nie w tym problem. Jedyny egzemplarz, który mamy tu na próbach, nie może przewozić pasażerów.

— Możecie wysłać go na pusto.

— Niestety, już o tym myśleliśmy. Potrzebny jest ktoś, kto zajmie się cumowaniem przy „piwnicy”. Na dodatek ściągnięcie siedmiu ludzi, po jednym na raz, potrwa parę dni.

— Ale przecież musicie mieć jakiś plan!

— Kilka, ale wszystkie niedorzeczne. Dam ci znać, jeśli do czegoś dojdziemy. Na razie mogłabyś zrobić coś dla nas.

— Co takiego? — spytała podejrzliwie Maxine.

— Wyjaśnij swojej publiczności, czemu statki kosmiczne mogą łączyć się na wysokości sześciuset kilometrów, ale żaden z nich nie może przycumować do wieży. Nim skończysz, pewnie będziemy mieli dla ciebie coś nowego.

Gdy tylko obraz zaintrygowanej nieco Maxine zniknął z ekranu, Morgan spojrzał na ogarnięte dobrze zorganizowanym chaosem

centrum. Spróbował jak najspokojniej rozważyć raz jeszcze wszystkie aspekty sprawy. Mimo zbycia i oburkniecia przez szefa bezpieczeństwa ze stacji środkowej Morgan uważał, że może się jednak przydać. Wprawdzie nie wierzył w cuda, to jednak znał przecież wieżę jak nikt inny, może tylko Warren Kingsley mógłby mu dorównać. Warren był jednak lepszy w kwestiach szczegółowych, Morgan ogarniał całość.

Siedmioro rozbitków tkwiło uwięzionych na niebie. Historia ery kosmicznej nie odnotowała jeszcze niczego podobnego. Ale przecież musi istnieć jakiś sposób, żeby ich ocalić! Ściągnąć ich stamtąd zanim zatrują się dwutlenkiem węgla, zanim ciśnienie spadnie w komorze na tyle, że stanie się ona grobowcem… Zupełnie jak trumna Mahometa, zawieszona miedzy niebem a Ziemią…

45. Właściwy człowiek na właściwym miejscu

— Możemy to zrobić — powiedział Warren Kingsley, uśmiechając się szeroko. — Pająk dotrze do „piwnicy”.

— Udało wam się podłączyć dodatkowe akumulatory?

— Tak, chociaż niezupełnie. Trzeba będzie podzielić drogę na dwa etapy, jak w przypadku pierwszych rakiet. Gdy tylko wyczerpie się pierwszy zestaw akumulatorów, zostanie odrzucony dla pozbycia się bezużytecznego ciężaru. To powinno nastąpić około czterechsetnego kilometra. Resztę drogi pająk przebędzie na własnych akumulatorach.

— Ile zostanie na ładunek użyteczny? Uśmiech Kingsleya zniknął.

— Niewiele. Przy najlepszych akumulatorach, jakimi dysponujemy, ledwo z pięćdziesiąt kilogramów.

— Tylko pięćdziesiąt! I co z tego komu przyjdzie?

— Powinno starczyć. Kilka butli z powietrzem, tych nowych, sprężających do tysiąca atmosfer, każda z pięcioma kilogramami tlenu. Maski z filtrami molekularnymi dla ochrony przed CO_2. Trochę wody i liofilizowana żywność. Nieco lekarstw i sprzętu medycznego. To wszystko zmieści się w czterdziestu pięciu kilogramach.

— Fiu! I pewien jesteś, że to starczy?

— Tak, przynajmniej do czasu przybycia ekipy z dziesiątego tysiąca. A w razie potrzeby pająk może pojechać dwukrotnie.

— Co powiedział Bartok? — Zgadza się. Ostatecznie nikt nie ma żadnego lepszego pomysłu.

Morgan poczuł, jak wielki kamień stoczył mu się z serca. Niejedno mogło się jeszcze nie powieść, ale przynajmniej wreszcie pojawiła się jakaś nadzieja. Koniec z poczuciem bezradności.

— Kiedy to wszystko będzie gotowe? — spytał.

— Jeśli nic się nie popieprzy, to za dwie godziny. Góra trzy. Pająka już sprawdzają, trzeba będzie jeszcze tylko…

Vannevar Morgan pokręcił głową.

— Nie, Warren — odparł spokojnie głosem nie znoszącym sprzeciwu. Wieloletni przyjaciel nie słyszał go jeszcze takim. — Wszystko jest już jasne.

— Nie próbuję nadużywać stanowiska, Bartok — powiedział Morgan. — To kwestia logicznego myślenia. Owszem, każdy może poprowadzić pająka, ale tylko kilku ludzi na świecie zna naprawdę wieżę. Na miejscu mogą wymknąć jeszcze różne kłopoty, które tylko ja dam radę rozwiązać.

— Jednak przypominam panu, doktorze Morgan — odparł szef bezpieczeństwa — że ma pan sześćdziesiąt pięć lat. Lepiej będzie wysłać kogoś młodszego.

— Nie sześćdziesiąt pięć, tylko sześćdziesiąt sześć. Ale wiek nie ma nic do rzeczy. Niczym nie ryzykuję, ta robota nie wymaga wysiłku fizycznego.

Poza tym należałoby dodać, pomyślał, że odporność psychiczna będzie w tym przypadku o wiele istotniejsza niż możliwości fizyczne. Pająkiem czy w kapsule mógł podróżować prawie każdy, Maxine Duval udowodniła rzecz dobitnie, za parę lat tą samą trasą pojadą miliony ludzi. Tutaj jednak należało stawić czoło trudnościom, które mogły wyniknąć na wysokości sześciuset kilometrów.

— Wciąż jednak uważam — nalegał Bartok — że należy wysłać kogoś młodszego. Na przykład doktora Kingsleya.

Morganowi zdało się, że stojący z tyłu przyjaciel raptownie wciągnął powietrze. Może zresztą naprawdę to zrobił. Od lat ustawicznie żartowali sobie z lęku wysokości Warrena, który nigdy nie miał ujrzeć tego, co zbudowano na podstawie jego projektów. Wprawdzie lęk ten nie był równie silny jak prawdziwa fobia, w ostateczności udawało mu się go przezwyciężyć. Przeszedł kiedyś wraz z Morganem z Afryki do Europy, ale krótko potem ujrzano (po raz pierwszy i zapewne ostatni) jak Warren Kingsley wychyla w miejscu publicznym kilka głębszych. Przez następne dwadzieścia cztery godziny nie można go było nigdzie znaleźć.

Warren nie wchodził zatem w grę, chociaż Morgan wiedział, że przyjaciel by nie odmówił. Czasem bywa, że same kwalifikacje i odwaga nie starczają; żaden człowiek nie potrafi zwalczyć sam lęków wrodzonych czy wszczepionych mu we wczesnym dzieciństwie.

Szczęśliwie nie trzeba było wyjaśniać tego wszystkiego Bartokowi. Istniał prostszy sposób wytłumaczenia, czemu Warren nie może jechać. Vannevar Morgan zwykle ubolewał nad swą nikczemną posturą, ale tym razem miała się okazać przydatna.

— Jestem piętnaście kilogramów lżejszy niż Kingsley — powiedział Bartokowi. — Wobec niewielkiej rezerwy mocy, to przeważa. Nie marnujmy zatem czasu na bezsensowne spory.

Ta ostatnia kwestia nie była zbyt stosowna i Morgan zaraz pożałował, że ją wypowiedział. Bartok wykonywał tylko swoją robotę i to wykonywał ją dobrze. Minie jeszcze godzina, nim wszystko będzie gotowe. Nie, nikt tutaj nie marnował czasu.

Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy, jakby nie dzieliło ich jakieś upiorne dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów. Gdyby miało dojść do otwartej próby sił, sytuacja zrobiłaby się nieciekawa. Bartok był z urzędu odpowiedzialny za cały system bezpieczeństwa i wszystkie operacje ratunkowe. W uzasadnionych przypadkach decyzja należała do niego, a nie do głównego inżyniera czy kierownika projektu. Ale jak niby miał obecnie wyegzekwować cokolwiek? I Morgan i jego pająk byli daleko w dole, we wnętrzu Sri

Kandy. To ostatnie, w myśl zasady *beatus qui tenet,* przesądzało sprawę.

Bartok wzruszył ramionami i Morgan odetchnął.

— Punkt dla pana. Wciąż mi się to nie podoba, ale jestem z panem. Powodzenia.

— Dziękuję — odpowiedział cicho Morgan, gdy obraz rozmówcy zniknął z ekranu. Obrócił się zaraz do Kingsleya. — Idziemy. Wracając z centrali na wierzchołek góry Morgan przypomniał sobie o małym wisiorku noszonym pod koszulą. CZUWA nie odzywał się ód tygodni, nawet Warren nie wiedział o istnieniu czujnika. Czyżby jednak rzeczywiście ryzykował swoje życie? I życie tych siedmiorga ludzi? A wszystko dla zaspokojenia własnej próżności. Gdyby Bartok wiedział o czujniku…

Ale teraz było już za późno. Jakiekolwiek motywy kierowały Morganem, dopiął swego.

46. Pająk

Jak ta góra się zmieniła, pomyślał Morgan. Pośrodku gładkiej płaszczyzny pozostałej po ściętym wierzchołku widniała obecnie jedynie okrągła pokrywa szybu. Dziwnie to wyszło, ale największy port kosmiczny Układu Słonecznego miał powstać głęboko we wnętrzu góry…

Nikt by nie pomyślał, że kiedyś stał tu zabytkowy klasztor przez całe trzy tysiące lat skupiający lęki i nadzieje milionów ludzi. Jedyną obecną wciąż spuścizną po mnichach była pewna kłopotliwa własność czekająca wciąż na transport, wszelako ani radni Yakkagali ani dyrektor Muzeum Ranapury nie zdradzali szczególnej chęci przejęcia złowróżbnego dzwonu Kalidasy. Ostatni raz odezwał się podczas krótkotrwałej a znaczącej burzy, która rozszalała się wokół wierzchołka. Oto powiał wiatr zmian, wiatr historii… Obecnie powietrze było idealnie spokojne. Morgan wraz z pomocnikami podeszli do jaśniejącej w świetle przenośnych jupiterów kapsuły. Ktoś wymalował na jej burcie napis PAJĄK BIS. Poniżej widniał jeszcze dopisek: ZAWSZE DOSTARCZAMY WSZYSTKO NA MIEJSCE. Oby to była prawda, mruknął Morgan…

Zawsze, gdy wjeżdżał na sam szczyt, miał trudności ze złapaniem oddechu i jak na zbawienie czekał teraz na strumień życiodajnego tlenu z instalacji kapsuły. Niemniej CZUWA milczał, jak zawsze zresztą podczas wizyt na górze. Widocznie zaordynowany przez doktora Sena reżim był skuteczny. Wszystko załadowano już na pokład, podwieszono też dodatkową baterię akumulatorów. Mechanicy kończyli pospiesznie ostatnie poprawki, przełączali różne kable. Dla kogoś nieprzywykłego do poruszania się w skafandrze kosmicznym taki gąszcz przewodów mógł być niebezpieczny.

Elastyczny skafander dla Morgana dostarczono z portu Gagarina ledwie trzydzieści minut temu, kiedy inżynier zastanawiał się już poważnie, czy nie wybrać się w drogę bez tej ochrony. Pająk bis był wehikułem o wiele nowocześniejszym niż ten prototyp, którego dosiadła kiedyś Maxine Duval. W zasadzie był to już miniaturowy statek kosmiczny z własnym systemem podtrzymania życia. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Morgan zacumuje go przy wieży i po prostu połączy śluzy, znormalizowane na taką okoliczność już kilka lat temu. Skafander jednak mógł się przydać na wypadek kłopotów z dokowaniem, ponadto dawał większą swobodę manewru. Elastyczna materia dokładnie przylegała do ciała i w niczym nie przypominała niezgrabnych zbroi, które musieli wdziewać pierwsi astronauci. Nawet w próżni prawie nie krępowała ruchów. Morgan widział kiedyś, jak demonstrowano możliwości tych skafandrów, najpierw wykonując w

nich przedstawienie baletowe, potem tocząc uczciwą walkę na miecze. To ostatnie, chociaż osobliwe, dowodziło sukcesu projektantów.

Morgan wszedł po paru schodkach, przystanął na metalowej platformie kabiny i powoli wsunął się tyłem do środka. Usiadł, zapiął pas i zdumiał się przestronnością wnętrza. Wprawdzie pająk bis był pojazdem jednoosobowym, to jednak nie przyprawiał o klaustrofobię, i to nawet z całym dodatkowym wyposażeniem.

Pod siedzeniem leżały dwie metalowe butle z tlenem, w małym pudełku za drabinką wiodącą do górnego włazu schowano maski z pochłaniaczami dwutlenku węgla. Jak niewiele trzeba, by ocalić czyjeś życie…

Morgan zabrał jeden tylko przedmiot z osobistego wyposażenia, wiele znaczącą dlań pamiątkę z pierwszego dnia spędzonego dawno temu na Yakkagali, gdzie to wszystko tak naprawdę się zaczęło. Maleńka wyciągarka nie zajmowała wiele miejsca i ważyła ledwie kilogram. Z latami stała się czymś na podobieństwo talizmanu, ponado wciąż nader skutecznie pozwalała demonstrować właściwości nici molekularnej. Ilekroć Morgan gdzieś jej zapomniał, niemal zawsze rychło stwierdzał, jak dokuczliwy to brak. W tej podróży wyciągarka mogła okazać się pomocna.

Odszukał łatwo wyczepiałną pępowinę skafandra i sprawdził system tlenowy, najpierw z zasobów własnych, potem z zewnętrznych. Na dole technicy odłączyli już zasilanie naziemne, pająk był zdany tylko na siebie.

I co tu powiedzieć przed odjazdem? Zbyt górnolotne zdania jakoś nie pasowały do sytuacji, zresztą robota zapowiadała się raczej łatwo.

— Pilnuj interesu, Warren — powiedział Morgan do Kingsleya, krzywiąc się nieco, i dopiero wtedy spostrzegł drobną postać stojącą w tłumku zgromadzonym wokół kapsuły. O Boże, pomyślał, prawie zapomniałem o tym biedaku… — Dev! — krzyknął. — Przepraszam, ale tak wyszło. Zajmę się tobą, gdy wrócę.

I zrobię to, dodał w myślach. Kiedy wieża będzie już gotowa, znajdzie się czas na wszystko, w tym i na restaurację tak zaniedbanych kontaktów towarzyskich. Devem warto się będzie zająć. Jeśli chłopak już teraz wiedział, kiedy należy zejść zajętym ludziom z drogi…

Z łagodnym stuknięciem zamknięto półkoliste drzwi kapsuły, ich górna część była przezroczysta. Morgan przycisnął guzik kontroli systemów i wszelkie istotne dane tyczące pająka zaczęły kolejno pojawiać się na ekranie. Wszystkie oznaczone na zielono, czyli żadnych powodów do niepokoju. Gdyby jakikolwiek odczyt odbiegał od optymalnego, napis zamrugałby czerwienią. Inżynierowie znali się na swej robocie, ale ostrożność ostrożnością. Morgan sprawdził, że ciśnienie tlenu wynosi sto dwa procent, główna bateria akumulatorów naładowana jest w stu jeden procentach, pomocnicza w stu pięciu…

Spokojny, stonowany głos kontrolera, tego samego, który prowadził wszystkie operacje od czasu pierwszego, nieudanego opuszczenia próbnika wiele lat temu, odezwał się w słuchawkach.

— Wszystkie systemy w normie. Proszę przejąć kontrolę nad pojazdem.

— Przejmuję. Poczekam do pełnej minuty. Procedura w żadnym stopniu nie przypominała wystrzelenia rakiety. Żadnego długotrwałego odliczania ułamków sekund, żadnych burz płomieni i ogłuszającego ryku. Morgan odczekał tylko, aż w dwóch ostatnich okienkach zegara pokażą się zera, i włączył minimalne zasilanie.

Bardzo łagodnie i całkiem cicho zalany blaskiem świateł szczyt góry odpłynął w dół. Nawet lot balonem byłby głośniejszy. Dopiero uważnie nastawiając ucha można było złowić pomruk dwóch silniczków napędzających rolki obejmujące taśmę w górze i w dole kapsuły.

Szybkościomierz pokazał pięć metrów na sekundę. Morgan systematycznie zwiększał moc, aż rozpędził pająka do szybkości pięćdziesięciu metrów na sekundę czyli prawie dwustu kilometrów na godzinę. Była to optymalna szybkość wehikułu przy takim obciążeniu. Po odrzuceniu dodatkowej baterii akumulatorów miała wzrosnąć do prawie dwustu pięćdziesięciu.

— Powiedz coś, Van! — odezwał się Warren Kingsley.

— A daj mi spokój — odparł Morgan. — Zamierzam nieco się odprężyć, podziwiać krajobraz. Przyda mi się kilka godzin relaksu. Jeśli marzyło ci się nieustanne sprawozdanie z ekspedycji, trzeba było wysłać Maxine Duval.

— Dodzwania się tu od godziny.

— Pozdrów ją ciepło i powiedz, że jestem zajęty. Może gdy dotrę do wieży… A właśnie, co z nimi?

— Temperatura ustabilizowała się na dwudziestu stopniach. Kontrola Monsunów wspiera ich co dziesięć minut skromnym megawatem. Ale profesor Sessui dostał piany na ustach. Mówi, że te lasery rozstrajają mu instrumenty.

— A powietrze?

— Nie za dobrze. Ciśnienie spadło znacząco, no i oczywiście coraz więcej dwutlenku węgla. Ale jeśli dotrzesz na czas, to wytrwają. Unikają niepotrzebnych ruchów, by oszczędzać tlen.

Wszyscy, prócz profesora Sessui. O to ostatnie gotów jestem się założyć, pomyślał Morgan. Ciekawie będzie spotkać tego człowieka, którego życie właśnie próbował ratować. Czytał już kilka jego wielokrotnie nagrodzonych książek popularno-naukowych i uważał je za napisane nazbyt kwiecistym stylem i przereklamowane. Morgan podejrzewał, że autor może być kimś podobnym do swoich dzieł. — A ci z dziesiątego tysiąca?

— Wyruszą za dwie godziny. Instalują jeszcze coś tam w transporterze. Chcą mieć pewność, że pożar się nie powtórzy.

— Świetnie. Podejrzewam, że to pomysł Bartoka.

— Zapewne. Pojadą północnym szlakiem na wypadek, gdyby eksplozja nazbyt uszkodziła południowy. W najlepszym razie będą na miejscu za… kurczę… dwadzieścia jeden godzin. Masa czasu, nawet jeśli nie wyślemy pająka po raz drugi.

Mimo żartobliwego tonu Morgan wiedział, że za wcześnie jeszcze na relaks, chociaż wszystko szło na razie zgodnie z oczekiwaniami. Następne trzy godziny faktycznie miało mu wypełnić jedynie podziwianie widoków.

Był już na wysokości trzydziestu kilometrów. Wokół trwała tropikalna noc. Nawet bez księżyca widział w dole mozaikę światełek miast i wiosek wyspy. Spoglądając tak na gwiazdy w górze i konstelacje lamp w dole, Morgan z łatwością zdołał sobie wyobrazić, że trwa zawieszony z dala od jakiejkolwiek planety, zagubiony gdzieś w głębinach kosmosu. Niedługo ujrzy całą Taprobane okoloną blaskiem nadmorskich osiedli. Gdzieś daleko na północy pojawiła się na tle nieba jaśniejsza plama. Zapowiedź świtu? Dopiero po chwili zrozumiał, że to łuna największych miast Południowego Hindustanu.

Dotarł na pułap niedostępny dla najnowocześniejszych nawet samolotów. Jego podróż stała się czymś nowym w historii transportu powietrznego. Wprawdzie pająki docierały już na wysokość dwudziestu kilometrów, nikt jednak nie poważył się ruszyć wyżej, gdzie niemożliwą byłaby już żadna akcja ratunkowa. Pierwsze poważne prace na taśmach miały ruszyć dopiero po dotarciu podstawy wieży nad samą Ziemię. Wówczas do góry ruszyłyby przynajmniej trzy pająki. Morgan zastanowił się nad ewentualnymi konsekwencjami zacięcia się mechnizmu napędu. Byłby to wyrok na rozbitków w „piwnicy", wyrok na niego…

Pięćdziesiąt kilometrów. Dotarł do miejsca, które w normalnych warunkach stanowiło dolny pułap jonosfery. Nie oczekiwał, rzecz jasna, że zobaczy cokolwiek na kształt pasa granicznego, ale spotkała go niespodzianka.

Najpierw usłyszał ciche potrzaskiwanie w słuchawkach, potem kątem oka dojrzał błysk światła. Jego źródło było gdzieś w dole. Morgan przekręcił zewnętrzne lusterko tak, by widzieć co dzieje się pod kapsułą. W pierwszej chwili zdumiał się, potem lekko wystraszył, w końcu wezwał górę.

— Mam towarzystwo — oznajmił. — To chyba coś z działki profesora Sessuiego. Kula światła, około dwudziestu centymetrów średnicy. Sunie po taśmie tuż pode mną i cały czas trzyma dystans. Mam nadzieję, że tak pozostanie. Muszę jednak przyznać, że jest piękna. Niebieskawa, co kilka sekund migocze. I słyszę jaw radio.

Kingsley odezwał się dopiero po minucie.

— Spokojnie, to tylko ognie świętego Elma — powiedział z przekonaniem. — Podobne atrakcje pojawiają się na taśmie podczas każdej burzy z piorunami. Na pokładzie pierwszego pająka włosy stanęłyby ci dęba, ale w tym jesteś dobrze izolowany.

— Nie miałem pojęcia, że coś takiego może się zdarzyć na takiej wysokości.

— My też nie. Profesor lepiej ci to wszystko wyjaśni.

— Och… blednie. Puchnie i znika. Już jej nie ma. Pewnie atmosfera jest zbyt rozrzedzona. Szkoda, że sobie poszła…

— To był tylko prolog — powiedział Kingsley. — Popatrz w górę.

Gwiazdy błysnęły w lusterku, gdy Morgan obrócił je ku zenitowi. W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego szczególnego, musiał dopiero wyłączyć lampki kontrolne na tablicy i poczekać, aż oczy przywykną do ciemności.

Powoli zaczął dostrzegać czerwonawą poświatę pochłaniającą blask gwiazd. Była coraz jaśniejsza i rozciągała się daleko poza pole widoczne w lusterku, ogarnęła już połowę nieba i dała się dostrzec bezpośrednio przez szybę kapsuły. Ku Ziemi wyciągała się migotliwa, ruchoma klatka światła. Morgan zaczął rozumieć, dlaczego profesor Sessui gotów był poświęcić życie, by poznać sekrety tego zjawiska.

Awrora borealls składała jedną ze swych nader rzadkich wizyt na równiku.

47. Ponad zorzą

Morgan wątpił, by zawieszony pięćset kilometrów wyżej profesor Sessui miał podobnie wspaniały widok. Siła burzy narastała gwałtownie. Audycje na falach krótkich, wykorzystywanych wciąż w wielu mniej istotnych celach, musiały być już zupełnie niesłyszalne i to na całym świecie. Morgan nie był pewien, czy rzeczywiście słyszy lekki szmer, jakby przesypującego się piasku czy kruszących się suchych gałązek, czy może tylko mu się zdaje. Ten odgłos z pewnością nie dobiegał ze słuchawek, te bowiem były wyłączone.

Przez całe niebo ciągnęły się obramowane karmazynem zasłony jasnej zieleni'. Kołysały się powoli, jakby targane niewidoczną dłonią. W rzeczywistości drżały pod naporem słonecznego wiatru, deszczu cząsteczek pędzących z szybkością miliona kilometrów na godzinę, mijających Ziemię i odlatujących dalej. Zorza lśniła teraz również na Marsie, zaś trująca atmosfera Wenus musiała być skąpana w ogniu. Ponad kurtynami falowały długie wstęgi na wpół rozłożonego wachlarza. Czasem celowały wprost w Morgana, oślepiając go na całe minuty niczym promienie wielkich reflektorów przeciwlotniczych. W końcu musiał wyłączyć całe wewnętrzne oświetlenie kapsuły, bo przy wpadającym przez okno blasku spokojnie można by czytać.

Dwieście kilometrów. Pająk wciąż wspinał się bezgłośnie, bez wysiłku. Aż trudno uwierzyć, że dokładnie godzinę temu opuścił Ziemię. W zasadzie trudno było uznać, ze Ziemia wciąż jeszcze istnieje gdzieś poza tymi kanionami ognia.

Przedstawienie nie trwało długo. Po kilkunastu sekundach potencjały pola magnetycznego i napływających ładunków wyrównały się. Jednak przez te kilka chwil Morgan miał wrażenie, że oto wydobywa się z przepaści, przy których blednie nawet Valles Marineris, Wielki Kanion Marsa. Potem wysokie na sto kilometrów klify zbladły, ukazując znów punkciki gwiazd, przypomniały, że są tylko zwidami, grą świateł.

Niczym samolot wzlatujący ponad chmury, kapsuła Morgana wspinała się ponad arenę świetlnego spektaklu. Fluoryzująca, skotłowana mgła zostawała w dole. Wiele lat temu zdarzyło się Morganowi wziąć udział w rejsie po morzach tropikalnych, wspomniał jak pewnej nocy dołączył do pasażerów podziwiających z rufy świetlistą wstęgę kilwateru. Obecnie widziane zielenie i błękity miały w sobie coś z tamtego blasku wywołanego przez miliony cząsteczek planktonu. Wyobraził sobie, że teraz też patrzy na igraszki żywych istot, niewidzialnych bestii zamieszkujących górne warstwy atmosfery…

Prawie zapomniał o celu swej misji i aż drgnął, gdy głos z dołu

przywołał go do rzeczywistości.

— Jak zasilanie? — spytał Kingsley. — Jeszcze tylko dwadzieścia minut na tych bateriach.

Morgan spojrzał na kontrolki.

— Moc spadła do dziewięćdziesięciu pięciu procent, ale tempo wznoszenia wzrosło o pięć procent. Robię dwieście dziesięć na godzinę.

— Czyli w porządku. To wynik malejącego dążenia. Na tej wysokości jest już mniejsze o dziesięć procent.

Spadek był za mały, by zauważyć go samemu, szczególnie gdy było się przypasanym do fotela i dźwigało na grzbiecie skafander ważący kilka kilogramów. Wszelako nastrój Morgana poprawił się do tego stopnia, że inżynier aż sprawdził, czy nie nałykał się przypadkiem za dużo tlenu.

Nie, dopływ w normie. To chyba zwykłe pobudzenie wywołane niedawnym widowiskiem. To ostatnie kończyło się już, odpływając na pomoc i południe, jakby wracając do polarnych warowni. Nie bez znaczenia dla dobrego samopoczucia była też świadomość dotychczasowego powodzenia misji wykorzystują — cej technologię, której żaden człowiek nie sprawdzał jeszcze w tak skrajnych warunkach.

Było to wyjaśnienie dobre i logiczne, ale niepełne. Istniało bowiem jeszcze poczucie zadowolenia, szczęścia, a nawet radości. Warren Kingsley opowiadał, że czegoś podobnego doświadczał w nieważkim środowisku morskich głębin. Morgan nigdy nie nurkował, ale wiedział już, jak to musi wyglądać. Zdawało mu się, że opuszczając Ziemię zostawił poniżej zorzy wszystkie troski i kłopoty.

Gwiazdy wróciły już niemal na miejsce, wysłannicy znad biegunów odeszli. Morgan spojrzał do góry, ale w świetle niknącego blasku dojrzał tylko kilka najbliższych metrów taśmy. Wąska wstęga, od której zależało teraz życie ośmiu ludzi, wydawała się trwać w miejscu i aż trudno było uwierzyć, że przesuwa się między rolkami wehikułu z szybkością ponad dwustu kilometrów na godzinę. Wraz z tą myślą Morgan przypomniał sobie dzieciństwo. Już po chwili wiedział, skąd wziął się jego szampański nastrój.

Szybko przebolał stratę pierwszego latawca i zabrał się za bardziej skomplikowane i większe modele. Zanim jeszcze odkrył istnienie zestawów meccano i na zawsze już porzucił latawce, eksperymentował jeszcze trochę z małymi spadochronami. Wyobrażał sobie nawet, że to jego własny wynalazek, chociaż zapewne musiał widzieć je na jakimś filmie, może o nich czytał. Rzecz była tak prosta, że całe pokolenia podrostków zapewne nieustannie odkrywały ją na nowo.

Najpierw wystrugał pięciocentymetrowy kawałek deszczułki, do

której przymocował spinacze. Te ostatnie zahaczył o sznurek latawca, tak by urządzeniemogło poruszać się swobodnie w górę i w dół. Potem zrobił z papieru ryżowego spadochron wielkości chustki do nosa, jedwabne nitki podtrzymywały balast z tektury. W końcu przyczepił tekturkę do deszczułki bacząc, by gumka nie ścisnęła obu elementów zbyt mocno. Machina była gotowa.

Niesiony wiatrem mały spadochron szybko wędrował wraz z deszczułką po sznurku aż na pułap bujającego wysoko latawca. Wtedy wystarczyło szarpnąć sznurkiem, by tekturka wyśliznęła się spod gumki. Spadochron odpływał, a drewienko ze spinaczami wracało spokojnie na dół, gotowe do wyniesienia następnego ładunku. Z jaką zazdrością spoglądał na swe konstrukcje odlatujące z wiatrem nad morze! Większość spadała do wody przebywszy ledwie kilometr, niekiedy jednak maleńkie spadochrony znikały mu z oczu, wciąż uparcie zyskując na wysokości. Z lubością wyobrażał sobie, jak szczęśliwi podróżnicy docierają do zaczarowanych wysp Pacyfiku, ale chociaż na każdym kawałku tektury wypisywał zawsze swe nazwisko i adres, nigdy nie doczekał się odpowiedzi.

Morgan mimowolnie uśmiechnął się do tych odległych wspomnień. Tyle wyjaśniały. Marzenia dzieciństwa zblakły wobec realności świata dorosłych, ale nie zginęły.

— Docierasz do trzystu osiemdziesięciu — odezwał się Kingsley. — Jak moc?

— Zaczyna spadać. Już tylko osiemdziesiąt siedem procent. Akumulatory siadają.

— Jeśli wytrzymają jeszcze ze dwadzieścia kilometrów, to będzie dobrze. Jak się czujesz?

Morgana kusiło, by opisać swój stan ze wszystkimi szczegółami, jednak wrodzona ostrożność zwyciężyła.

— W porządku. Gdybyśmy mogli zagwarantować każdemu pasażerowi taki spektakl, jaki ja widziałem, to mielibyśmy kilometrowe kolejki przy kasach.

— Może da się zrobić — zachichotał Kingsley. — Możemy poprosić Kontrolę Monsunów, by wylali kilka baryłek elektronów gdzie trzeba. Na co dzień zajmują się czymś innym, ale przecież wiemy już, że potrafią świetnie improwizować, prawda?

Morgan też się uśmiechnął, ale nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w kontrolki, które pokazywały powolny spadek mocy akumulatorów i tempa wznoszenia. Nie był to jednak żaden powód do niepokoju. Pająk dotarł na wysokość trzystu osiemdziesięciu pięciu kilometrów, a zapasowa bateria starczyć miała na czterysta.

Na trzysta dziewięćdziesiątym kilometrze szybkość zaczęła szybko maleć, aż w końcu pająk ledwie czołgał się po taśmie. Stanął tuż przed czterysta piątym kilometrem.

— Odrzucam baterię — zameldował Morgan. — Uważać na głowy.

Długo zastanawiano się, jak by tu odzyskać ciężkie i kosztowne akumulatory, ale nie było dość czasu, by zmontować jakiś system zaczepów, po których mogłyby bezpiecznie zsunąć się na Ziemię, do miejsca startu. Wprawdzie spadochrony były pod ręką, ale nikt nie chciał ryzykować, że linki zapłaczą się w taśmę. Szczęśliwie obszar upadku akumulatorów, dziesięć kilometrów na wschód od równika, porastała gęsta dżungla. Dzikim mieszkańcom wyspy Taprobane pozostało zatem liczyć na szczęście, Morgan zaś już przygotował się w duchu na późniejszą ostrą rozmowę z ministrem ochrony środowiska.

Ostrożnie przekręcił kluczyk i przycisnął czerwony guzik, by odpalić ładunki. Pająk zatrząsł się. Potem Morgan przełączył zasilanie na wewnętrzną baterię akumulatorów, zwolnił hamulce i włączył silniki.

Kapsuła ruszyła w górę, ale jedno spojrzenie na odczyty pozwoliło stwierdzić, że coś jest nie tak. Zamiast ponad dwustu kilometrów na godzinę, pająk robił niecałe sto. Nie trzeba było zastanawiać się długo, jaka jest tego przyczyna, bowiem liczby mówiły same za siebie. Ciężko sfrustrowany Morgan wywołał górę.

— Mam kłopoty — powiedział, — Ładunki odpaliły, ale akumulatory nie odpadły. Coś je trzyma.

Było oczywiste, że taki wypadek zmuszał do przerwania misji. Wszyscy świetnie wiedzieli, że dźwigając kilkaset kilogramów bezużytecznego ładunku pająk nigdy nie dotrze do podstawy wieży.

48. Noc w willi

Ambasador Rajasinghe nie potrzebował ostatnio wiele snu, zupełnie jakby dobroduszna natura chciała dać mu szansę wykorzystania do maksimum ostatnich lat życia. Poza tym kto chciałby kłaść się do łóżka teraz, gdy niebo nad Taprobane rozświetlały nie widziane tu od wieków zorze?

Bardzo żałował, że nie może podziwiać ich w towarzystwie Paula Saratha. Nigdy nie sądził, że brak starego przyjaciela okaże się aż tak dotkliwy. Nie było już nikogo, zdolnego przygadać tak złośliwie i stymulujące jak Paul. Paul, z którym znali się świetnie od dzieciństwa… Rajasinghe nie oczekiwał też, że przeżyje przyjaciela ani że ujrzy jeszcze gigantyczny stalaktyt wieży, która połączyła już niemal Taprobane z orbitą. Paul był do końca przeciwny projektowi, ciągle wspominał coś o mieczu Damoklesa i wróżył, że cała ta ważąca miliard ton konstrukcja wcześniej czy później spadnie na Ziemię. Ale nawet Paul przyznawał, że płynęły już z istnienia wieży pewne pożytki.

Po raz pierwszy zapewne w historii reszta świata dowiedziała się o istnieniu Taprobane, odkrywając przy tej okazji dawną kulturę wyspy. Szczególnie wiele uwagi przyciągnęła Yakkagala, miejsce ponure i otoczone legendą. Dzięki temu Paul zdołał wreszcie ruszyć kilka własnych projektów. Powstało wiele książek i filmów próbujących zgłębić enigmatyczną osobowość twórcy Skały Demona, a na przedstawienia typu światło i dźwięk u stóp Yakkagali przychodził niezmiennie komplet widzów. Na krótko przed śmiercią Paul zauważył zgryźliwie, że skutkiem reklamy turystycznej Kalidasa z każdym rokiem coraz mniej przypomina postać historyczną.

Krótko po północy, kiedy widowisko zaczęło tracić na intensywności, Rajasinghe pozwolił zanieść się do sypialni. Jak zawsze powiedział dobranoc domownikom, odprężył się nieco przy szklaneczce gorącego ponczu i włączył wieczorne podsumowanie wydarzeń dnia. Spośród wszystkich nagłówków interesowały go tylko poczynania Morgana, który powinien docierać już do podstawy wieży.

Na ekranie pojawiła się linijka tekstu:

MORGAN UTKNĄŁ 200 KILOMETRÓW OD CELU

Rajasinghe przebiegł palcami po klawiszach, by przeczytać całą wiadomość i odetchnął z ulgą. Morgan nie utknął na dobre, miał tylko poważne kłopoty z kontynuowaniem podróży. W każdej chwili mógł

powrócić na Ziemię, chociaż to oznaczałoby skazanie profesora Sessuiego, studentów i załogi na pewną śmierć.

Nad niebem wyspy rozgrywał się wciąż cichy dramat. Ambasador przełączył się z telegazety na obraz, ale tam też nie mieli niczego nowego. Z braku innych materiałów przypominano wycieczkę, którą Maxine Duval odbyła kilka ładnych lat temu w pierwszym, prototypowym pająku.

— Jeśli tak, to pora przejść na własny program — mruknął Rajasinghe i uruchomił ukochany teleskop.

Przez pierwsze miesiące, kiedy wiek przykuł go do łóżka, nie mógł używać instrumentu. Potem zdarzyło się, że Morgan zadzwonił, aby spytać z grzeczności jak zdrowie i tak dalej, a usłyszawszy w czym rzecz, szybko wymyślił, jak temu zaradzić. Tydzień później zdumiony i uradowany Rajasinghe przeżył najazd małej drużyny techników, którzy wyposażyli teleskop w kamery i zdalne sterowanie. Teraz mógł podziwiać niebo i skałę leżąc wygodnie w pościeli. Był wciąż głęboko wdzięczny Morganowi za ten gest; nigdy dotąd nie podejrzewał nawet inżyniera o podobne odruchy.

Nie wiedział, czy uda mu się cokolwiek zobaczyć w nocy, ale wiedział gdzie powinien patrzeć; już wielokrotnie lustrował całą strunę wieży. Czasem, gdy promienie słońca padały pod stosownym kątem, widział nawet cztery mierzące w zenit taśmy, kwartet lśniących nici rozpięty na niebie.

Manewrując teleskopem wycelował go w Sri Kandę, a potem powoli skierował ku górze, próbując wypatrzeć kapsułę. Ciekawe, co myśli o tym wszystkim Maha Thero. Wprawdzie Rajasinghe nie rozmawiał z ponad dziewięćdziesięcioletnim już kapłanem od czasu gdy mnisi przenieśli się do Lhasy, to jednak wiedział, że Potala nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Wielki pałac chylił się z wolna ku ruinie, gdy tymczasem pełnomocnicy Dalaj Lamy wykłócali się z rządem federalnym Chin o pokrycie kosztów remontu. Wedle ostatnich wieści, Maha Thero wdał się w negocjacje z Państwem Watykańskim, które też cierpiało na chroniczne kłopoty finansowe, ale przynajmniej miało wciąż stałą i własną siedzibę.

Zaiste, zmienność jest cechą tego świata… Żeby tak jeszcze dało się odnaleźć jakiś wzór w tym chaosie. Może geniusz matematyczny miary Parakarmy-Goldberga potrafiłby to zrobić. Ostatni raz Rajasinghe widział naukowca-kapłana, gdy ten odbierał jakąś poważniejszą nagrodę naukową za osiągnięcia w dziedzinie meteorologii. Ambasador nigdy by go nie rozpoznał: ogolony i w garniturze skrojonym wedle ostatniej, neonapoleońskiej mody. Teraz jednak podobno znów zwrócił się ku religii… Gwiazdy wolno przesuwały się w dół ekranu dużego monitora u stóp łóżka. Jednak ani śladu kapsuły, chociaż przecież musiała być gdzieś w polu widzenia.

Już miał wrócić na kanał informacyjny, gdy blisko dolnej krawędzi ekranu zapłonęła gwiazda silna jak nova. W pierwszej chwili Rajasinghe pomyślał, że kapsuła eksplodowała, potem ujrzał ją, zalaną równomiernym blaskiem. Przesunął teleskop, by jasny punkt znalazł się pośrodku ekranu, i włączył maksymalne powiększenie.

Dawno temu widział dwudziestowieczny film archiwalny o wojnie w przestworzach. Była tam sekwencja przedstawiająca nocne bombardowanie Londynu. Wraży bombowiec niczym ćma miotał się złapany w stożek reflektorów. Obecnie Rajasinghe widział coś bardzo podobnego, chociaż tym razem ludzie na Ziemi łączyli swe wysiłki nie po to, by zniszczyć nocnego wędrowca, ale by mu pomóc.

49. Wyboista droga

Warren Kingsley opanował już drżenie głosu, ale nie potrafił ukryć zmęczenia i rozpaczy.

— Pilnujemy tego mechanika, żeby nie palnął sobie w łeb, ale trudno go winić. Odwołano go do innej pilnej roboty wewnątrz pojazdu i po prostu zapomniał usunąć pasy zabezpieczające.

Zatem, jak zwykle, problem powstał skutkiem błędu człowieka. Na czas podłączania przewodów odpalania do ładunków, akumulatory zostały zabezpieczone metalowymi taśmami. Potem usunięto tylko jedną z nich… Takie rzeczy zdarzały się z monotonną regularnością, czasem tylko drażniły, czasem wiodły do katastrofy, a odpowiedzialna za błąd osoba musiała do końca życia dźwigać brzemię winy. Tak czy inaczej, karanie winnego nie miało najmniejszego sensu. Teraz najważniejsze było znalezienie jakiegoś wyjścia z tej bryndzy.

Morgan obrócił zewnętrzne lusterko ku dołowi, ale i tak nie miał szans ujrzeć kłopotliwego miejsca. Teraz, gdy zorza zblakła, dolna część kapsuły pogrążyła się w kompletnym mroku i nie było sposobu, aby ją oświetlić. Chociaż na to ostatnie była rada. Jeśli Kontrola Monsunów potrafi skąpać podstawę wieży w podczerwieni, to chyba znajdzie jeszcze trochę fotonów na jego użytek.

— Możemy wykorzystać własne szperacze — powiedział Kingsley, gdy Morgan zreferował sprawę. — Lepiej nie, świeciłyby mi prosto w oczy. Niczego bym nie dojrzał. Potrzeba mi światła z góry i zza pleców. Na pewno uda się kogoś znaleźć.

— Sprawdzę — odparł Kingsley, bezspornie uradowany, że wreszcie może się na coś przydać. Oczekiwanie na jego odpowiedź dłużyło się niemiłosiernie, chociaż spojrzawszy na zegarek Morgan przekonał się, że minęły ledwie trzy minuty.

— Kontrola Monsunów mogłaby to zrobić, ale musieliby przestroić lasery i zmienić skupienie wiązki. Chyba boją się przerobić cię na frytkę. Ale stacja Kinte może zaczynać od razu. Mają pseudo-biały laser i są w dobrej pozycji. Dać im znak?

Morgan sprawdził ustawienie. Kinte jest wysoko na zachodzie. Tak będzie dobrze.

— Jestem gotowy — powiedział i zamknął oczy.

Niemal natychmiast jasny blask zalał kapsułę. Morgan ostrożnie otworzył oczy. Źródło światła znajdowało się wysoko na zachodzie. Samo światło zdawało się być białe (chociaż Morgan wiedział, że składa się z trzech barw — czerwieni, niebieskiego i zieleni) i bardzo intensywne, mimo przebycia prawie czterdziestu tysięcy kilometrów.

Poprawiwszy kilka razy lusterko, Morgan dojrzał wreszcie fatalne miejsce położone ledwie pół metra poniżej jego stóp. Widoczny koniec

taśmy zabezpieczała duża motylkowa nakrętka. Wszystko, co powinien uczynić, to odkręcić ten detal, a wtedy akumulatory odpadną…

Przez kilka długich minut analizował w milczeniu sytuację, aż wreszcie odezwał się Kingsley, tym razem jakby nieco podniesiony na duchu.

— Obliczyliśmy tu co nieco, Van… Co o tym sądzisz? Morgan wysłuchał wszystkiego i gwizdnął z cicha.

— Jesteście pewni marginesu bezpieczeństwa?

— Oczywiście — odparł Kingsley niemal entuzjastycznie i trudno było winić go za ten entuzjazm, chociaż z drugiej strony, to nie on miał nadstawiać karku.

— Jeśli tak, to spróbuję. Ale na razie tylko sekunda.

— To nie starczy. Niemniej pomysł jest dobry. Sam się przekonasz.

Morgan zwolnił łagodnie hamulce i natychmiast uniósł się nieco nad siedzeniem. — Raz, DWA! — policzył i ponownie zaciągnął hamulce. Pająk szarpnął i Morgan poczuł, jak siła bezwładu wciska go w tapicerkę. Mechanizm pisnął potężnie i kapsuła stanęła. Po chwili wygasły też i wibracje.

— Trochę potrzęsło — powiedział Morgan. — Ale nie odpadłem. Bateria też tu jest.

— Ostrzegałem cię, że trzeba mocniej. Przynajmniej dwie sekundy.

Morgan wiedział, że nie przelicytuje wyposażonego we wszystkie możliwe maszyny liczące Kingsleya, wciąż jednak odczuwał potrzebę osobistego skalkulowania danych. Dwie sekundy swobodnego spadania i, powiedzmy, pół sekundy na zaciśnięcie hamulców; przyjmijmy, że masa pająka wynosi tonę… Pozostawało obliczyć, co zerwie się pierwsze: taśma akumulatorów czy taśma podtrzymująca pająka na wysokości czterystu kilometrów? W normalnych warunkach zwykła stal nie wytrzymywała porównania z superwłóknem, ale jeśli zaciągnie hamulce zbyt gwałtownie, albo gdyby zablokowały się skutkiem tak brutalnych manewrów, wówczas obie taśmy mogą się zerwać. A wtedy zwalą się i akumulatory, i Morgan, i wszystko… Docierając do Ziemi mniej więcej w tym samym czasie.

— Dwie sekundy starczą — odezwał się Kingsley. — Dalej. Tym razem wstrząs był znacznie mocniejszy i trwało trochę, nim wygasły wszystkie wibracje. Morganowi zdawało się że poczuje, albo nawet i usłyszy, jeśli stalowa taśma pęknie i nie był wcale zdziwiony widząc w lusterku, że akumulatory ani drgnęły. Kingsley wcale się tym nie przejął.

— Być może trzeba będzie rzecz powtarzać trzy albo i cztery razy.

Morgan już miał ochotę odpalić: „Czekasz, aż zwolni się etat?”,

jednak powstrzymał się. Warrena by to rozbawiło, ale nie mógł ręczyć za reakcje obcych słuchaczy.

Za trzecim razem optymizm Kingsleya zaczął słabnąć. Morganowi zdawało się, że spadał kilka kilometrów, w rzeczywistości było to około stu metrów. Wedle wszelkich znaków sztuczka nie miała szans powodzenia.

— Mam ochotę wysłać różne życzenia producentom tej stalowej taśmy. Przyłożyli się do roboty — warknął Morgan. — A co teraz? Trzysekundowy spadek, który spali hamulce? Oczami wyobraźni widział, jak Warren kręci głową.

— Za duże ryzyko. Ten mechanizm niepokoi mnie bardziej niż taśma nośna. Nie był zaprojektowany do takich szaleństw.

— Cóż, spróbowaliśmy — stwierdził Morgan. — Ale jeszcze nie rezygnuję. Żadna muterka nie będzie panią mojego losu. Sterczy toto ledwie pół metra ode mnie. Wyjdę i załatwię megierę.

50. Lecą świetliki

01 15 24: Tu Friendship Seven. Spróbuję opisać to, co widzę. Jestem pośrodku wielkiej masy bardzo małych cząstek, które świecą jasno, jakby fosforyzowały… Zbliżają się do kapsuły. Przypominają małe gwiazdki. Zbliża się ich cały rój…

01 16 10: Lecą bardzo powoli, oddalają się z szybkością może trzech albo czterech mil na godzinę…

01 19 38: W peryskopie widzę, że z tyłu właśnie wzeszło słońce… Gdy spojrzałem w okno, ujrzałem dosłownie tysiące małych, świecących drobin wirujących wokół kapsuły…

(Komandor John Glenn z pokładu kapsuły Friendship Seven statku Mercury, 20 lutego 1962 roku)

W dawnych skafandrach kosmicznych sięgnięcie do muterki byłoby wręcz niemożliwe. Nawet w nowoczesnym elastycznym skafendrze rzecz nie wyglądała prosto, ale Morgan uznał, że trzeba przynajmniej spróbować. Bardzo starannie, jako że nie tylko jego życie ważyło się na tej szali, Morgan przemyślał wszystkie kroki. Najpierw musi sprawdzić skafander, potem rozhermetyzować kapsułę i otworzyć właz, który szczęśliwie był pełnowymiarowy. Następnie należy odpiąć pas bezpieczeństwa, przyklęknąć (o ile się uda!) i sięgnąć po muterkę. Wszystko będzie potem zależało od tego, na ile silnie została dokręcona. Na pokładzie pająka nie było żadnych narzędzi, ale Morgan liczył na to, że same palce wystarczą.

Już miał zamiar opisać swój plan ekipie naziemnej, by oni też mogli wszystko przemyśleć pod kątem wyszukania ewentualnych błędów, gdy zdał sobie sprawę z narastającego od dłuższej chwili uczucia dyskomfortu. W razie ostatecznej potrzeby wytrzymałby jeszcze trochę, ale po co ryzykować. Jeśli skorzysta z udogodnień zamontowanych w kapsule, nie będzie musiał polegać na „przyjaznym niewymownym" skafandra…

Skończywszy przełączył kranik na pozycję „zrzucenie uryny" i aż

zdumiał się ujrzawszy małą eksplozję u podstawy kapsuły. Niemal natychmiast powstała tam chmura lśniących gwiazdek, cała mikroskopijna galaktyka. Przez chwilę jakby trwała zawieszona obok kapsuły, potem zaczęła opadać równie szybko, jak rzucony na ziemię kamień. W kilka sekund zmalała do rozmiarów ledwie widocznej kropki, potem zniknęła.

Nic nie mogłoby mu lepiej przypomnieć, że wciąż znajduje się w ziemskim polu grawitacyjnym. Przypomniał sobie, jak podczas pierwszych lotów orbitalnych astronauci ze zdumieniem, a potem z rozbawieniem opowiadali o aureolach lodowych kryształków towarzyszących im w drodze wokół planety. Niektórzy mówili nawet o „urynalnych mgławicach". Tutaj było inaczej, cokolwiek oderwie się od kapsuły, spadnie z powrotem w atmosferę. Mimo wysokości nie wolno mu o tym zapominać. Nie był astronautą i nie poruszał się w stanie nieważkości. Bardziej przypominał robotnika budującego czterystukilometrową wieżę, który właśnie zamierza otworzyć okno i wyjść na parapet.

51. Na pomoście

Chociaż na wierzchołku góry brakowało wygód i było bardzo zimno, tłum rósł z każdą minutą. Jasna gwiazdka w zenicie nieba przyciągała wzrok i myśli całego świata, podobnie jak i promień lasera ze stacji Kinte. Wszyscy przybywający kierowali się do północnej taśmy i muskali ją palcami, jakby chcieli powiedzieć: „Wiem, że to niemądre, ale to trochę tak, jakby samego Morgana poklepać po ramieniu". Potem dołączali do skupiska wokół automatu z kawą i słuchali rozlegających się z głośników raportów. W kwestii rozbitków nie było żadnych nowości, spali lub próbowali spać, byle tylko zużywać jak najmniej tlenu. Morgan nie miał jeszcze zbytniego spóźnienia, toteż nie poinformowano ich na razie o kłopotach po drodze, jednak gdzieś za godzinę najpewniej sami wywołają stację środkową z pytaniem, co się dzieje.

Maxine Duval spóźniła się o dziesięć minut i nie zdołała zobaczyć się z Morganem. Z początku była z tego powodu wściekła jak osa, ostatecznie jednak machnęła na to ręką i pocieszyła się, że jak tylko inżynier wróci na Ziemię, pierwsza porwie go przed kamery. Kingsley nie pozwolił jej wejść na linię łączności z kapsułą i przyjęła to ze zrozumieniem. Tak, jej też przybywało lat…

Przez ostatnie pięć minut z głośników dobiegały tylko serie potwierdzeń mających oznaczać koniec kontroli poszczególnych systemów. Pod kontrolą specjalisty ze stacji wewnętrznej Morgan przygotował się ostatecznie do wycieczki i teraz wszyscy czekali na wynik następnego etapu.

— Wypuszczam powietrze — powiedział Morgan nieco zmienionym głosem, jako że opuścił już wizjer hełmu. — Ciśnienie w kabinie zero. Żadnych problemów z oddychaniem. — Trzydzieści sekund ciszy. — Otwieram przedni właz. Poszło gładko. Odpinam pas.

Tłum poruszył się i zaszemrał. Każdy wyobrażał sobie wnętrze kapsuły i wiedział dobrze, co rozciąga się za jej progiem.

— Pas luźny, szybkie zwolnienie zadziałało. Rozprostowuję nogi. Brakuje miejsca na głowę… Skafander stawia opór, ale niewielki. Wychodzę na pomost. Bez obaw! Owinąłem pas bezpieczeństwa wokół lewej ręki… Cholera… trudno tak się zgiąć. Ale widzę tę ślicznotkę, tuż pod kratownicą pomostu. Staram się jej dosięgnąć… Jestem już na kolanach, niezbyt to wygodne. Mam ją! A teraz sprawdzimy, czy raczy się obrócić…

Słuchacze umilkli, potem równocześnie odetchnęli z ulgą.

— Idzie! Już dwa obroty, zaraz powinna spaść. Jeszcze trochę, już jest luźna… UWAŻAJCIE TAM NA DOLE!

Rozległy się krzyki i oklaski, niektórzy nakryli nawet głowy

dłońmi, udając przerażenie. Parę osób, najwyraźniej nie wiedzących, że muterka dotrze do Ziemi dopiero za pięć minut i spadnie dziesięć kilometrów na wschód, wyglądało na poważnie przejęte.

Tylko Warren Kingsley nie pozwolił sobie na wybuch radości.

— Za wcześnie na brawa — mruknął do Maxine. — Jesteśmy jeszcze w polu…

Sekundy dłużyły się… Minuta, dwie…

— Nic z tego — powiedział Morgan wściekłym głosem. — Nie mogę zdjąć taśmy z bolca. Ciężar akumulatorów zaklinował ją w gwincie. Eksplozja tylko pogorszyła sprawę.

— Wracaj zaraz do kapsuły — powiedział Kingsley. — Lada chwila będziemy tu mieli nowe akumulatory i zdołamy załatwić się z tym w niecałą godzinę. Za jakieś sześć godzin będzie można dotrzeć do wieży. O ile znów się coś nie porobi…

Właśnie, pomyślał Morgan. Wolałby nie wyruszać pająkiem po raz drugi bez uprzedniej kontroli systemu hamulcowego. Zresztą pewnie nie dałby rady powtórzyć całej wycieczki, już teraz napięcie ostatnich kilku godzin dawało znać o sobie i zmęczenie ogarnie niedługo tak ciało, jak i umysł. Akurat wtedy, gdy potrzebna będzie najwyższa forma.

Siedział już z powrotem w kapsule, ale nie zamykał włazu ani nie zapinał pasa. To byłoby przyznanie się do porażki, a Morgan nigdy nie poddawał się tak łatwo.

Stały blask lasera ze stacji Kinte wciąż niemiłosiernie spływał na kapsułę. Morgan spróbował skupić się na problemie.

Potrzebował jedynie piłki do metalu, cążków lub nożyc do ciecia drutu. Raz jeszcze przeklął fakt, że pająk nie był wyposażony w najprostsze nawet narzędzia. Chociaż tych właściwych pewnie i tak nie byłoby pod ręką.

W akumulatorach pająka drzemały całe megawaty energii, ale jak je wykorzystać? Gdyby tak łuk elektryczny… Ale nie, to tylko fantazja. Nawet mając stosowne przewodniki, nie miał szans kontrolować przepływu mocy, jedyny kontakt był w kabinie.

Warren i wszystkie tęgie mózgi na dole milczeli bezradnie. Morgan zdany był na siebie, tak fizycznie, jak i koncepcyjnie. Ostatecznie zawsze wolał pracować w ten właśnie sposób.

Już miał zamykać drzwi kapsuły, gdy nagle znalazł rozwiązanie. Przez cały czas miał je w zasięgu ręki.

52. Ten drugi pasażer

Morganowi dosłownie ulżyło, zupełnie jakby zdjęto mu z ramion namacalne brzemię. Ogarnęła go irracjonalna pewność siebie. Tym razem wszystko zadziała jak należy.

Niemniej nie ruszył się z kabiny, zanim nie zaplanował sobie całej operacji w najmniejszych szczegółach. A kiedy nieco zaniepokojony Kingsley raz jeszcze ponaglił go do powrotu, odpowiedział wymijająco, by nie budzić na *Ziemi* ni w niebie złudnych nadziei.

— Przyszedł mi do głowy pewien eksperyment — stwierdził. — Dajcie mi jeszcze kilka minut.

Wyjął małą szpulkę nici molekularnej, wyciągarkę, która posłużyła mu do tylu demonstracji, a wiele lat temu pozwoliła zejść po pionowej ścianie Yakkagali. Ze względów bezpieczeństwa dokonał od tamtego czasu jednej modyfikacji — pierwszy metr nici pokrywała obecnie plastikowa otulina, dzięki czemu odcinek ten był widoczny i można go było ująć nawet gołymi palcami.

Spoglądając na małe, mieszczące się w dłoni pudełeczko Morgan pomyślał, że stało się ono praktycznie jego talizmanem. Oczywiście nie wierzył naprawdę, by ten drobiazg przynosił mu szczęście, ale zawsze znajdował jakiś ze wszech miar racjonalny powód, by mieć wyciągarkę pod ręką. Przed tą wyprawą wmówił sobie, że może przydać się jej wytrzymałość i unikalna nośność. Niemal zapomniał, że ten drobiazg potrafi coś więcej. Ponownie zebrał się z fotela, uklęknął na siatce pomostu i przyjrzał się sprawcy wszystkich kłopotów. Uparty bolec sterczał tylko dziesięć centymetrów poniżej kratownicy i chociaż pręty przebiegały zbyt blisko, by zmieścić między nimi palce, wiedział już, że bez trudności może sięgnąć z boku.

Rozwinął pierwszy metr powleczonej nici i wykorzystując pierścień na końcu jako balast, opuścił ją przez kratkę. Samą wyciągarkę zaklinował bezpiecznie w boku kapsuły, by nie spadła przypadkiem w otchłań, po czym sięgnął pod pomost, by chwycić kołyszący się pierścień. To akurat okazało się trudniejsze niż oczekiwał, bowiem nawet ten skafander nie pozwalał na pełne zgięcie łokcia, a pierścień jak wahadło wymykał się palcom.

Po kilku próbach, które zmęczyły go raczej niż zniechęciły, bowiem wiedział, że w końcu i tak złapie zbiega, zahaczył nić o bolec i owinął ją tuż obok miejsca, gdzie zaklinowała się stalowa taśma. Teraz pora na kulminacyjny moment przedstawienia…

Zwolnił dość nici, by izolowany odcinek przesunął się poza bolec i napiął całość, aż poczuł, że pętla nagiego włókna zacisnęła się na gwincie. Nigdy jeszcze nie próbował tej sztuczki z kawałkiem hartowanej stali o grubości centymetra i nie miał pojęcia, ile czasu mu

to zajmie. Usadowiwszy się bezpiecznie na kratce, zaczął operować niewidoczną piłą.

Po pięciu minutach cały ociekał potem, na dodatek nie potrafił orzec, ile jeszcze bolca zostało do przepiłowania. Bał się rozluźnić nitkę, by nie wymknęła się ze szczeliny, jaką wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinna już uczynić w metalu. Warren wzywał go raz za razem i był z każdą chwilą bardziej niespokojny. Wyraźnie potrzebował pociechy duchowej, ale na to przyjdzie pora podczas krótkiej przerwy dla złapania oddechu. Nie należy zbyt dokuczać przerażonym przyjaciołom.

— Van — odezwał się znów Kingsley — co ty tam robisz? Ludzie w wieży zaczynają zadawać pytania. Co mam im powiedzieć?

— Jeszcze kilka minut, próbuję odciąć ten bolec… Dalszego ciągu nie wypowiedział, bowiem przerwał mu spokojny, ale stanowczy kobiecy głos. Zaskoczony Morgan omal nie upuścił bezcennego narzędzia. Stłumione nieco słowa dobiegały spod warstw skafandra, lecz nie w tym rzecz. Znał ten głos aż za dobrze, ale ostatni raz słyszał go wiele miesięcy temu.

— Doktorze Morgan — odezwał się czujnik wieńcowy — proszę położyć się i odpocząć przez dziesięć minut.

— A co byś powiedziała na pięć? — mruknął inżynier. — Chwilowo jestem nieco zajęty.

Pani czujnik nie odpowiedziała; wprawdzie istniały modele zdolne do prowadzenia konwersacji, ale ten był akurat o wiele prostszy.

Morgan dotrzymał obietnicy i przez pięć minut odpoczywał oddychając głęboko, potem wrócił do piłowania. Tam i z powrotem, tam i z powrotem… A pod spodem czterysta kilometrów przepaści. Czuł, że bolec stawia nici pewien opór, zatem musiał czynić jakieś postępy. Ale ile jeszcze?

— Doktorze Morgan — czujnik znów dał znać o sobie — naprawdę musi się pan położyć na jakieś pół godziny.

Morgan tylko zaklął pod nosem.

— Mylisz się, młoda damo — warknął w chwilę później. — Czuję się wspaniale. — Ale kłamał, równie dobrze jak czujnik wiedział o narastającym bólu w piersi.

— Z kim ty rozmawiasz, Van? — spytał Kingsley.

— Jakiś anioł przelatywał — sapnął Morgan. — Przepraszam, zapomniałem wyłączyć mikrofon. Muszę trochę odpocząć.

— Jak ci idzie?

— Pojęcia nie mam. Ale coś chyba już zdziałałem. Bez wątpienia…

Gdyby tak dało się wyłączyć alarm czujnika… Było to jednak niemożliwe, zresztą jak sięgnąć przez skafander do mostka? Monitor

pracy serca, który nie daje się uciszyć, jest bardziej niż bezużyteczny. Gorzej, jest niebezpieczny.

— Doktorze Morgan — czujnik nie dawał za wygraną — nalegam. Przynajmniej pół godziny całkowitego relaksu.

Morgan nie miał nawet ochoty odpowiadać. Wiedział, że CZUWA ma rację, ale czujnik nie potrafił przecież pojąć, że na szwank narażone jest nie tylko to jedno życie. Ponadto był przekonany, że podobnie jak wszystkie mosty, czujnik też ma wbudowany pewien margines bezpieczeństwa, czyli że odzywa się zawsze trochę wcześniej, niż jest to naprawdę konieczne. Chociaż obecna diagnoza była pesymistyczna, to jednak stan zdrowia nie był pewnie aż tak tragiczny. Przynajmniej na to jedno pozostawało liczyć.

Ból w piersi nagle jakby przestał narastać, Morgan postanowił zatem zignorować zarówno sygnały własnego organizmu, jak i sygnały czujnika. Zaczął znów piłować wolnymi, rytmicznymi ruchami. Tym razem postanowił pracować do skutku.

Ostrzeżenie, na które liczył, nie nadeszło. Zupełnie nagle pająk zakołysał się i ćwierć tony balastu runęło w dół, omal nie pociągając za sobą Morgana. Puścił wyciągarkę i sięgnął po pas bezpieczeństwa.

Wszystko teraz działo się powoli, jak na zwolnionym filmie. Morgan nie czuł strachu, tylko twarde postanowienie, że nie zrezygnuje, nie podda się grawitacji bez walki. Jednak pasa nie było, musiał zwinąć się i spaść do wnętrza kapsuły…

Zupełnie bezwiednie musiał użyć lewej ręki, sam nie wiedział dokładnie jak, ale w pewnej chwili stwierdził po prostu, że trwa w bezruchu, lewą dłonią wczepiony w zawiasy włazu. Nie wciągnął się od razu do wnętrza, najpierw odprowadził spojrzeniem spadające akumulatory. Obracając się z wolna niczym samodzielne ciało niebieskie stawały się coraz mniejsze, aż po dłuższej chwili zniknęły z pola widzenia. Dopiero wtedy Morgan wrócił do kabiny i opadł na siedzenie.

Przez długi czas nie poruszał się i tylko serce łomotało mu w piersi. Oczekiwał następnego alarmu czujnika, ale ten milczał. Zdumiony Morgan pomyślał, że może udało mu się obezwładnić maszynkę przez zaskoczenie. Tak czy inaczej, nie przysporzy już więcej powodów do narzekań. Od teraz będzie siedział spokojnie i cichutko, kurując stargane nerwy.

Gdy przyszedł już do siebie, wezwał górę.

— Pozbyłem się baterii — powiedział, a w głośnikach rozległy się wiwaty. — Zaraz zamknę luk i ruszam dalej. Powiedzcie Sessuiemu i kompanii, żeby oczekiwali mnie za jakąś godzinę. I podziękujcie Kinte za światło, mogą już wyłączyć lampę.

Uszczelnił kabinę, otworzył wizjer hełmu i pozwolił sobie na tęgi łyk zimnego soku pomarańczowego z witaminkami. Ostatecznie

zwolnił hamulce i z ulgą poczuł, jak pająk ruszył z pełną szybkością w górę.

Dopiero po paru minutach zorientował się, że czegoś mu brakuje. Z nadzieją spojrzał na kratkę przed włazem, ale ta była pusta. Cóż, zawsze może sobie sprawić nową wyciągarkę, w sumie mała to ofiara w zamian za taki wyczyn, ale… Czuł się dziwnie nieszczęśliwy, coś mąciło radość… Zupełnie jakby stracił starego i wiernego przyjaciela.

53. Spowolnienie

Aż trudno było uwierzyć, że opóźnienie wyniosło tylko trzydzieści minut Morgan gotów był przysiąc, że postój trwał przynajmniej godzinę. W „piwnicy" pewnie zbierał się już stosowny komitet powitalny. Do przebycia zostało jeszcze dwieście kilometrów i inżynier nie miał nawet ochoty rozważać ewentualności jakichkolwiek dalszych obstrukcji.

Gdy z pełną szybkością minął pięćsetny kilometr (w specjalny sposób oznaczony na taśmie), otrzymał gratulacje z Ziemi.

— A na marginesie — dodał jeszcze Kingsley — gajowy z rezerwatu Ruhana zameldował, że jakiś samolot rozbił się w lesie. Wyprowadziliśmy go z błędu. Jeśli uda nam się odnaleźć tę dziurę, to będziemy mieli dla ciebie małą pamiątkę.

Morgan ucieszył się szczerze; chętnie ujrzy, co zostało z akumulatorów. Gdyby tak jeszcze udało się przy okazji odszukać jego wyciągarkę… Ale na to raczej nie ma co liczyć…

Pierwsza zapowiedź kłopotów pojawiła się na wysokości pięciuset pięćdziesięciu kilometrów. Na obecnym etapie powinien rozwijać szybkość ponad dwustu kilometrów na godzinę, a robił ledwie sto dziewięćdziesiąt osiem. Było to lekko niepokojące, chociaż nie zmieniało specjalnie czasu przybycia do celu.

Trzydzieści kilometrów przed „piwnicą" Morgan wiedział już, w czym problem, ale w żaden sposób nie mógł sprawie zaradzić. Akumulatory, które powinny mieć jeszcze sporą rezerwę mocy, zaczynały słabnąć. Może sprawiły to nagłe starty i hamowania, może nawet doszło do uszkodzenia delikatnych części, tak czy inaczej napięcie spadało, a wraz z nim malała szybkość kapsuły.

Gdy tylko Morgan odczytał głośno wskazania kontrolek, na Ziemi zapanowała niejaka konsternacja.

— Obawiamy się, że masz rację — jęknął Kingsley takim tonem, jakby zaraz miał się rozpłakać. — Proponujemy, żebyś zmniejszył szybkość do stu kilometrów na godzinę. Spróbujemy przeliczyć pojemność akumulatorów, chociaż i tak skazani jesteśmy na domysły.

Jeszcze dwadzieścia trzy kilometry, kwadrans drogi, nawet przy zredukowanej szybkości! Gdyby Morgan potrafił się modlić, pewnie by to uczynił.

— Oceniamy, że masz jeszcze dziesięć do dwudziestu minut, na tyle wskazuje obecne tempo spadku napięcia. Jeśli starczy, to na styk.

— Mam znowu zmniejszyć szybkość?

— Na razie nie. Na ile to wyliczyliśmy, to obecna powinna być optymalna.

— Dobra, możecie teraz włączyć lampkę. Nawet jeśli nie dotrę do

wieży, to chcę ją chociaż widzieć.

Tym razem nie mógł liczyć na pomoc ani stacji Kinte, ani żadnego innego obiektu orbitalnego. Oświetlenie „piwnicy" było zadaniem dla szperaczy zamontowanych pionowo na szczycie Sri Kandy.

Chwilę później kapsułę ogarnął promień blasku bijącego ze środka Taprobane. Tuż obok, prawie na wyciągnięcie ręki, pojawiły się trzy pozostałe taśmy nośne. Idąc ich tropem podniósł wzrok…

Już tylko dwadzieścia kilometrów! Winien być tam za dwanaście minut. Wejdzie przez podłogę i przyniesie prezenty… Zupełnie jak święty Mikołaj za czasów jaskiniowych. Mimo szczerego pragnienia zachowania spokoju i podporządkowania się wskazówkom czujnika, Morgan był cały napięty, jakby chciał własnymi rękami dźwignąć pająka jeszcze trochę wyżej.

Na dziesięć kilometrów przed celem silniczki zmieniły ton. Morgan oczekiwał czegoś podobnego i zareagował bez zwłoki. Nie czekając na poradę z Ziemi, zmniejszył szybkość do pięćdziesięciu kilometrów. Znów zostało mu dwanaście minut. W odruchu rozpaczy zastanowił się, czy nie czeka go teraz powtórka z historii paradoksu, on będzie Achillesem, a wieża żółwiem. I proszę odpowiedzieć na pytanie: jeśli za każdym razem, gdy kapsuła dotrze do połowy dystansu, będzie zmniejszał jej szybkość o połowę, to czy dotrze do wieży w skończonym czasie? Kiedyś od razu znalazłby odpowiedź na tę antyczną zagadkę, ale teraz czuł się zbyt zmęczony, by o tym myśleć.

Z odległości pięciu kilometrów rozróżniał już szczegóły konstrukcji — wąski pomost i barierki zabezpieczające oraz sieć zamontowaną dla uspokojenia opinii publicznej. Jednak nawet wytężając wzrok nie mógł dojrzeć wejścia do śluzy, ku której pełzł z upiorną powolnością.

Potem przestało to być takie istotne. Dwa kilometry przed celem silniki odmówiły posłuszeństwa. Kapsuła obsunęła się nawet kilka metrów, zanim Morgan zdołał zaciągnąć hamulce.

Jednak tym razem, ku zdumieniu Morgana, Kingsley nie poddał się przygnębieniu.

— Jeszcze może się udać — powiedział. — Daj baterii dziesięć minut wytchnienia. Powinno być jeszcze dość energii na ostatnie parę kilometrów.

Były to jedne z najdłuższych minut w życiu Morgana. Chociaż mógłby je skrócić, odpowiadając na błagalne wezwania Maxine Duval, czuł się nazbyt zmęczony, by podjąć konwersację. Było mu naprawdę przykro z tego powodu, ale miał nadzieję, że Maxine zrozumie i wybaczy.

Zamienił za to kilka słów z operatorem-pilotem Changiem, który zameldował o dobrej formie rozbitków i o ożywieniu wywołanym

bliską już pomocą. Zmieniali się kolejno przy małym iluminatorze w podłodze komory, by choć raz rzucić okiem na pająka. Nie pojmowali, że nie może pokonać tych ostatnich kilometrów.

Morgan poczekał jeszcze dodatkową minutę i włączył napięcie. Ku jego uldze, pająk ruszył żwawo i zatrzymał się dopiero pięćset metrów od wieży.

— Jeszcze trochę i będziesz na miejscu — powiedział Kingsley, ale jakby bez poprzedniego przekonania. — Przykro mi z powodu tych wszystkich opóźnień…

— Znowu dziesięć minut? — spytał Morgan z rezygnacją. — Obawiam się, że tak. Teraz pamiętaj, by włączać prąd tylko na trzydzieści sekund, z minutą przerwy między impulsami. W ten sposób wyciśniesz z baterii ostatnie ergi.

I sam też padnę bez sił, pomyślał Morgan. Dziwne, że CZUWA ciągle jeszcze milczy. Zresztą teraz nie chodziło już przecież o wysiłek fizyczny, poczucie wyczerpania miało przede wszystkim podłoże psychiczne.

Przez te kłopoty z pająkiem zaniedbał własne zdrowie. Od godziny nie wziął ani jednej z „czystych” tabletek energetycznych na bazie glukozy, nie łyknął ani odrobiny soku owocowego z plastikowej tuby. Przełknął zatem trochę i od razu poczuł się znacznie lepiej. Gdyby tak jeszcze mógł przekazać nieco tych kalorii zdychającym akumulatorom.

Nadeszła chwila prawdy, ostatni etap. Tak blisko celu nie mógł pozwolić sobie na żadne błędy. Los nie może być aż tak złośliwy, zostało tylko kilkaset metrów…

Oszukiwał się, rzecz jasna, dodawał sobie ducha. Ile samolotów rozbiło się na metry od progu pasa, szczęśliwie przebywszy pierwej drogę nad oceanem? Ile razy maszyneria czy mięśnie zawodziły na ostatnich metrach, ba, ostatnich milimetrach? Wszystko już było, każdy pech i każdy szczęśliwy traf zdarzył się kiedyś, komuś… Trudno było liczyć na jakieś względy.

Kapsuła szarpnęła się i ruszyła w górę. Zupełnie jak umierające zwierzę szukające cichego schronienia na wieczność. Gdy akumulatory wydały ostatnie tchnienie, wieża zdawała się wypełniać pół nieba.

Ale wciąż była odległa o dwadzieścia metrów.

54. Teoria względności

W chwili gdy pająk dobywał z siebie resztki sił, a kontrolki gasły jedna po drugiej, Morganowi zdawało się, że to przesądza się jego własny los. Na kilka chwil zapomniał zupełnie, że przecież wystarczy zwolnić hamulce, a za trzy godziny znajdzie się z powrotem na Ziemi, bezpieczny w ciepłym łóżku. Zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy.

W drugiej kolejności poczuł złość. Był wściekły na ten kwadratowy obiekt wznoszący się tuż ponad pająkiem, a jednak nieosiągalny. Przez myśl przemknął mu z tuzin wariackich pomysłów. Gdyby miał jeszcze wyciągarkę, ale jak dostarczyć ją do wieży… Gdyby rozbitkowie mieli skafander, to mogliby opuścić mu linę. Ale oni nie zdążyli wyciągnąć żadnego skafandra z płonącego transportowca.

Oczywiście, gdyby rzecz działa się na ekranie, zaraz pojawiłby się stosowny bohater, skłonny poświęcić siebie dla dobra innych. Wyszedłby taki przyjemniaczek przez śluzę i wytrwałby piętnaście sekund w próżni… Pewną miarą desperacji Morgana może być fakt, że przez chwilę rozważał nawet ten pomysł na poważnie, aż resztki zdrowego rozsądku zadziałały i kazały zapomnieć o podobnych bzdurach.

Od chwili gdy pająk przegrał walkę z grawitacją, do momentu uznania przez Morgana porażki misji minęła niecała minuta. Potem Warren Kingsley zadał pytanie, które w takiej chwili zdawało się brzmieć przynajmniej niestosownie. — Podaj nam jeszcze raz, ile dokładnie metrów dzieli cię od wieży?

— A co to ma za znaczenie? Równie dobrze mógłby to być rok świetlny.

Na dole zapadła chwila ciszy, aż Kingsley powtórzył swe pytanie, tym razem tonem łagodnym, tak jak mówi się do bardzo małego dziecka lub kogoś ciężko chorego.

— To ma znaczenie. Mówiłeś coś o dwudziestu metrach?

— Tak, mniej więcej.

Niewiarygodne, ale Warren odetchnął z ulgą. Można powiedzieć, że nawet znacznie poweselał.

— A wydawało mi się dotąd, że to ty jesteś tu głównym inżynierem, Van. Tyle lat żyłem w błędzie. Przypuśćmy, że to jest dokładnie dwadzieścia metrów…

Nagły okrzyk Morgana nie pozwolił mu dokończyć zdania.

— Ale idiota ze mnie! Powiedz Sessuiemu, że zacumuję za jakiś kwadrans.

— Dokładnie czternaście przecinek pięć, jeśli dobrze zmierzyłeś odległość. I nic już nie może tego zmienić.

To ostatnie stwierdzenie było nieco ryzykowne i Morgan wolałby nie słyszeć tego z ust Kingsleya. Kołnierze włazów odmawiały czasem posłuszeństwa, wystarczył mały błąd, ułamek milimetra i już… Poza tym pająk nigdy jeszcze nie cumował przy wieży.

Morganowi został już tylko lekki niesmak. Takie zaćmienie umysłowe… Chociaż w chwilach silnego napięcia ludzie potrafią zapominać numer swojego telefonu, nawet datę urodzenia. Na dodatek aż do tej chwili inkryminowany czynnik nie był w ogóle brany pod uwagę, jako nieistotny dla operacji.

Rzecz opierała się na względności pojęcia ruchu. Morgan nie mógł dotrzeć do wieży, ale wieża mogła dotrzeć do Morgana. Ostatecznie poruszała się z niezmienną obecnie szybkością dwóch kilometrów dziennie.

55. Twarde lądowanie

Rekordowa ilość kilometrów wieży zmontowanych w ciągu jednej doby wynosiła trzydzieści, ale zdarzyło się to podczas budowy najlżejszej sekcji. Obecnie kończono masywną, kotwiczną cześć konstrukcji i tempo spadło do dwóch kilometrów dziennie. To i tak było szybko; Morgan miał akurat dość czasu, by sprawdzić kołnierz cumowniczy i nastawić się duchowo na kilka sekund napięcia między sprawdzeniem sztywności połączenia a zwolnieniem hamulców pająka. Gdyby zostawił je zaciągnięte, nie wytrzymałyby nierównego pojedynku między delikatnym jednak mechanizmem, a megatonami zsuwającej się powoli wieży.

Poza tym był to dość spokojny i odprężający kwadrans. Morgan miał nadzieję, że ta chwila relaksu zażegna dalsze alarmy czujnika. Pod koniec wszystko przebiegło bardzo szybko, chociaż w tej ostatniej chwili Morgan czuł się trochę jak mrówka pod prasą hydrauliczną, gdy masyw wieży zbliżał się ku pająkowi. W jednej chwili „piwinica" oddalona była o kilka metrów, w następnej poczuł uderzenie, gdy spotkały się kołnierze mocujące.

Los wielu ludzi zależał teraz od staranności, z jaką inżynierowie i mechanicy wykonali niegdyś swoją robotę. Gdyby tolerancja była zbyt mała, gdyby łącza nie zadziałały należycie, gdyby połączenie nie było hermetyczne… Morgan usiłował wyczytać coś z dobiegających go dźwięków, ale brakowało mu wprawy by rozpoznać, co jest czym. Potem, niczym surmy zwycięstwa, zapalił się na pulpicie znak DOKOWANIE ZAKOŃCZONE. Morgan miał jeszcze dziesięć sekund, podczas których teleskopowa podstawa śluzy składała się, ustępując przed naporem wieży. Wykorzystał połowę tego czasu, aż ostrożnie zwolnił hamulce, gotowy w każdej chwili zaciągnąć je ponownie, gdyby pająk runął w dół. Ale czujniki nie kłamały, wieża i kapsuła tworzyły teraz jedność. Pozostało wspiąć się po krótkiej drabince i otworzyć właz.

Morgan przekazał wspaniałą wiadomość słuchaczom na Ziemi i w stacji środkowej, po czym stracił chwilę na złapanie oddechu. Owszem, była to już jego druga wizyta w wieży, ale z tej pierwszej niewiele pamiętał. Dwanaście lat temu i trzydzieści sześć tysięcy kilometrów wyżej poproszony został o symboliczne wmurowanie stosownego aktu, czy może raczej położenie pierwszej cegły. Wydano wówczas skromne przyjęcie w „piwnicy", wznosząc w stanie nieważkości liczne toasty. Miejsce wybrano nieprzypadkowo: była to pierwsza ukończona sekcja wieży, ona też miała zetknąć się z Ziemią, pokonawszy całą drogę z orbity. Poza tym wypadało uczcić jakoś tę chwilę. Nawet stary adwersarz Morgana, senator Collins, przemógł się,

przybył na fetę i wygłosił najeżoną aluzjami, ale ogólnie pogodną mowę, w której życzył inżynierowi szczęścia. Druga wizyta dawała jednak chyba więcej powodów do radości.

Już teraz dobiegały Morgana głuche postukiwania z drugiej strony śluzy. Odpiął pas i zaczął wspinać się po drabince. Górny właz stawił niejaki opór, jakby los postanowił być złośliwy do końca, ostatecznie jednak rozległ się syk powietrza. Ciśnienie wyrównało się i okrągła płyta odsunęła się na bok, zaraz też chętne do pomocy ręce wciągnęły Morgana do wieży. Spróbował odetchnąć głębiej i zdumiał się, że ktokolwiek jeszcze żywy pozostał w komorze. Pewien był, że gdyby zawrócił z drogi, to druga próba dotarcia na górę nie miałaby już sensu.

Jedynym oświetleniem nagiego i mrocznego wnętrza były płytki fluorescencyjne, zdolne przez ponad dekadę oddawać uwięziony uprzednio blask słońca. W mdłej poświacie Morgan ujrzał obraz kojarzący się z czasami dawnych wojen: oto bezdomni uciekinierzy ze zburzonego pociskami miasta szukają schronienia przed bombami, zrozpaczeni tulą do piersi kilka drobiazgów ocalonych z dorobku całego życia… Wrażenie psuły dekoracje, ostatecznie niewielu pogorzelców nosiło kiedykolwiek torby z napisami DZIAŁ PLANOWANIA, LUNAR HOTEL CORPORATION, WŁASNOŚĆ FEDERALNEJ REPULIKI MARSA czy też z zupełnie unikalnymi nalepkami, jak MOŻE/NIE MOŻE BYĆ SKŁADOWANE W PRÓŻNI. Ofiary wojen nie potrafiły też zwykle okazywać tak żywiołowej radości, nawet ci leżący na podłodze uśmiechali się i machali rękami. Morgan ledwie zdołał im odpowiedzieć, gdy nogi ugięły się pod nim i wszystko pociemniało. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się zemdleć i kiedy łyk czystego tlenu przywrócił mu przytomność, przede wszystkim odczuł zakłopotanie. Odzyskując ostrość spojrzenia, ujrzał pochylone nad nim twarze w maskach. Przez chwilę pomyślał, że może jest już w szpitalu, ale po chwili wróciło także poczucie rzeczywistości. Widać przenieśli cały bezcenny ładunek nie czekając, aż się ocknie.

Wszyscy mieli już na twarzy przywiezione pająkiem molekularne maski odławiające cząsteczki dwutlenku węgla, a przepuszczające tlen. Zakrywały nos i usta; zasada ich działania była bardzo prosta, chociaż wymagały dość złożonego procesu produkcyjnego. Pozwalały przetrwać człowiekowi w atmosferze powodującej normalnie błyskawiczne zatrucie. Trzeba było wprawdzie nieco się napracować, by zaczerpnąć w takiej masce oddechu, ale zawsze jest coś za coś, a to była raczej niewielka cena.

Nieco chwiejnie, ale nie chcąc przyjąć żadnej pomocy, Morgan wstał i został zaraz przedstawiony wszystkim, których uratował. Jedno go wciąż niepokoiło: czy w trakcie utraty przytomności czujnik

milczał, czy wręcz przeciwnie? Nie miał ochoty wzbudzać niczych podejrzeń, wszelako…

— W imieniu nas wszystkich — powiedział profesor Sessui głosem znamionującym zarówno szczerość, jak i niechęć do bycia kiedykolwiek wdzięcznym komukolwiek za cokolwiek — chcę podziękować panu za to, co pan zrobił. Uratował nam pan życie.

Jakakolwiek logiczna odpowiedź zatrąciłaby fałszywą skromnością, zatem Morgan poprawił tylko maskę i wymamrotał kilka możliwie nieartykułowanych słów. Zamierzał zabrać się do sprawdzania przywiezionego pająkiem ekwipunku, gdy profesor Sessui dodał zakłopotanym tonem: — Obawiam się, że nie możemy zaproponować panu żadnego krzesła. Przepraszam, ale to wszystko co mamy. — Wskazał na kilka ustawionych w stertę pudeł z przyrządami badawczymi. — Chyba powinien pan spocząć.

To ostatnie zabrzmiało prawie jak kwestia wypowiedziana przez czujnik. Morgan z zakłopotaniem przyjął do wiadomości, że oni już chyba wiedzą. Parę sekund milczenia potwierdziło jego domysły. Morgan pomilczał jeszcze chwilę, aby i oni dowiedzieli się, że on wie, co oni wiedzą. Ostatecznie wszyscy poczuli się w pełni doinformowani, chociaż nikt nie miał najmniejszego zamiaru kiedykolwiek wspomnieć o tym głośno.

Morgan odetchnął kilka razy głęboko (zdumiony, jak szybko przywykł do maski) i siadł na wskazanych skrzynkach. Żadnego omdlewania, pomyślał z determinacją. Dać im co trzeba, i zmykać stąd jak najszybciej, zanim czujnik znów się odezwie.

— Tutaj macie pojemnik uszczelniacza — powiedział, wskazując na najmniejszy z ładunków. — To powinno załatwić przeciek powietrza. Natryskajcie go wokół framugi śluzy, twardnieje w kilka sekund. Z tlenu korzystajcie tylko w razie konieczności, najlepiej będzie się zdrzemnąć. Masek z filtrami jest dość dla wszystkich, jest nawet parę zapasowych. Tu jest żywność na trzy dni, starczy aż nadto. Transporter z dziesiątego tysiąca powinien dotrzeć do was jutro. I jeszcze apteczka, ale mam nadzieję, że tego akurat nie potrzebujecie.

Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu; w masce jednak niełatwo się mówiło, a Morgan czuł coraz wyraźniej, że powinien oszczędzać siły. Ci tutaj powinni zająć się sobą, ale zostało jeszcze jedno. Im szybciej się z tym upora, tym lepiej.

Morgan odwrócił się do operatora Changa.

— Proszę pomóc mi nałożyć skafander. Muszę obejrzeć prowadnice.

— Ale pan ma skafander z rezerwą tylko na trzydzieści minut!

— Wystarczy mi dziesięć, góra piętnaście.

— Doktorze Morgan, w odróżnieniu od pana jestem wykwalifikowanym operatorem urządzeń działających w stanie

próżni. Nikt nie ma prawa wychodzić w otwarty kosmos mając jedynie trzydzieści minut rezerwy, bez zestawu zapasowego lub przewodu zasilającego. Wyjątki są dopuszczalne jedynie w sytuacjach nagłych zagrożeń. Morgan próbował zdobyć się na uśmiech. Chang miał rację, bezpośrednie zagrożenie zaś minęło. Jednak w ostatecznym rozrachunku to główny inżynier określał, co jest, a co nie jest zagrożeniem.

— Chcę sprawdzić skalę zniszczeń — odparł. — I skontrolować prowadnice. Szkoda by było, gdyby ekipa z dziesiątego tysiąca nie mogła do was dotrzeć za sprawą jakiejś nieprzewidzianej przeszkody.

Changowi wyraźnie się to nie podobało (co ten plotkarski czujnik wychłapał, gdy Morgan był nieprzytomny?), ale nie sprzeciwiał się już, gdy Morgan skierował kroki do północnej śluzy.

— Nie było więcej kłopotów z profesorem? — spytał jeszcze przed zasunięciem wizjera.

Chang pokręcił głową.

— Chyba dwutlenek węgla nieco go otępił. Gdyby znów zaczął swoje, cóż, będzie sześciu na jednego. Chociaż nie wiem" czy mogę liczyć na jego studentów, niektórym z nich palma odbija nie gorzej niż mistrzowi. Proszę spojrzeć na tamtą dziewczynę, która cały czas bazgrze coś w kącie. Jest przekonana, że Słońce zgaśnie lub wybuchnie, nie pamiętam dokładnie, i chce ostrzec wszystkich nim umrze. Wiele nam z tego przyjdzie. Ja wolałbym nie wiedzieć.

Morgan uśmiechnął się mimowolnie, ale nie uważał wcale, by którykolwiek z tych studentów był szalony. Mogli być ekscentrykami, mogli też być po prostu genialni, inaczej nigdy nie pracowaliby z profesorem. Któregoś dnia będzie musiał dowiedzieć się więcej o tej uratowanej gromadce. Ale to może poczekać, aż każdy własnym przemysłem wróci na Ziemię.

— Chcę tylko szybko obejść wieżę — powiedział Morgan. — Przekażę opis uszkodzeń na stację środkową. Nie powinienen grzebać się z tym dłużej niż dziesięć minut. A gdyby nawet, to proszę nie ściągać mnie siłą.

— A niby jak miałbym to zrobić? — warknął przytomnie Chang, zamykając właz za Morganem.

56. Widok z balkonu

Zewnętrzne drzwi śluzy uchyliły się bez trudu. Za nimi widniał prostokąt czerni przecięty w połowie smugą ognistej czerwieni: to barierka zabezpieczająca obiegającą wieżę kładkę odbijała promienie skierowanych wciąż w górę szperaczy z Ziemi. Morgan zaczerpnął głęboko powietrza. Czuł się całkiem dobrze, pomachał nawet ręką przyklejonemu do iluminatora w wewnętrznych drzwiach Changowi. Potem wyszedł na kładkę.

Miała ona dwa metry szerokości i zrobiona była z metalowej siatki. Widoczny pod nogami fragment był w idealnym stanie, nic nie uszkodziło go przez długie lata.

Osłaniając oczy przed bijącym z dołu blaskiem, Morgan ruszył w okólną wycieczkę. Światło było na tyle silne, że widział świetnie każde wgniecenie czy nierówność powierzchni, która biegła ku górze niczym autostrada do gwiazd. Bo rzeczywiście była to kosmiczna autostrada.

Tak jak oczekiwał, eksplozja nie uszkodziła przeciwległego boku wieży. Do tego trzeba by bomby atomowej, a nie elektrochemicznej. Bliźniacze prowadnice spokojnie czekały na pierwszy pojazd. Pięćdziesiąt metrów ponad galerią sterczały bufory, zabezpieczenie, którego nikt nie pragnął przetestować. Trudno było patrzeć w górę przy tym blasku…

Bez pośpiechu, przytulony do gładkiej ściany wieży, Morgan skierował się powoli na zachód, aż dotarł do pierwszego narożnika. Wtedy odwrócił się i spojrzał na otwarty właz śluzy… relatywnie bezpieczne schronienie. Potem skręcił za róg.

Poczuł równocześnie strach i uniesienie. Od dawna nie doświadczył niczego podobnego. Po raz pierwszy, jak pamiętał, zdarzyło się to, gdy nauczył się pływać. Wypłynął wtedy na głęboką wodę. Chociaż był pewien, że nie ma tu żadnego bezpośredniego zagrożenia, to jednak niebezpieczeństwo nie zostało jeszcze zażegnane. Wciąż pamiętał o czuwającym czujniku. Nie cierpiał jednak zostawiać roboty w połowie, a bez dokonania oględzin nie mógłby uznać misji za zakończoną.

Zachodnia ściana niczym nie różniła się od pomocnej, tyle tylko, że brakowało na niej drzwi śluzy. Nie było też żadnych zniszczeń, nawet w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca eksplozji.

Rezygnując z pośpiechu — ostatecznie był na zewnątrz dopiero trzy minuty — Morgan zajrzał za narożnik i od razu pojął, że nie zdoła okrążyć wieży. Poskręcana kładka zwisała nad przepaścią, siatka zabezpieczająca zniknęła bez śladu, najpewniej zerwana przez spadający transporter.

Nie ma co ryzykować, pomyślał Morgan. Nie mógł jednak

powstrzymać się przed zerknięciem na miejsce katastrofy. Chwyciwszy mocno ocalały fragment barierki wychylił się za narożnik.

Południową ścianę pokrywały trudne do rozpoznania metalowe szczątki skutecznie blokujące prowadnice. Sam metal zmienił barwę pod wpływem gorąca, jednak inżynierskie oko oceniło, że paru ludzi z palnikami zdoła w kilka godzin oczyścić pole. W paru słowach opisał obraz Changowi, który wyraził ulgę i ponaglił Morgana do jak najszybszego powrotu.

— Bez nerwów — odparł Morgan. — Mam jeszcze dziesięć minut i tylko trzydzieści metrów do przejścia. Nawet wstrzymując oddech dotarłbym cały i zdrowy.

Wolał jednak nie przeciągać struny. Dość przygód jak na jedną noc. Jeśli wierzyć czujnikowi, to przygód było aż nadto. Od teraz będzie już słuchał pilnie poleceń tej pani.

Wracając do otwartych drzwi śluzy, oślepiony blaskiem bijącym niezmiennie ze Sri Kandy, przystanął jeszcze na chwilę przy barierce. Długi cień jego osoby biegł po ścianie wieży w górę, ku nieskończoności. Musiał mieć parę tysięcy kilometrów. Morgan pomyślał, że gdyby teraz pomachał ręką, to załoga jadącego do „piwnicy" transportowca najpewniej zauważyłaby ten gest. Mógłby przekazać im coś sygnałami Morse'a.

Ta fantazja zaowocowała nieco poważniejszą myślą: a może lepiej będzie zaczekać tutaj i nie ryzykować podróży pająkiem na Ziemię? Ale droga do stacji środkowej, gdzie mógłby otrzymać należytą pomoc medyczną, potrwa tydzień. Rozsądniej będzie w niecałe trzy godziny zjechać na Sri Kandę.

Pora wracać do środka, powietrze już się kończy, na dodatek i tak niczego nie widać. A przecież normalnie, w dzień czy w nocy, musi roztaczać się stąd wspaniały widok. Teraz jednak i niebo i Ziemia kryły się za kurtyną blasku szperaczy; podstawa wieży unosiła się pośród ciemnej otchłani niczym wysepka światła. Brak nieważkości nie pozwalał tak łatwo uwierzyć, że to już kosmos. Morgan czuł się na tym balkonie równie bezpieczny, jakby stał na wierzchołku Srł Kandy, a nie sześćset kilometrów wyżej. Tę myśl warto było ocalić, przetrawić i zawieźć z powrotem na Ziemię.

Poklepał gładką, twardą powłokę wieży, bardziej górującą nad ludzką postacią niż słoń pochylony nad amebą. Ale ameba nigdy by nie wpadła na ideę istnienia słonia. I przenigdy by takiego słonia nie stworzyła.

— Do zobaczenia za rok na Ziemi — wyszeptał Morgan i powoli zamknął za sobą drzwi śluzy.

57. Ostatni świt

Wróciwszy do „piwnicy”, Morgan zabawił w niej już tylko kwadrans. Pora nie była stosowna dla rozwijania życia towarzyskiego, nie chciał też zużywać przywiezionego z takim wysiłkiem tlenu. Uścisnął kilkanaście wyciągniętych dłoni i wgramolił się z powrotem do pająka.

Dobrze było wreszcie pooddychać bez maski, a jeszcze przyjemniej było pomyśleć, że misja zakończyła się sukcesem i już tylko niecałe trzy godziny dzielą go od powrotu na Ziemię. Jednak po tylu przejściach wzdragał się wciąż przed zwolnieniem hamulców, przed poddaniem się grawitacji, chociaż tym razem miała pomóc w dokończeniu wyprawy. Ostatecznie zwolnił jednak bolce cumownicze i rozpoczął spadanie. Zaraz też zawisł nieważki nad siedzeniem.

Gdy szybkościomierz wskazał trzysta kilometrów na godzinę, włączyły się automatycznie hamulce i ciążenie powróciło. Tak brutalnie potraktowane akumulatory mogłyby się teraz naładować, ale najpewniej uszkodzenia były zbyt rozległe i cała bateria nadawała się tylko do wyrzucenia.

Morgan nie mógł przestać myśleć o własnym, mocno nadwerężonym zdrowiu, jednak duma i niekoniecznie najmądrzejszy upór powstrzymywały go przed poproszeniem o poradę lekarza. Postanowił, że jeśli tylko czujnik znów się odezwie, to owszem, wtedy zadba, by postawiono opiekę medyczną w stan gotowości. Na razie maszynka milczała. Spadając poprzez noc Morgan czuł się całkiem odprężony. Zostawiając automatom opiekę nad pająkiem, sam zajął się podziwianiem nieba. Z mało którego statku kosmicznego roztaczał się tak wspaniały widok, niewielu ludzi widziało kiedykolwiek gwiazdy aż tak wyraźnie. Zorza zniknęła już bez śladu, szperacze wygaszono i nic nie mąciło obrazu.

Prócz tych gwiazd, rzecz jasna, które człowiek sam umieścił na nieboskłonie. Niemal dokładnie w zenicie widniał jasny punkt wiszącej niezmiennie nad Hindustanem stacji Ashoka. Ledwie kilkaset kilometrów dzieliło ją od kompleksu wieży. W połowie drogi między nią a horyzontem widniała ku wschodowi stacja Konfucjusz, jeszcze niżej stacja Kamehameha, na zachodzie królowały zaś stacje Kinte i Imhotep. Były to najjaśniejsze punkty na równikowym niebie, każdy z nich znacznie przewyższał jasnością Syriusza. Jakże zdumiony musiałby być dowolny antyczny atronom, widząc ten naszyjnik na niebie! Jego zdumienie wzrosłoby jeszcze, gdyby po godzinie obserwacji stwierdził, że żaden z tych punktów się nie porusza; nie wschodzi i nie zachodzi, jak wszystkie płynące przez nieboskłon gwiazdy.

Patrząc na ową rzadką wstęgę świateł, Morgan zaczął w półsennej wizji tworzyć coś nowego. Niewielkim wysiłkiem wyobraźni połączył odrębne punkty w światła tytanicznego mostu… Jak nazywał się most do Valhalli, po którym herosi z legend mieli z tego świata przejść do innego? Nie pamiętał, ale sen i tak był wspaniały. Czy inne istoty, na długo przed człowiekiem, też próbowały spiąć mostem brzegi nieboskłonu ponad własnymi światami? Wspomniał wspaniałe pierścienie Saturna, widmowe obręcze wokół Urana i Neptuna. Wprawdzie wiedział doskonale, że żaden z tych światów nie został nigdy skażony życiem, ale przez chwilę zdumiała go myśl, że te pierścienie mogłyby być szczątkami strzaskanych sztucznych tworów.

Chciało mu się spać, ale wyobraźnia mimowolnie podjęła pomysł. Zupełnie jak pies, który znajdzie nową kość, nie chciała dać spokoju idei. Sam pomysł nie był wcale absurdalny, nie był nawet oryginalny. Wiele z tych stacji na synchronicznych orbitach było potężnymi, wielokilometrowymi strukturami, niektóre połączone były kablami. Gdyby tak zespolić je czymś trwalszym i stworzyć pierścień wokół świata? Z inżynierskiego punktu widzenia byłoby to zadanie znacznie prostsze niż budowa wieży. Wymagałoby też o wiele mniej materiałów.

Nie, nie pierścień, ale koło. Ta wieża jest tylko pierwszą szprychą. Będą jeszcze następne (cztery, sześć, dwadzieścia?), wszystkie na linii równika. Jeśli zakotwiczy się je do stałej struktury orbitalnej, wówczas zniknie problem stabilności konstrukcji, nieunikniony przy jednej tylko wieży. Afryka, Ameryka Południowa, Wyspy Gilberta, Indonezja… Wszędzie tam można zbudować następne wyciągi. Któregoś dnia, gdy wzrośnie wiedza człowieka i powstaną nowe, trwalsze materiały, wieże staną się odporne nawet na huragany i nie trzeba już będzie wyszukiwać wysokich gór. Gdyby tak poczekać jeszcze ze sto lat, może nie trzeba by wtedy zakłócać spokoju mnichów…

Ponad jaśniejący już zapowiedzią świtu wschodni horyzont wzniósł się tymczasem sierp malejącego Księżyca. Blask Ziemi był na tyle silny, że nawet ciemny fragment księżycowej tarczy zdawał się kąpać w srebrnym blasku. Morgan widział wiele szczegółów powierzchni satelity. Wysilił wzrok, by dojrzeć jeden z najpiękniejszych widoków, niedostępnych nigdy wcześniej — gwiazdę lśniącą pomiędzy ramionami księżycowego sierpa, ale niestety, żadne z wielkich miast drugiego domu ludzkości nie było tej nocy aż tak jasne.

Jeszcze tylko dwieście kilometrów, mniej niż godzinę temu. Nie było sensu czuwać, pająk był zaprogramowany na automatyczne lądowanie tak miękkie, że nie powinno nawet obudzić…

Jednak obudził się, a to za sprawą bólu. Chwilę później odezwał

się czujnik.

— Proszę się nie ruszać — powiedział kobiecy głos. — Wezwałam już pomoc. Ambulans jest w drodze.

Zabawne, ale lepiej się nie śmiej, przykazał sobie Morgan. Maszynka stara się, jak potrafi. Nie bał się, chociaż ból w piersi narastał, to jednak nie obezwładniał. Morgan spróbował skupić się na owym bólu i sam akt koncentracji już ulżył cierpieniu. Dawno temu odkrył, że jednym z najlepszych sposobów uśmierzania bólu jest spojrzenie obiektywnie na zjawisko, które go powoduje.

Warren mówił coś przez radio, ale słowa dobiegały gdzieś z oddali i nie znaczyły wiele. Morgan rozpoznawał tylko zaniepokojony głos przyjaciela i bardzo pragnął uczynić coś, by rozproszyć jego obawy, ale nie miał na to siły. Na nic już nie miał siły. Po chwili nie słyszał niczego, tylko odległy, stały szum. Wiedział, że to złudzenie, to echo z labiryntu kanałów ucha wewnętrznego, ale dźwięk był tak realny… Wielki wodospad tuż u jego stóp…

Szum był coraz cichszy, coraz bardziej melodyjny. Nagłe Morgan rozpoznał! Jak miło jest usłyszeć raz jeszcze, tutaj, u milczących granic kosmosu, ten odgłos pamiętany z dnia pierwszej wizyty na Yakkagali!

Grawitacja ponownie brała go w posiadanie tak samo, jak przez stulecia zmuszała strumienie wody Fontann Raju do uległości. Ale Morgan stworzył coś, czego przyciąganie ziemskie nigdy nie pochwyci. Byle tylko ludziom starczyło wiedzy i sił, by zachować dzieło.

Ale tu zimno! Nogi są takie lodowate. Czyżby ogrzewanie wysiadło? Ale już niedługo będzie świt, zrobi się cieplej.

Gwiazdy bledną… Ale jakoś dziwnie szybko. Żadne gwiazdy nie nikną w ten sposób. Dziwne, nastawał nowy dzień, a wkoło robiło się coraz ciemniej. Fontanny chyliły się ku ziemi, szmer wygasał. Było coraz ciszej, ciszej… ciszej…

W kapsule pająka rozległ się nowy głos, ale Vannevar Morgan już go nie słyszał. Pomiędzy krótkimi, przenikliwymi piśnięciami, czujnik krzyczał w nadciągający świt:

POMOCY! POMOCY! KTOKOLWIEK MNIE SŁYSZY PROSZĘ PRZYBYĆ NATYCHMIAST! TU ALARM CZUJNIKA WIEŃCOWEGO! POMOCY! POMOCY! KTOKOLWIEK MNIE SŁYSZY PROSZĘ PRZYBYĆ NATYCHMIAST!

Głos brzmiał wciąż, gdy wzeszło słońce i pierwszy blask skąpał wierzchołek niegdyś świętej góry. Cień Sri Kandy jak zawsze przemykał się po chmurach, a kopuła góry trwała nieskalana mimo wszystkiego, co uczynił z nią człowiek.

Nie było już pielgrzymów mogących podziwiać wspaniały widok,

ale i tak miliony ludzi miały w nadchodzących latach ujrzeć ten cud towarzyszący pierwszemu etapowi ich drogi do gwiazd.

58. Epilog
Triumf Kalidasy

W ostatnich dniach tego krótkiego lata, zanim jeszcze lodowe szczęki zatrzasnęły się na linii równika, Yakkagalę odwiedził jeden z wysłanników Gwiezdnego Ostrowia.

Pan Rojów, w zasadzie rodzaju nijakiego, bardziej ono niż on czy ona, przybrał na tę okazję ludzką postać. Jeśli pominąć kilka detali, podobieństwo było idealne, jednak tuzin dzieci, które towarzyszyły Wyspiarzowi w autokopterze, nie mogło wciąż opanować chichotu.

— I co w tym śmiesznego? — spytał Wyspiarz w nienagannym języku Układu Słonecznego. — A może to jakiś kawał?

One jednak nie chciały wyjaśnić Wyspiarzowi, którego normalne pasmo widzenia leżało w podczerwieni, że ludzka skóra jest w zasadzie jednobarwna i nader rzadko bywa pokryta mozaiką zielonych, czerwonych i błękitnych plamek. Nawet gdy Wyspiarz zagroził, że zaraz zmieni się w tyranozaura i pożre wszystkie złe bachory, te nie chciały zaspokoić ciekawości przybysza. Miast tego wyjaśniły uprzejmie tej istocie, która przebyła dziesiątki lat świetlnych i zgromadziła w sobie wiedzę trzydziestu stuleci, że dysponując masą ledwie stu kilogramów stworzy tylko stukilogramowego dinozaura, a tak groteskowej postaci nikt się przecież bać nie będzie.

Wyspiarz nie przejmował się zresztą całą sprawą, był cierpliwy, a dzieci Ziemi fascynowały go ponad wszystko i to pod każdym względem, tak biologicznym, jak i psychologicznym. Młode wszystkich istot zawsze były podobne, oczywiście tylko tych istot, które w swym cyklu rozwojowym przechodziły młodość. Poznawszy bliżej dziewięć takich gatunków, Wyspiarz potrafił już sobie niemal wyobrazić, jak się dorasta, dojrzewa i umiera… Jednak wciąż były to tylko domysły.

Przed dwanaściorgiem istot ludzkich i jedną istotą człowiekiem nie będącą, rozpościerała się martwa kraina. Niegdysiejsze pola i lasy zniknęły zmrożone tchnieniem z pomocy i południa. Wdzięczne palmy kokosowe zniknęły już dawno temu, nawet po późniejszych sosnach zostały już tylko nagie szkielety o martwych korzeniach tkwiących w wiecznej zmarzlinie. Na powierzchni Ziemi nie było już życia, tylko w najgłębszych rowach oceanicznych, gdzie ciepło planety nie pozwalało wodzie zmienić się w lód, pełzały jeszcze po dnie prymitywne stwory, pożerając się nawzajem.

Jednak dla istoty, która zrodziła się pod słabą, czerwoną gwiazdą blask ziemskiego Słońca i tak był wciąż nazbyt dokuczliwy. Choroba, która zaatakowała jądro Słońca tysiąc lat temu sprawiła, że biała

tarcza dawała znacznie mniej ciepła niż kiedyś, jednak świeciła wciąż jasno. Krajobraz malował się w tym blasku wyraziście, podobnie jak łuna bijąca od napełzających lodowców.

Dla odkrywających wciąż możliwości swoich przebudzonych umysłów dzieci temperatura poniżej zera była miłym wyzwaniem. Biegały nagie po śniegu, rozkopując białe zaspy, a ich symbionty ostrzegały cichymi głosami: „Nie lekceważ zimna! Mróz może ci zaszkodzić!" Dzieci nie były jeszcze na tyle duże, by wykształcić sobie nowe kończyny bez pomocy dorosłych.

Najstarszy z chłopców rzucił wyzwanie chłodnemu powietrzu krzycząc z dumą, że reprezentuje pierwiastek ognia (Wyspiarz zanotował sobie to określenie w pamięci. Późniejsze analizowanie tego pojęcia nie było wcale łatwe dla przybysza) i zaraz zniknął w kolumnie ognia i pary sunącej tu i tam po antycznym murze. Inne maluchy wyraźnie ignorowały tę dziecinadę.

Wyspiarzowi wydało się to jednak niezbyt zrozumiałe. Czemu te istoty, które wyraźnie potrafią skutecznie walczyć z chłodem, wycofały się na planety wewnętrzne? Przecież ich krewni na Marsie wspaniale radzą sobie z mrozem? Było to jedno z tych pytań, na które wyspiarz nie umiał wciąż znaleźć zadowalającej go odpowiedzi. Raz jeszcze rozważył enigmatyczny respons otrzymany od Arystotelesa, istoty, z którą najłatwiej było mu się tutaj porozumieć:

— Wszystko ma jakiś powód — odparł globalny mózg. — Jest czas na walkę z naturą, jest czas by ją szanować. Prawdziwa mądrość tkwi w umiejętności dokonywania właściwych wyborów. Kiedy długa zima dobiegnie końca, człowiek wróci na odnowioną, ponownie rozkwitłą Ziemię.

Przez kilka ostatnich stuleci wszyscy mieszkańcy Ziemi przenieśli się poprzez równikowe wieże w kosmos, a dalej na powierzchnię młodych oceanów Wenus, na żyzne równiny umiarkowej strefy Merkurego. Za pięćset lat, gdy Słońce wyzdrowieje, zacznie się ruch w odwrotną stronę. Ludzie opuszczą Merkurego, utrzymując tylko polarne osiedla, ale Wenus stanie się zapewne ich nową ojczyzną. Przygaśnięcie Słońca stworzyło sposobność opanowania tego piekielnego świata.

Wprawdzie były to sprawy istotne, ale nie interesowały one przybysza same w sobie. O wiele ciekawsze były dlań wszystkie subtelności ludzkiej kultury, przemiany ludzkich społeczeństw. Każdy gatunek zawsze dostarczał nowych zdziwień, każdy był unikalny, miał własne idiosynkrazje. Ten tutaj, na przykład, podsunął Wyspiarzowi osobliwą koncepcję negatywnej informacji. W lokalnej terminologii zwano to żartem, fantazją, mitem.

Zetknąwszy się z tym zjawiskiem, przybysz musiał przyznać: nigdy nie zdołamy zrozumieć ludzi. Powtarzał to potem jeszcze nie

raz, czasem tak sfrustrowany, że aż zaczynał obawiać się spontanicznego zespolenia, ryzyka, którego zawsze należało unikać. Obecnie jednak poczynił znaczne postępy. Wciąż pamiętał, ile radości sprawił mu pierwszy udany żart i późniejszy śmiech dzieci.

Praca z dziećmi była dobrym pomysłem, podsuniętym zresztą, jak wiele innych, przez Arystotelesa:

— Jest takie stare powiedzenie: dziecko jest ojcem człowieka. Wprawdzie biologiczne „ojcostwo" jest czymś, czego obaj nie znamy, to jednak w tym kontekście słowo „ojciec" posiada dwa znaczenia…

Wyspiarz miał nadzieję, że dzieci pomogą mu zrozumieć dorosłych, w których kiedyś same się przecież przekształcą. Czasem przekazywały mu prawdę, ale niekiedy, głównie podczas zabawy (czym jest zabawa? — też trudny termin) nie szczędziły negatywnej informacji, którą obecnie Wyspiarz potrafił przynajmniej rozpoznać.

Zdarzało się jednak, że ani dzieci, ani dorośli, ani nawet sam Arystoteles nie znali prawdy. Wyspiarz dostrzegał szerokie spektrum rozciągające się miedzy całkowitą fantazją a zweryfikowaną wiedzą historyczną. Na jednym końcu jawiły się takie postacie jak Kolumb, Leonardo, Einstein, Lenin, Newton czy Washington, których podobizny, a nierzadko i głosy, ludzkość przechowała do dzisiaj. Ich przeciwieństwem była galeria postaci mitycznych: Zeus, Alicja, King Kong, Guliwer, Zygfryd, Merlin… Żadne z nich nie mogło nigdy zaistnieć w realnym świecie. Ale co zrobić z Robin Hoodem, Tarzanem, Chrystusem, Sherlockiem Holmesem, Odyseuszem czy Frankensteinem? Przy odrobinie wyobraźni można było uznać każdą z tych osób za historyczną.

Tron Słonia mało się zmienił przez ostatnie trzy tysiące lat, ale nigdy nie gościł kogoś tak niezwykłego jak Wyspiarz. Gdy ten spojrzał na południe, ujrzał szeroką na pół kilometra kolumnę wyrastającą ze szczytu góry. Widywał już takie dzieła na innych światach, ale biorąc pod uwagę, że ta rasa była naprawdę młoda, rzecz robiła wrażenie. Wprawdzie konstrukcja balansowała nieustannie na krawędzi nieba, to jednak trwała już od piętnastu stuleci.

Nie w tej formie, rzecz jasna. Pierwsze sto kilometrów przypominało obecnie postawione w pionie miasto, zamieszkałe wciąż na niektórych, rozleglejszych poziomach. Szesnaście skrytych wewnątrz ciągów komunikacyjnych mogło przewieźć do miliona pasażerów dziennie. Obecnie działały tylko dwa. Za kilka godzin Wyspiarz miał ruszyć wraz z eskortą w górę tej kolumny, wracając do Pierścienia, wielkiego osiedla kosmicznego otaczającego cały glob.

Wyspiarz skupił spojrzenie i zmieniając powiększenie obrazu prześledził wstęgę wieży do samej góry. Tak, ledwo widoczny za dnia, wyraźny jednak w nocy, a szczególnie wieczorem i na krótko przed świtem, Pierścień tkwił wciąż na miejscu. Wąska, lśniąca wstęga

biegnąca od horyzontu po horyzont, osobny świat, ojczyzna pół miliarda ludzi, którzy wybrali życie w stanie nieważkości. Gdzieś przy Pierścieniu cumował statek, który przewiózł Wyspiarza i jego kompanów przez otchłanie kosmosu. Obecnie szykował się już z wolna do odlotu; bez pośpiechu, ale i tak kilka lat wcześniej, niż pierwotnie zamierzono. Następny etap podróży miał trwać sześćset lat, co dla Wyspiarza nie było długim czasem, jako że aż do końca podróży nie miał zamiaru dokonywać rekoniugacji. Niemniej ta wyprawa mogła stanowić największe wyzwanie w całej jego dotychczasowej karierze. Po raz pierwszy zdarzyło się, że międzygwiezdny próbnik został zniszczony (lub przynajmniej uciszony) u granic nowo poznanego układu planetarnego. Być może oznaczało to długo wyczekiwany kontakt z tymi tajemniczymi istotami, które zostawiły swoje ślady na tak wielu światach. Istotami niepokojącymi, najdawniejszą znaną cywilizacją, działającą u zarania życia we wszechświecie. Gdyby Wyspiarz potrafił odczuwać lęk czy strach, zapewne oba towarzyszyłyby jego rozmyślaniom o nieodgadnionej, odległej o sześćset lat przyszłości.

Na razie jednak stał jeszcze na zaśnieżonym wierzchołku Yakkagali i podziwiał ludzką drogę do gwiazd. Wezwał dzieci (zawsze wiedziały, kiedy naprawdę pragnie posłuchu, a kiedy mogą go zlekceważyć) i wskazał na niezbyt odległą górę.

— Jak świetnie wiecie — powiedział z po części tylko udawaną irytacją — pierwszy Ziemski Port Kosmiczny powstał dwa tysiące lat później niż ten zrujnowany obecnie pałac. — Dzieci przytaknęły poważnie. — Czemu zatem — spytał Wyspiarz, wskazując na linię łączącą niebiosa z górą — czemu właściwie nazywacie tę kolumnę Wieżą Kalidasy?

Posłowie
Komentarze, wyjaśnienia i podziękowania

Pisarz tworzący prozę historyczną jest w szczególny sposób odpowiedzialny wobec czytelników, szczególnie gdy bierze się za nie znane mu tematy i opisuje obce mu miejsca. Nie wolnemu przekręcać faktów historycznych ani opisów zdarze4 jeśli te są powszechnie znane, gdy zaś coś dodaje, a często bywa do tego zmuszony, winien jasno określić granicę między produktami własnej wyobraźni a informacją kronikarską.

Pisarz tworzący fantastykę naukową natyka się na te same problemy, i to do kwadratu. Mam nadzieję, że kilka poniższych uwag można uznać za wywiązanie się z pisarskiej powinności. Mam też nadzieję, że przydadzą one lekturze atrakcyjności.

TAPROBANE I CEJLON

Z pewnych istotnych (dramatycznych wręcz) powodów dokonałem w tej książce trzech zmian tyczących geografii Cejlonu (obecnie Sri Lanka). Przesunąłem wyspę osiemset kilometrów na południe, by znalazła się na linii równika (gdzie była już zresztą dwadzieścia milionów lat temu i może pewnego dnia wróci). Obecnie leży miedzy szóstym a dziesiątym stopniem szerokości geograficznej północnej.

Podwoiłem też wysokość Świętej Góry i przybliżyłem ją do „Yakkagali". Oba te miejsca istnieją i wyglądają niemal dokładnie tak, jak je opisałem. Sri Kanda, albo Szczyt Adama, to osobliwa kopulasta góra, święte miejsce buddystów, muzułmanów, wyznawców hinduizmu i chrześcijan. Na szczycie wznosi się mała świątynia, w której znaleźć można skałę z wgłębieniem, długim na dwa metry i uznawanym za odcisk stopy Buddy.

Co roku, od wielu stuleci, na szczyt wspinają się tysiące pielgrzymów. Droga na wysokość 2240 metrów jest obecnie bezpieczna, a to za sprawą dwóch wstęg schodów (bez wątpienia najdłuższych schodów na świecie). Sam pokonałem je raz, z poduszczenia Jeremiego Bernsteina z „New Yorkera" (patrz jego *Experiencing Science)* i przez kilka dni nie czułem potem nóg. Jednak warto było, bowiem udało nam się ujrzeć ze szczytu unikalne widowisko towarzyszące wschodowi słońca, kiedy to symetryczna kopuła rzuca przez kilka minut na chmury sięgający niemal horyzontu cień.

Potem zwiedziłem jeszcze górę w nieco bardziej komfortowy sposób, a to z pomocą śmigłowca Sił Powietrznych Sri Lanki. Zbliżyliśmy się wtedy do świątyni na szczycie, i to na tyle blisko, bym mógł ujrzeć zrezygnowane oblicza mnichów nie przyzwyczajonych do takiego hałasu.

Skalna forteca Yakkagali to Sigiriya (albo Sigiri, „Lwia Skała"), miejsce tak zdumiewające, że nie musiałem w żaden sposób go ubarwiać. Pozwoliłem sobie tylko nieco nagiąć chronologię, bowiem pałac na szczycie (wedle sinhaleskiej kromki *Culavamsy)* powstał za panowania króla Kasyapa Pierwszego (478–495). Niemniej wydaje się nieprawdpodobne, aby tak wielka budowa została ukończona ledwie w osiemnaście lat. Prawdziwe dzieje Sigiri z pewnością sięgają o wiele dalej w przeszłość.

Charakter, motywy działania i prawdziwy los Kasyapy są przedmiotem wielu sporów, ostatnio podsyconych za sprawą dzieła *The Story of Sigiri* (Lakę House, Colombo, 1972) napisanego przez profesora Senerata Paranavitanę. Wiele zawdzięczam również

dwutomowej pracy *Sigiri Graffiti* (Oxford University Press, 1956), z której zaczerpnąłem opis Lustrzanego Muru. Niektóre z cytowanych napisów przytoczyłem wiernie, inne lekko zmieniłem.

Freski, jedna z największych atrakcji turystycznych Cejlonu, zostały przedstawione w dziele *Ceylon: Paintings from Tempie, Shrine and Rock* (New York Graphic Society/UNESCO, 1957). Szczególnie ciekawa jest plansza piąta, oryginał został niestety zniszczony w roku 1960 przez nieznanych wandali. Mamy tam kogoś, kto wyraźnie wsłuchuje się w dźwięki dobiegające z trzymanego w prawym ręku pudełka z wieczkiem na zawiasach. Nie wiadomo, co to za pudełko, zaś miejscowi archeologowie nie chcą mnie słuchać gdy sugeruję, że ten dawny mieszkaniec Cejlonu po prostu słucha tranzystorowego radia. Legendę o Sigiriyi przeniósł na ekran Dimitri de Grunwald, tworząc film *The God King,* w którym Leigh Lawson zaprezentował się jako całkiem udany Kasyapa.

WYCIĄG KOSMICZNY

Ten śmiały projekt został po raz pierwszy przedstawiony na Zachodzie w liście wysłanym do miesięcznika „Science" i opublikowanym 11 lutego 1966 roku z tytułem *Satelitarna elongacja a prawdziwy zaczep niebieski.* Autorami byli John D. Isaacs, Hugh Bradner i George E. Backus z Instytutu Oceanograficznego Scrippsa oraz Allyn C. Vine z Instytutu Oceanograficznego w Woods Hole. Może to nieco dziwne, że oceanografowie zajmują się kosmosem, ale przecież to jedyni ludzie (od kiedy zniknęły balony zaporowe), którzy na co dzień mają do czynienia z długimi kablami muszącymi przede wszystkim utrzymać własną masę (nawiasem mówiąc, postać doktora Allyn Vine'a została upamiętniona nazwaniem na jego cześć pojazdu podwodnego *Alvin).*

Później odkryto, że taki sam pomysł został rzucony już sześć lat wcześniej przez leningradzkiego inżyniera J. N. Artsutanowa („Komsomolskąja Prawda", 31 lipca 1960). Artsutanow pisał o „kosmicznej kolejce linowej", żeby użyć jego określenia, zdolnej wynieść dwanaście tysięcy ton dziennie na orbitę synchroniczną. To zdumiewające, jak niewielkie echo wzbudził ten pomysł. Jedynym nawiązaniem, jakie odnalazłem, jest jeden z malunków Aleksieja Leonowa i Sokołowa (opublikowany w książce *Gwiazdy na nas czekają,* Moskwa 1967). Na stronie 25 widnieje „kosmiczna winda" w działaniu, a podpis głosi: „…można powiedzieć, że satelita będzie stał nieruchomo na niebie i opuszczony z niego kabel stanie się gotową trakcją dla kolejki linowej. Taki wyciąg można zbudować, bez pomocy rakiet przewoziłby pasażerów i ładunki". Wprawdzie kosmonauta Leonów dał mi egzemplarz tej książki jeszcze w roku 1968, podczas konferencji poświeconej pokojowemu wykorzystaniu przestrzeni kosmicznej, to treść obrazu nie od razu do mnie dotarła. I to pomimo faktu, że przedstawia wyciąg wznoszący się właśnie nad Sri Lanką! Zapewne uważałem wtedy, że obdarzony sporym poczuciem humoru po prostu sobie zażartował* [* Leonow jest też znakomitym dyplomatą. Po wiedeńskiej premierze filmu 2001: *Odyseja kosmiczna,* powiedział: „Teraz czuję się, jakbym już dwa razy był w kosmosie". Po locie Apollo-Sojuz powiedział pewnie o trzech razach.].

Wiele wskazuje na to, że koncepcja kosmicznego wyciągu dojrzewa, że nadchodzi jego czas. Dowodzi tego fakt przytoczony w liście Isaacsa z roku 1966 — w ciągu dekady ten sam pomysł został niezależnie ogłoszony aż trzykrotnie. Najbardziej szczegółowy był artykuł Jerome'a Pearsona z Bazy Sił Powietrznych Wright-Paterson, opublikowany w „Acta Astronautica" z września-października 1975 r. *(The Orbital Tower; a spacecraft launcher using the Earth rotational*

energy). Doktor Pearson zdumiał się wielce, usłyszawszy o wcześniejszych pracach, których nie miał, jak się okazuje, w komputerowym wykazie publikacji. Odkrył je dopiero dzięki mojemu pismu wystosowanemu do Izby Reprezentantów Komitetu Kosmicznego z lipca 1975 r. (patrz: *The Vlew From Serendip)*.

Sześć lat wcześniej A. R. Collar i J. W. Flower w artykule *A (Relatively) law Altitude 24-hour Satellite* („Journal of the British Interplanetary Society", vol. 22, str. 442-457, rok 1969) doszli do niemal identycznych wniosków. Dociekali, czy możliwe jest zawieszenie synchronicznego satelity komunikacyjnego na orbicie o wiele niższej niż normalnie stosowane 36 000 kilometrów. Nie zastanawiali się wprawdzie nad opuszczeniem z takiego satelity kabla na powierzchnię Ziemi, ale byli o krok od tego etapu.

Pora teraz, bym wspomniał też o mojej skromnej osobie. W roku 1963 napisałem tekst przyjęty przez UNESCO i opublikowany w lutowym numerze miesięcznika „Astronautics" z roku 1964 (obecnie dostępny też w książce *Voices From the Sky)*. Tekst ten głosił: „Skoro mowa już o odleglejszych projektach, to należy wspomnieć szereg prac teoretycznych rozważających możliwość umieszczenia dwudziestoczterogodzinnego satelity na niskiej orbicie. Realizacja takiego przedsięwzięcia jest jednak uzależniona od rozwoju technologii i raczej w tym stuleciu nie nastąpi. Niemniej warto, aby studenci potraktowali zgłębianie tego zagadnienia w charakterze ćwiczenia dla umysłu".

Te pierwsze „prace teoretyczne" to był oczywiście głos Collara i Flowera. Pospieszne obliczenia bazujące na wytrzymałości znanych materiałów nastawiły mnie sceptycznie do całego pomysłu, dlatego nie próbowałem rozpracować jego szczegółów. Gdybym wykazał się wtedy mniej konserwatywnym podejściem, lub też dłużej liczył te prowizoryczne słupki, to mógłbym pewnie wyprzedzić nawet samego Artsutanowa.

Ponieważ ta książka jest (jak mam nadzieję) przede wszystkim powieścią, a nie wykładem z dziedziny inżynierii tego i tamtego, wszystkich bliżej zainteresowanych szczegółami zagadnienia odsyłam do literatury przedmiotu. Ostatnie publikacje to *Using the Orbital Tower to launch Earth-Escape Payloads Daily* (publikacja konferencyjna z 27 Międzynarodowego Kongresu Federacji Astronautycznej, październik 1976) i istotny artykuł Hansa Moraveca *A Non-Synchronous Orbital Skyhook* (Doroczne Spotkanie Amerykańskiego Towarzystwa Astronautycznego, San Francisco, 18-20 października 1977).

Wiele zawdzięczam moi przyjaciołom, nieodżałowanemu A. V. Cleaverowi z Rolls-Royce'a, doktorowi inżynierowi Harry'emu O. Ruppemu, profesorowi astronautyki w monachijskim Łehrstuhl fur

Raumfahrttechnic i doktorowi Alanowi Bondowi z Culham Laboratories. Wszyscy oni pomogli mi „skonstruować" wieżę orbitalną. Za wszelkie modyfikacje ich wizji jestem odpowiedzialny osobiście.

Walter L. Morgan (nic nie wiem o jego pokrewieństwie z Vannevarem Morganem) oraz Gary Gordon z COMSAT Laboratories i L. Perek z kosmicznej komisji ONZ dostarczyli mi wielu użytecznych informacji o stabilnych rejonach orbity synchronicznej i zwrócili moją uwagę na działające tam naturalne siły (przede wszystkim przyciąganie Słońca i Księżyca). Powodowałyby one spore oscylacje, szczególnie na osi północ-południe, tym samym Taprobane mogłoby nie być aż tak idealnym miejscem, jak sugerowałem, jednak i tak nadal lepszym, niż jakiekolwiek inne. Konieczność lokalizacji wyciągu na wysokiej górze też nie jest taka oczywista. Wiele zawdzięczam tu Samowi Brandowi z Naval Environment Prediction Research Facility w Monterey, który przekazał mi wiele informacji o równikowych wiatrach. Gdyby okazało się, że wieża może bezpiecznie zaczynać się też na poziomie morza, to wyspa Gan (Malediwy), słynna niedawno z operacji ewakuacyjnej w wykonaniu RAFu, stałaby się w dwudziestym drugim stuleciu najdroższym kawałkiem ziemi na planecie.

Pod koniec chcę jeszcze wspomnieć, jakkolwiek może się to komuś wydać dziwne, a nawet niepokojące, o pewnej koincydencji. Zaszła ona na wiele lat przed pojawieniem się pomysłu, aby napisać tę powieść, kiedy to zupełnie bezwiednie dałem się porwać urokowi późniejszej literackiej sceny zdarzeń. Od dziesięciu lat mieszkam w domu stojącym przy plaży mojej ukochanej Sri Lanki (patrz: *Skarby Wielkiej Rafy Koralowej* i *The* Mew *from Serendip),* która to wyspa okazuje się być kawałkiem lądu położonym najbliżej punktu gwarantującego — jak uznano — najlepszą dostępną geosynchroniczną stabilność orbity.

Tak zatem, starzejąc się z roku na rok, mam nadzieję ujrzeć tu także wiele innych reliktów wczesnej ery kosmicznej, kotłujących się w przestrzeni orbitalnego Morza Sargassowego bezpośrednio nad moją głową.

Colombo 1969–1978

I jeszcze jedno. Czasem zdarzają się takie zbiegi okoliczności, które pozostaje jednak uznać za czysty przypadek.

Poprawiając próbne wydruki tej powieści otrzymałem akurat od Jerome'a Pearsona egzemplarz wydawanego przez NASA przeglądu nowinek technicznych: TM-74174, *A Space „Necklace" About the Earth.* Jest to przekład artykułu G. Poliakowa zatytułowanego w oryginale „Opasanie Ziemi" i zamieszczonego pierwotnie w periodyku

„Tiechnika Maładioży”, numer 4 z roku 1977, strony 41-43.

Ten krótki, ale działający na wyobraźnię tekst doktora Poliakowa z Astrachania opisuje szczegółowo onże Pierścień, ostatni z pomysłów Morgana. Podobnie uznaje go za naturalne przedłużenie wyciągu kosmicznego, niemal identycznego zresztą z tym opisanym w mojej powieści.

Pozdrawiam zatem doktora Poliakowa i zaczynam się zastanawiać, czy znów nie okazałem się zbytnim konserwatystą. Może wieża orbitalna powstanie o sto lat wcześniej, nie w dwudziestym drugim, ale dwudziestym pierwszym stuleciu.

Być może już nasze wnuki udowodnią, że niekiedy WIELKIE JEST PIĘKNE.

Colombo 18 września 1978